

HAL CLEMENT
MISJA
GRAWITACYJNA

Przekład
Aleksandra Adamowicz

SOLARIS
Olsztyn 2001

Tytuł oryginału „*Mission of Gravity*”

ZIMOWA BURZA

Wiatr przeszedł przez zatokę jak tchnienie żywej istoty. Pokroił powierzchnię cieczy na kawałeczki, tak że nie wiadomo było, gdzie kończył się ocean, a gdzie zaczynała atmosfera. Próbował wywołać fale, które zatopiłyby *Bree* niczym drzazgę, ale rozwiął je w ulotną mgiełkę zanim wzniosły się na pół metra w górę.

Ta mgiełka dosięgła Barlennana, przykucniętego wysoko na rufowej tratwie. Jego statek już wcześniej znalazł się bezpiecznie u brzegu.

Barlennan nie był zbyt podejrzliwy, ale w miejscu tak bliskim Krańca Świata nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć. Nawet załoga, typy bez wyobraźni, od czasu do czasu okazywała zaniepokojenie.

- Tu gości pech - mamrotali - cokolwiek mieszkało za Krańcem i wysyłało przeraźliwe zimowe zawieruchy na setki mil w stronę świata, mogło oburzyć się na zakłócanie jego spokoju.

Po każdym wypadku szeptu podnosiły się na nowo, a wypadki zdarzały się często. Sam fakt, że każdy ma tendencję do stawiania niewprawnych kroków, gdy waży jakieś dwa funty i ćwierć zamiast pięćset pięćdziesięciu, do których był przyzwyczajony przez całe życie, wydawał się oczywisty dla komandora; jednakże wyglądało na to, że trzeba posiadać wykształcenie lub co najmniej zwyczaj logicznego myślenia, by docenić ten fakt.

Nawet Dondragmer, który powinien najlepiej wiedzieć...

Długie ciało Barlennana stężało i niemal wyryczał z siebie rozkaz, zanim faktycznie zorientował się co działo się dwie tratwy dalej. Wyglądało na to, że mat wybrał ten moment, by sprawdzić sztagi na jednym z masztów i wykorzystał moment prawie nieważkości, by wyciągnąć się na całą długość w górę z pokładu. Był to mimo wszystko wspaniały widok, gdy wyciągał się jak wieża, niebezpiecznie balansując na sześciu tylnych nogach, chociaż większa część załogi *Bree* zdążyła się już przyzwyczaić do tych trików. Ale to nie one zrobiły wrażenie na Barlennanie. Gdy ważysz dwa funty, musisz się czegoś trzymać, bo w przeciwnym wypadku zdmuchnie cię pierwsza bryza; a nikt nie może się czegokolwiek trzymać stojąc na sześciu nogach. Gdyby uderzył powiew, nie można było usłyszeć żadnego rozkazu, nawet jakby komandor wrzeszczał jak opętany. Zaczął więc czołgać się przez pierwsze zabezpieczenie oddzielające go od miejsca akcji i spostrzegł, że mat zapiął liny do swojej uprząży i był prawie tak bezpiecznie przymocowany do pokładu jak maszt, na którym pracował.

Barlennan rozluźnił się. Wiedział dlaczego Don to zrobił - był to akt przekory wobec tego, co kierowało sztormem, a on celowo demonstrował swoje podejście do sprawy załodze. Dobry chłopak, pomyślał Barlennan i ponownie skierował swoją uwagę na zatokę.

Nikt nie był teraz w stanie dokładnie powiedzieć, gdzie znajduje się linia brzegowa. Oślepiający wir białej mgiełki i niemal białego piasku ukrył wszystko w promieniu ponad stu metrów od *Bree*, coraz trudniej było zobaczyć statek, ponieważ ciężkie krople metanu uderzały niczym kule i rozmazywały się ponad skorupkami jego oczu. Przynajmniej pokład pod jego licznymi stopami był pewny jak skała; wyglądało na to, że mimo obecnej lekkości statku, wiatr go nie przewróci. Nie powinien, myślał ponuro kapitan przypominając sobie dziesiątki kabli, na których

wisiały zamocowane kotwice lub które przywiązano do niskich drzew, jakimi usiana była plaża. Nie powinien - ale jego statek nie byłby pierwszym zaginionym statkiem, który zapuścił się tak blisko Krańca. Być może obawy załogi co do Latacza były w jakimś sensie uzasadnione. Mimo wszystko tej dziwnej istocie udało się przekonać go, by zostali na zimę, osiągnęła to nie zobowiązując się nawet do ochrony statku i załogi. Jednak, gdyby Latacz chciał ich zniszczyć, mógłby to zrobić z większą łatwością i pewnością niż poprzez namówienie ich do pozostania. Jeśli ta ogromna struktura, którą kieruje, dostanie się ponad *Bree*, to nawet tu, gdzie masa znaczy tak niewiele, nie będzie nic do gadania. Barlennan skierował umysł ku innym sprawom; powodował nim normalny strach Meskinity przed znalezieniem się, nawet tymczasowo, pod czymś naprawdę stałym.

Załoga już wcześniej schroniła się pod pokładem - nawet mat zakończył pracę, gdy zaczęło się natarcie sztormu. Wszyscy byli na miejscu; Barlennan policzył garby pod materiałem ochronnym leżącym na pokładzie, gdy jeszcze był w stanie widzieć cały statek. Myśliwi byli na morzu, ponieważ żadnemu marynarzowi nie było potrzebne ostrzeżenie Latacza o nadejściu sztormu. W ciągu ostatnich dziesięciu dni żaden z nich nie oddalał się bardziej niż na pięć mil od statku, który zapewniał im ochronę, a przy takiej wadze pięć mil nie było dużą odległością.

Oczywiście mieli wystarczająco dużo zapasów; Barlennan nie był głupcem i robił co mógł, by głupców nie zatrudniać. Jednak, nie ma co ukrywać, świeże jedzenie było przyjemne. Zastanawiał się, jak długo sztorm będzie ich więził; znaki tego nie mówiły, choć jasno zapowiadały nadejście zmian. Być może Latacz wiedział o tym. W każdym razie nic więcej nie można było zrobić w sprawie statku; równie dobrze mógł teraz porozmawiać z tą dziwną

istotą. Barlennan nadal odczuwał lekki dreszczyk niewiary za każdym razem gdy spoglądał na urządzenie, które otrzymał od Latacza. Męczyło go stałe upewnianie się o jego mocy.

Leżało na tratwie rufowej obok niego, pod małą okrywającą je płachtą. Wyglądało na solidny blok długości około trzech cali; szerokość i wysokość miały chyba z połowę długości. Przezroczysta plamka na pustej powierzchni w jednym końcu wyglądała jak oko i chyba taka była jej funkcja. Oprócz tego jego jedyną cechą była mała okrągła dziurka w jednym z boków. Blok leżał przodem w górę, a „oko” wystawało nieco spod chroniącego przykrycia. Oczywiście, przykrycie otworzyło się w kierunku wiatru, tak że obecnie materiał ściśle przylegał do górnej, płaskiej powierzchni urządzenia.

Barlennan włożył rękę pod płachtę, poszukał po omacku, aż znalazł otwór i włożył w nie chwytny odnóże. W środku nie było żadnej ruchomej części jak przełącznik czy guzik, ale to go nie kłopotowało - nie częściej niż z takim urządzeniem stykał się z transmisjami cieplnymi, aktywowanymi obciążeniem oraz transmisjami fotonów. Z doświadczenia wiedział, że gdy do otworu wkładało się coś nieprzezroczystego, Latacz w jakiś sposób dowiadywał się o tym; wiedział, że nie było sensu próbować odgadnąć, jak się to odbywało. Czasami stwierdzał ze smutkiem, że byłoby to jak uczenie dziesięciodniowego noworodka nawigacji. Możliwe, że miał wystarczająco dużo inteligencji - taka myśl przynosiła ulgę - ale brakowało mu doświadczenia. - Tu Charles Lackland - maszyna przemówiła nagle, przerywając wątek myśli. - Czy to ty Barł?

- Tu Barlennan, Charlesie. - Kapitan odezwał się w języku Latacza, którym władał coraz lepiej.

- Fajnie, że mogę cię słyszeć. Czy mieliśmy rację w sprawie tej małej bryzy?

- Nadeszła zgodnie z waszą prognozą. Chwileczkę - tak, przyniosła też śnieg. Nie zauważyłem go wcześniej. Nie widzę jeszcze pyłu, o którym mówiłeś.

- Nadejdzie. Wulkan wyrzucił chyba z dziesięć mil sześciennych pyłu do atmosfery i rozrzucił go od kilku dni.

Barlennan nie odpowiedział. Rzeczony wulkan był wciąż kością niezgody, ponieważ znajdował się w części Mesklinu, która zgodnie z wiedzą geograficzną Barlennana nie istniała.

- Wiesz, Charles, zastanawiałem się jak długo będzie wiało. Rozumiem, że twoi ludzie mogą określić to z góry.

- Macie już teraz kłopoty? Zima dopiero się zaczyna - minie tysiące dni, zanim będziecie mogli się stąd wydostać.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Mamy mnóstwo jedzenia, ale od czasu do czasu zjedlibyśmy coś świeżego i dobrze byłoby z góry wiedzieć, kiedy możemy bezpiecznie polować.

- Rozumiem. Obawiam się, że trzeba to będzie dobrze zaplanować. Nie było mnie tu w zeszłym roku, ale rozumiem, że w czasie zimy burze w tym rejonie trwają praktycznie bez przerw. Czy byłeś już kiedyś na równiku?

- Na czym?

- Na... rozumiem, że to macie na myśli, gdy mówicie o Krańcu.

- Nie, nigdy i nierozumiem jak ktoś mógł dostać się bliżej niego ode mnie. Wydaje mi się, że gdybyśmy wypłynęli dalej na morze, stracilibyśmy resztkę wagi i odlecielibyśmy jak drobiny pyłu.

- Jeśli sprawi ci to jakąś ulgę, to się mylisz. Gdybyś dalej podążał przed siebie, twoja waga zaczęłaby rosnać. Teraz właśnie jesteś na równiku - miejscu, gdzie waga jest najmniejsza. Z tego powodu tu siedzę. Zaczynam rozumieć dlaczego nie chcesz wierzyć w ład na północy. Myślałem, że mamy problemy natury językowej, kiedy rozmawialiśmy o

tym wcześniej. Musimy znaleźć czas, byś przedstawił mi swoje poglądy na naturę świata. A może masz mapy?

- Oczywiście, na rufowej tratwie mamy Misę. Obawiam się, że teraz nie będziesz jej mógł zobaczyć, bo słońce właśnie zaszło, a Esstes świeci za słabo, by przedrzeć się przez chmury. Kiedy wyjdzie słońce, pokażę ci ją. Moje płaskie mapy na wiele się nie zdadzą, ponieważ żadna z nich nie obejmuje wystarczającego obszaru, byś miał naprawdę dobry obraz.

- W porządku. A czy nie mógłbyś opisać mi jej słowami podczas oczekiwania na wschód słońca?

- W szkole uczono nas, że Mesklin jest dużą, płaską misą. Ta część, gdzie mieszka najwięcej ludzi, leży blisko dna, dlatego ma przyzwoitą wagę. Filozofowie uważają, że wagę powoduje przyciąganie dużego płaskiego talerza, na którym osadzony jest Mesklin; im bliżej Krańca się znajdujemy, tym mniej ważymy, ponieważ oddalamy się od talerza. Na czym jest osadzony talerz, tego nikt nie wie; słyszy się na ten temat wiele dziwacznych teorii od niektórych mniej cywilizowanych narodów.

- Gdyby twoi filozofie mieli rację, to zawsze kiedy wyjeżdżacie z centrum powinniście wspinać się w górę, a wszystkie oceany zmierzałyby do najniższego punktu - przerwał Lackland. - Pytałeś o to któregoś z waszych filozofów?

- Gdy byłem nastolatkiem, pokazano mi obraz całości. Wykres nauczyciela składał się z mnóstwa linii wychodzących w górę z talerza i załamujących się do środka, tak że stykały się dokładnie ponad środkiem Mesklina. Przechodziły przez miskę prosto, a nie ukośnie z powodu zakrzywienia; nauczyciel powiedział nam, że waga działa wzdłuż tych linii - odpowiedział kapitan. - Nie rozumiałem tego dokładnie, ale wydawało mi się, że tak jest naprawdę. Powiedziano nam, że teoria została potwierdzo-

na, ponieważ odległości zmierzone na mapach były zgodne z odległościami według teorii. To jestem w stanie zrozumieć i jest to chyba mocny punkt za nią. Gdyby kształty były inne niż sądzono, odległości przestałyby się zgadzać, zanim by się zdążyło odejść dalej od punktu odniesienia.

- Zgadza się. Widzę, że twoi filozofowie znają się niezłe na geometrii. Nie rozumiem tylko dlaczego nie zauważyli, że są dwa kształty, które pozwalają uzyskać właściwe odległości. Czy mimo wszystko nie widzisz, że powierzchnia Mesklina zakrzywia się w dół? Gdyby twoja teoria była prawdziwa, horyzont musiałby być ponad tobą. Co ty na to?

- Ale przecież jest. Dlatego nawet najbardziej prymitywne szczepy wiedzą, że świat ma kształt misy. Tylko tu blisko Krańca wygląda to inaczej. Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego ze światłem. Przecież słońce wschodzi tu i zachodzi nawet latem i nie byłoby dla mnie zaskoczeniem, gdyby sprawy wyglądały tu nieco dziwnie. Dlatego nawet wydaje się, że horyzont - tak to nazwałeś? - jest bliżej północy i południa niż wschodu i zachodu. Statki są widoczne z większej odległości na zachodzie i wschodzie. To światło.

- Mhm. W tej chwili jest mi dość trudno odpowiedzieć na twoją tezę. - Barlennan nie znał na tyle mowy Lataczy by móc odkryć nutę rozbawienia w głosie Charlesa. - Nigdy nie byłem na powierzchni daleko od yy... Krańca i nigdy nie będę mógł wybrać się tam osobiście. Nie zdawałem sobie sprawy, że wygląda to tak jak opisujesz i obecnie nie wiem dlaczego tak jest. Mam nadzieję, że zrozumieć kiedy zabierzesz ten odbiornik radiowizyjny na naszą małą misję.

- Z przyjemnością usłyszę twoje wyjaśnienie, dlaczego nasi filozofowie się mylą - odpowiedział uprzejmie Barlennan. - Kiedy będziesz gotów, by dać taką odpowiedź,

oczywiście. Na razie najbardziej mnie ciekawi, kiedy nastąpi przerwa w burzy.

- Otrzymanie raportu ze stacji na Toorey zabierze kilka minut. Postaram się skontaktować z tobą mniej więcej o wschodzie słońca. Podam ci prognozę pogody i będzie wystarczająco dużo światła, abyś mógł mi pokazać Misę. Zgoda?

- Doskonale. Będę czekał.

Barlennan przycupnął koło radia, choć burza wyła dookoła. Płatki metanu uderzające w jego opancerzone plecy nie martwiły go - na większych szerokościach geograficznych uderzały znacznie mocniej. Od czasu do czasu usiłował zepchnąć zasy amoniaku tworzące się na tratwie, ale nawet one irytowały go tylko w niewielkim stopniu - przynajmniej na razie. Gdy nadejdzie środek zimy, za pięć, sześć tysięcy dni, zasy będą topnieć w pełnym słońcu, a niewiele później - znowu zamarzać. Najważniejsze, by przed drugim zamrożeniem płyn nie dostał się na lódź; gdyby tak się stało, załoga Barlennana musiałaby odłupywać kilkaset tratw z dala od plaży. *Bree* nie był łodzią rzeczną, ale pełnowymiarowym statkiem oceanicznym.

Zdobycie potrzebnych informacji zajęło Lataczowi, zgodnie z obietnicą, jedynie kilka minut - jego głos dał się słyszeć w chwili, gdy chmury nad zatoką zajaśniały od wschodzącego słońca.

- Niestety, miałem rację Barl. Nie ma żadnych przejaśnień na horyzoncie. Praktycznie cała półkula północna - co nie ma dla ciebie znaczenia - rozpuszcza swoją pokrywą lodową. Rozumiem, że na ogół burze trwają przez całą zimę. Na większych południowych szerokościach geograficznych pojawiają się w odosobnieniu, ponieważ siła Coriolisa powoduje, że dzielą się na małe części, im bardziej oddalają się od równika.

- Co powoduje?
- Ta sama siła, dzięki której każdy pocisk, który wyrzucasz skręca w lewo. Nigdy nie widziałem tego w waszych warunkach, ale tak musiałyby się zachowywać na waszej planecie.
- Co to znaczy „wyrzucasz”?
- No, „wyrzucasz”... bierzesz jakiś przedmiot, podnosisz go i odpychasz silnie od siebie, tak aby przebył pewną odległość zanim uderzy w ziemię!
- U nas, w rozsądnych krajach, nie bawimy się w ten sposób. Wiele rzeczy można robić tu, a nie można robić tam, bo są niebezpieczne. Gdybym miał „rzucić” czymś u nas w domu, mogłoby to wylądować na kimś – prawdopodobnie na mnie.
- Gdyby się nad tym zastanowić, wynik faktycznie mógłby być niekorzystny. Wystarczy trzy „g” tu na równiku; na biegunach jest prawie siedemset. Jednak mały przedmiot byłbyś w stanie rzucić. Dlaczego nie mógłbyś go złapać lub przynajmniej przeciwstawić się jego uderzeniu?
- Ciężko mi wyobrazić sobie taką sytuację, ale chyba znam odpowiedź. Nie ma czasu. Jeśli coś jest w ruchu - rzucone czy nie - uderza w ziemię zanim coś z tym możesz zrobić.
- Rozumiem - albo tak mi się przynajmniej wydaje. Przyjęliśmy za pewnik, że istnieje czas reakcji współmierny do waszej grawitacji, ale rozumiem, że to tylko antropocentryczne myślenie.
- To co zrozumiałem z twojej mowy, wydaje się logiczne. Jesteśmy różni - to oczywiste; prawdopodobnie nigdy w pełni nie zdamy sobie sprawy z tego jak bardzo. Ale przynajmniej jesteśmy do siebie na tyle podobni, że możemy rozmawiać - i zawrzeć, mam nadzieję, wzajemnie korzystną umowę.
- Jestem pewien, że tak będzie. Nawiasem mówiąc, na

dowód tego będziesz musiał pokazać mi miejsca, gdzie chciałbyś pojechać, a ja pokażę ci na twoich mapach miejsce, gdzie chciałbym żebyś pojechał. Czy moglibyśmy teraz spojrzeć na twoją Misę? Jest wystarczająco dużo światła, by wizja w odbiorniku działała.

Barlennan, trzymając się kurczowo uchwytów, małymi kroczkami przeszedł po tratwie do miejsca przykrytego klapą. Pociągnął ją i odsunął pozostawiając wolną przestrzeń na pokładzie; następnie wrócił, zamocował cztery liny na radiu, przywiązał je do strategicznie usytuowanych uchwytów, zdjął przykrycie radia i zaczął przesuwając je przez pokład. Ważyło sporo więcej od niego, chociaż wymiary radia były mniejsze, ale nie chciał by było narażone na zdmuchnięcie. Burza nie uspokoiła się ani trochę i pokład chwiało się od czasu do czasu. Koniec z okiem umieścił prawie w Misie a drugi podparł na drzewcach tak, by Latacz mógł patrzeć w dół. Później sam przeszedł na drugą stronę Misy i zaczął objaśnianie.

Lackland musiał przyznać, że mapa, którą zawierała Misa, była logicznie zbudowana i w zakresie, który przedstawiała, dokładna. Jej krzywizny dość precyzyjnie odpowiadały krzywiznie planety i zgodnie z jego przewidywaniami, największym jej błędem była wklęsłość zgodna z poglądami mieszkańców na temat kształtu ich świata. Misa miała jakieś sześć cali przekroju i około jednego i ćwierci cala głębokości w środku. Całą mapę chroniła przezroczysta pokrywa - prawdopodobnie z lodu, jak domyślał się Lackland - znajdująca się na poziomie pokładu. Przeszkadzała nieco Barlennanowi, gdy próbował pokazać szczegóły, ale jej usunięcie spowodowałoby momentalne wypełnienie się misy śniegiem. Tworzył on natychmiast grubą warstwę wszędzie tam, gdzie znalazł osłonę przed wiatrem. Plaża była nadal mało ośnieżona, ale zarówno Lackland jak i Barlennan mogli wyobrazić sobie,

co się działo po drugiej stronie wzgórz, które ciągnęły się na południe równoległe do plaży. Barlennan był w duszy zadowolony z tego, że jest marynarzem. Przez najbliższe kilka tysięcy dni podróżowanie po łądzie w tym regionie będzie mało zabawne.

- Starłem się aktualizować mapę - powiedział siadając na wprost „przedstawiciela” Latacza. - Nie dokonywałem natomiast żadnych zmian w Misie, ponieważ nowe regiony, których mapę sporządziliśmy płynąc w górę, nie były wystarczająco obszerne, by było to na niej widać. Tak naprawdę niewiele szczegółów mogę ci pokazać, ale chciałeś mieć ogólne pojęcie, dokąd planuję popłynąć, gdy już się stąd wydostaniemy. Tak naprawdę nie bardzo mi na tym zależy, mogę kupować i sprzedawać wszędzie, a w chwili obecnej na pokładzie mam głównie żywność. Niewiele mi z tego zostanie do końca zimy, toteż od chwili naszej rozmowy planowałem przez jakiś czas popłynąć na obszarach o małej wadze i zebrać produkty roślinne, które tam można zdobyć - materiały cenione przez ludzi mieszkających bardziej na południu ze względu na wpływ, jaki mają na smak jedzenia.

- Przyprawy?

- Jeśli to jest słowo na takie produkty, to tak. Już wcześniej je woziłem i dość je lubię - można mieć dobry zysk z jednego ładunku, jak w przypadku większości towarów, których wartość mniej zależy od użyteczności, a więcej od rzadkości występowania.

- Z tego wnioskuje, że kiedy załadujesz tu towar, nie będzie ci szczególnie zależało na tym dokąd popłyniesz?

- Tak. Rozumiem, że twoja misja zaprowadzi nas blisko Środka. To dobrze, im bardziej na południe popłyniemy, tym wyższe ceny mogę uzyskać; dodatkowa długość rejsu nie powinna być niebezpieczna, ponieważ uzgodniliśmy, że będziesz nam pomagał.

- Tak. Doskonale - choć wolałbym znaleźć coś, czym moglibyśmy ci zapłacić, żebyś nie musiał tracić czasu na zbieranie przypraw.

- Cóż, musimy coś jeść. Sam mówisz, że wasze ciała, a stąd też wasza żywność, składają się z całkiem innych substancji niż nasze, więc nie możemy jeść waszego pożywienia. Szczerze mówiąc nie znam żadnego pożądanego surowego metalu lub podobnego materiału, który mógłbym uzyskać łatwiej w każdych ilościach. Ciągłe podoba mi się pomysł, żeby dostać jakieś wasze maszyny, ale jak mówisz, musiałyby być zbudowane od nowa, żeby funkcjonować w obecnej sytuacji. Wygląda na to, że w istniejących warunkach nasza umowa jest optymalnym rozwiązaniem.

- To prawda. Nawet radio zostało zbudowane na potrzeby tego zadania i wy nie bylibyście w stanie go naprawić - o ile się nie mylę, twoi ludzie nie mają potrzebnych do tego narzędzi. Jednak podczas podróży możemy jeszcze o tym porozmawiać; być może rzeczy, których się o sobie dowiemy stworzą większe możliwości.

- Jestem pewien, że tak - odpowiedział uprzejmie Barlennan.

Oczywiście nie wspomniał o tym, że w ten sposób jego plany się powiodą. Latacz nie byłby chyba z tego zadowolony.

LATACZ

Prognoza Latacza sprawdziła się. Minęło jakieś czterysta dni zanim burza uspokoiła się w widoczny sposób. W tym czasie Latacz pięć razy rozmawiał z Barlennanem przez radio. Za każdym razem zaczynał od krótkiej prognozy pogody, później dzień lub dwa prowadzili bardziej ogólną

rozmowę. Już wcześniej, podczas nauki języka tej dziwnej istoty oraz wizyt na jej placówce na „Wzgórzu” blisko zatoki, Barlennan zauważył, że miała dziwnie regularny cykl życia. Odkrył, że może przewidzieć czas, kiedy Latacz spał lub jadł - wyglądało na to, że cykl taki trwał około osiemdziesięciu dni. Barlennan nie był filozofem, podzielał powszechne poglądy, według których filozofowie byli niepraktycznymi marzycielami - i po prostu przyjął ten fakt jak coś przynależnego tej dziwacznej, ale zdecydowanie interesującej istoty. Nic w otoczeniu Mesklinina nie pozwalało mu wydedukować, że istnieje świat, który obraca się dookoła swojej osi osiemdziesiąt razy dłużej od jego świata.

- Barl! - Latacz nie dbał o wstępy. Wiedział, że Mesklinita był zawsze w zasięgu dźwięku radia. - Stacja na Toorey odezwała się kilka minut temu. W naszą stronę kieruje się dość przejrzyste powietrze. Nie byli pewni, jaka będzie siła wiatru, ale przez atmosferę prześwituje ziemia, więc widoczność powinna być dobra. Jeśli twoi myśliwi chcą wyruszyć, to wiatr ich nie zdmuchnie, jeśli poczekają dwadzieścia, trzydzieści dni zanim chmury nie odejdą. Przez kolejne sto dni powinna być bardzo ładna pogoda. Zostanę poinformowany wystarczająco wcześnie o tym, gdyby miała się popsuć i twoi ludzie zdążą wrócić na statek.

- Ale w jaki sposób usłyszą ostrzeżenie? Jeśli dam im radio, nie będę mógł rozmawiać z tobą o naszych sprawach, a jeśli go nie dam...

- Pomyślałem o tym - przerwał Lackland. - Uważam, że powinieneś przyjść do mnie, gdy tylko wiatr się uspokoi. Mogę dać ci inny odbiornik, może byłoby lepiej gdybyś miał ich kilka. Podróż w jaką dla nas wyruszysz będzie niebezpieczna i potrwa dość długo. Ponad trzysta tysięcy mil lotem ptaka i nawet nie wiem ile z tego ładem, a ile drogą morską.

Porównanie Lacklanda spowodowało opóźnienie;

Barlennan chciał wiedzieć, co to jest ptak i latanie. Łatwiej było wyjaśnić to pierwsze. Trudniej było mu wyobrazić sobie, że jakaś żywa istota lata sama z siebie niż to, że czymś się rzuca - myśl ta była jeszcze bardziej przerażająca. Zdolność Lacklanda do podróży w powietrzu - na co miał dowody - wydawała mu się tak obca, że wręcz abstrakcyjna. Lackland częściowo zdawał sobie z tego sprawę.

- Jest coś jeszcze, co chciałbym z tobą omówić - powiedział. - Jak tylko rozjaśni się wystarczająco, by bezpiecznie wylądować, moi koledzy przylecą tu z pojazdem gąsienicowym. Może oswoisz się bardziej z myślą o lataniu, gdy ujrzysz lądującą raketę.

- Być może - odpowiedział z wahaniem Barlennan. - Nie jestem pewien czy chcę widzieć lądowanie twojej rakiety. Widziałem już takie lądowanie, wiesz o tym, i nie chcę by jeszcze ktoś z załogi był przy tym.

- Dlaczego nie? Myślisz, że będą zbyt przerażeni?

- Nie - odpowiedział szczerze Meskinita. - Nie chcę by któryś z nich widział moje przerażenie.

- Zaskakujesz mnie kapitanie. - Lackland próbował nadać swoim słowom żartobliwy ton. - Rozumiem jednak twoje uczucia i zapewniam cię, że rakietą nie przeleci nad tobą. Jeśli tylko będziesz czekał przy ścianie mojej kopuły, poinstruuję pilota rakiety przez radio.

- Jak blisko wyląduje rakietą?

- Dość daleko od ciebie, obiecuję. W równej mierze dla twojego komfortu, jak i mojego bezpieczeństwa. Żeby wylądować nawet tu, na równiku, będzie musiał użyć dość potężnego balastu. Nie chcę by uderzyła w moją kopułę - zapewniam cię.

- Dobrze. Przyjdę. Jak wspomniałeś, dobrze byłoby mieć kilka odbiorników. A co to jest ten „pojazd gąsienicowy”?

- Maszyna, która powiezie mnie po lądzie, tak jak wasz

statek po morzu. Zobaczysz ją najpóźniej za kilka dni lub za kilka godzin.

Przyjaciele Latacza na wewnętrznym księżycu Mesklina ułożyli dobre prognozy. Kapitan, przykucnięty na rufie, doliczył się zaledwie dziesięciu wschodów słońca, a już przejaśnienie oraz osłabnięcie wiatru zapowiedziały, jak zwykle, zbliżającą się burzę. Chciał wierzyć słowom Latacza, że spokojny okres potrwa sto do dwustu dni.

Z gwizdem, który spowodowałby pęknięcia bębneków w uszach Lacklanda, gdyby tylko mógł usłyszeć dźwięki o tak wysokiej częstotliwości, Kapitan wezwał załogę.

- Utworzycie dwie grupy myśliwych. Dondragmer poprowadzi jedną, a Merkoos drugą; każdy wybierze sobie dziewięciu ludzi. Ja zostanę na statku, ponieważ Latacz da nam więcej mówiących maszyn. Pójdę po nie na jego wzgórze, jak tylko się przejaśni. Maszyny oraz inne rzeczy, których potrzebuje są przysyłane z Góry przez jego przyjaciół. Cała załoga zostanie blisko statku do mojego powrotu. Wyruszacie trzydzieści dni po mnie.

- Kapitanie, czy to rozsądnie żebyś opuszczał statek tak wcześniej? Nadal jest mocny wiatr.

Mat był zbyt dobrym przyjacielem, by to pytanie oznaczało impertynencję, choć inni dowódcy byliby oburzeni taką wątpliwością wobec oceny sytuacji przez kapitana. Barlennan poruszył szczypcami w sposób oznaczający uśmiech.

- Masz zupełną rację. Niemniej chcę oszczędzić na czasie, a Wzgórze Latacza leży tylko milę stąd.

- Ale..

- Poza tym wiatr jest skierowany w dół. Mamy całe mile liny w skrzyniach; dwie umocuję do swojej uprząży, a dwóch ludzi - Terblannen i Hars, myślę, że pod twoim nadzorem Don, będą je wysuwać za mną przez polery. Mogę stracić grunt pod nogami, i pewnie tak się stanie, ale

gdyby wiatr był tak silny, by zerwać dobrą linę okrętową, *Bree* byłaby teraz daleko w głębi łądu.

- Ale jeśli stracisz grunt pod nogami - jeśli zostaniesz uniesiony w powietrze... - Dondragmer nadal kłopotał się nielicho, a myśl, którą wypowiedział, spowodowała, że nawet kapitan zaniemówił na chwilę.

- Pamiętaj, że jesteśmy blisko Krańca, na Krańcu, jak mówi Latacz, i kiedy patrzę na północ ze szczytu Wzgórza, to mu wierzę. Jak niektórzy z was już odkryli, upadek nic tu nie znaczy.

- Ale przecież wydałeś rozkaz, żebyśmy zachowywali się tak, jak gdybyśmy mieli normalną wagę, aby nie powstały nawyki niebezpieczne po naszym powrocie na zamieszkane obszary.

- To prawda. Jednak w żadnym miejscu wiatr nie może podnieść mnie do góry. Wszystko jedno - tak właśnie zrobimy. Każ Terblannenowi i Harsowi sprawdzić liny; nie, sprawdź je sam. Będzie na to wystarczająco dużo czasu. Tyle na teraz. Warta na pokładzie sprawdzi kotwice i cumy.

Dondragmer zaczął wykonywać rozkaz w swój zwykły, efektywny sposób. Kazał też ludziom usunąć śnieg pomiędzy tratw, widząc równie jasno jak kapitan możliwe konsekwencje odwilży, która przyjdzie po mrozie. Sam Barlennan zastanawiał się ze smutkiem, po którym z przodków odziedziczył nawyk pakowania się w nieprzyjemne sytuacje, z których nie można było wycofać się z wdziękiem.

Pomysł z liną powstał pod wpływem impulsu i musiało minąć te parę dni, które zostały do całkowitego zniknięcia chmur, by argumenty, którymi przekonał swojego mata, dotarły do niego samego. Nie był zbyt szczęśliwy, gdy opuścił się na śnieg, który zgromadził się przy nawietrznych tratwach, rzucił okiem na dwóch najmocniejszych członków załogi i liny, którymi kierowali, po czym

skierował się na plażę smaganą wiatrem.

W rzeczy samej nie było tak źle. Liny ciągnęły lekko w górę, ponieważ w chwili gdy wyruszył pokład znajdował się parę cali nad poziomem lądu, jednak stromizna plaży szybko to zniwelowała. Także drzewa, które posłużyły do zakotwiczenia *Bree* rosły coraz gęściej w miarę, jak przesuwał się w głąb lądu. Były to niskie, płaskie rośliny o szeroko rozgałęziających się, mackowatych konarach i krótkich, grubych pniach, podobne do drzew z ziem półkuli południowej Mesklinia. Jednak ich gałęzie wznosiły się stosunkowo daleko od ziemi, dzięki grawitacji ponad dwustukrotnie mniejszej niż w regionach polarnych. Rosły tak blisko siebie, że gałęzie przeplatały się - powstała płatanina brązowych i czarnych odrośli, których można się było doskonale trzymać. Po jakimś czasie Barlennan był w stanie wspinać się na wzgórze, chwytając przednimi szczypcami, puszczając tylnymi oraz wyginając swoje podobne do gąsienicy ciało w przód, tak że posuwał się niczym cyrkiel po mapie. Liny stanowiły pewien problem, ale ponieważ i one, i konary drzew były dość gładkie, nie nastąpiła poważniejsza blokada.

Na pierwszych dwustu jardach plaża była dość stroma, dlatego w połowie drogi Barlennan znalazł się około sześciu stóp nad poziomem *Bree*. Z tego miejsca było widać Wzgórze Latacza, nawet jeśli ktoś miał oczy tak blisko ziemi jak Mesklinita. Kapitan zatrzymał się by podziwiać krajobraz, choć widział go już wiele razy. Z równinnej płataniny wyłaniało się Wzgórze Latacza. Mesklinita nie potrafił myśleć o nim jak o sztucznej konstrukcji, po części ze względu na monstrualną wielkość wzgórza, a po części dlatego, że poza plandeką z materiału, jakikolwiek dach był całkowicie obcy jego pojmowaniu architektury. Błyszcząca metalowa kopuła mierzyła około dwudziestu stóp wysokości i czterdzieści średnicy, wyglądała jak prawie

idealna półkula. Było na niej mnóstwo przezroczystych miejsc i dwa cylindryczne przedłużenia, zawierające drzwi. Latacz powiedział, że można przez nie przechodzić nie wypuszczając powietrza z jednej strony na drugą. Portale były z pewnością wystarczająco duże, by zmieściła się w nich istota o tak gigantycznych rozmiarach jak Latacz. Jedno z dolnych okien miało zaimprovizowaną rampę, z której mogła przez nie wejść istota rozmiarów Barlennana; mógł podpełznąć do szyby i zajrzeć do wnętrza. Kapitan spędził na rampie dużo czasu, gdy uczył się mówić i rozumieć język Latacza; widział sporo dziwnej aparatury i mebli, choć nie miał pojęcia, jakie było ich przeznaczenie. Sam Latacz wyglądał na istotę wodną - spędzał dużo czasu unosząc się w zbiorniku z płynem. Było to całkiem sensowne, biorąc pod uwagę jego rozmiary. Barlennan nie znał istot urodzonych na Mesklinie, większych niż jego gatunek, które nie byłyby mieszkańcami oceanu lub jeziora - choć zdawał sobie sprawę, że takie masywne istoty mogły istnieć na ogromnych, niezbadanych terenach blisko Krańca. Miał nadzieję, że nie spotka żadnej z nich, przynajmniej na brzegu. Rozmiary oznaczały wagę, a doświadczenie całego życia nauczyło go utożsamiać wagę z zagrożeniem.

W pobliżu kopuły nie było nic oprócz wszechobecnej roślinności. Widocznie rakietę jeszcze nie nadleciała i przez chwilę Barlennan bawił się myślą, że zaczeka tu aż nadleci. Z pewnością wylądowałyby w miejscu oddalonym od Wzgórza - Latacz dopilnowałby tego. Nadal jednak nic nie stało na przeszkodzie, by zniżający się pojazd przemieścić się nad Barlennanem; Lackland nie mógł nic na to poradzić, ponieważ nie wiedział dokładnie, gdzie znajdował się Mesklinita. Niewielu Ziemiaków może zlokalizować z odległości pół mili ciało o długości piętnastu cali i średnicy dwóch, wspinające się przez płataninę roślinności. Cóż,

powinien raczej udać się wprost do kopuły, zgodnie z radą Latacza.

Zdążył akurat na czas, chociaż zapadająca chwilami ciemność nieco opóźniła jego przybycie. Była już właściwie noc, gdy dotarł do celu, choć ostatnia część trasy była oświetlona smugami światła padającymi z okien. Zanim przymocował liny i wczołgał się na wygodną platformę za oknem, słońce wstało zza horyzontu po jego lewej stronie.

Lacklanda nie było w pomieszczeniu, do którego należało okno i Mesklinita przycisnął guzik wezwań, zainstalowany na rampie. Natychmiast z głośnika zabrzmiał głos Latacza.

- Cieszę się, że już dotarłeś Barl. Zatrzymałem Macka do czasu twojego nadejścia. Dam mu sygnał do lądowania; będzie tu przed kolejnym wschodem słońca.

- Gdzie jest teraz? Na Toorey?

- Nie, dryfuje po wewnętrznej krawędzi pierścienia, zaledwie sześćset mil ponad nami. Znalazł się tam przed końcem burzy, więc nie martw się, że to ty go zatrzymałeś. Gdy będziemy na niego czekać, przyniosę inne radia, które ci obiecałem.

- Jestem sam, więc może lepiej tym razem wezmę tylko jedno radio. Nie są zbyt poręczne, choć oczywiście dość lekkie.

- Może, zanim je w ogóle wyjmę, zaczekamy na pojazd gaśnicowy. Wtedy mógłbym cię odwieźć do twojego statku - zapewniam, że jazda nim jest bardzo wygodna. Co ty na to?

- Brzmi świetnie. Czy podczas czekania możemy podoskonalic język albo pokażesz mi zdjęcia miejsca, z którego pochodzisz?

- Mam kilka. Załadowanie projektora zabierze parę minut, będzie ciemno, kiedy zaczniemy. Chwileczkę - przejdę do salonu.

Głośnik zamilkł, a Barlennan utkwiał oczy w bocznych drzwiach pokoju. W ciągu paru chwil pojawił się tam Latacz, idąc jak zwykle prosto przy pomocy sztucznych kończyn, które zwał serwoprotezami. Podeszedł do okna, kiwnął olbrzymią głową na powitanie i obrócił się w stronę projektora filmów. Ekran znajdował się na ścianie leżącej dokładnie na wprost okna. Barlennan, śledząc jedną parą oczu działania człowieka, przykucnął wygodniej. Czekał cierpliwie podczas gdy słońce leniwie toczyło się po łuku ku górze. Było gorąco i całkiem przyjemnie, choć jeszcze nie na tyle, by zaczęła się odwilż; powstrzymywał ją ciągły wiatr z północnej pokrywy lodowej. Gdy Lackland skończył łądować maszynę, zatrzymał się nad zbiornikiem relaksacyjnym i zanurzył w nim. Barlennan nie zauważył dotąd elastycznej membrany nad powierzchnia płynu, która chroniła ubrania człowieka przed zamoczeniem; w przeciwnym wypadku mógłby zmienić zdanie na temat wodnej natury istot ludzkich. Unosząc się w zbiorniku Lackland sięgnął do małego panelu i nacisnął przełączniki. Światła w pomieszczeniu zgasły i projektor zaczął pracować. Była to piętnastominutowa rolka i nie zdążyła się jeszcze skończyć, kiedy Lackland podniósł się z informacją, że rakieta rozpoczęła manewr łądowania.

Barlennan dość niechętnie odwrócił wzrok od ekranu.

- Wolałbym zdjęcia, ale chyba pora przyzwyczać się do widoku latających rzeczy - powiedział. - Z której strony nadleci?

- Myślę, że od wschodu. Przekazałem Mackowi dokładny opis tego miejsca i zdjęcia; wiem, że podejście z tego kierunku będzie nieco łatwiejsze. W tej chwili słońce znajduje się na linii twojego wzroku i przeszkadza ci go dostrzec, ale Mack znajduje się na wysokości jakichś czterdzieści mil - patrz w górę, ponad słońcem.

Barlennan zastosował się do instrukcji i czekał. Przez

jakąś minutę nie widział nic; potem jego oczy przyciągnął błysk metalowego kamienia jakieś dwadzieścia stopni ponad wschodzącym słońcem.

- Wysokość dziesięć, odległość pionowa mniej więcej taka sama - odnotował Lackland w tej samej chwili. - Mam go w zasięgu.

Plama światła stawała się coraz jaśniejsza i utrzymywała kierunek doskonale - rakieta była prawie dokładnie na torze w kierunku kopuły. W ciągu minuty znalazła się tak blisko, że zaczął rozróżniać szczegóły, ale zaraz blask wschodzącego słońca zakrył wszystko. Mack wisiał przez moment milę w górę od stacji i tyle samo na wschód; gdy Belne się przesunął, Barlennan ujrzał luki i dysze silników w cylindrycznej skorupie. Burzowy wiatr ucichł niemal zupełnie, ale zaczęła wiać gorąca bryza z topniejącego amoniaku z miejsca, w którym spaliny uderzyły w ziemię. Krople półcieczy prysnęły na skorupki oczu Barlennana, który nadal wpatrywał się w wolno osiadającą masę metalu. Każdy mięsień jego długiego ciała był maksymalnie napięty, ramiona przyciśnięte do boków, szczypce tak mocno zaciśnięte, że mogłyby przeciąć stalowy drut, a serca w każdym segmencie jego ciała pompowały szaleńczo. Gdyby posiadał aparat oddechowy choć nieco podobny do ludzkiego, wstrzymałby w tej chwili oddech. Wiedział, że ta rzecz nie spadnie - cały czas mówił sobie, że nie jest w stanie spaść; ale nie było mu łatwo kontrolować emocji, ponieważ wyrósł w środowisku, gdzie upadek z wysokości sześcioro cali bywał zazwyczaj śmiertelny, nawet dla niewiarygodnie silnych organizmów Mesklinitów. Podświadomie oczekiwał, że metalowa skorupa zniknie z pola widzenia i rozbije się o ziemię spłaszczona do nierozpoznawalnego kształtu. Mimo wszystko, nadal znajdowała się setki stóp w górze...

Pod rakieta, w miejscu całkowicie pozbawionym teraz

śniegu, gwałtownie zapłonęła czarna roślinność. Powiało czarnym popiołem i na krótko zabłysła ziemia. Trwało to przez ułamek sekundy, zanim błyszczący cylinder osiadł lekko w centrum nagiej plamy. Po kilku sekundach grzmot, który nasilił się do wycia głośniejszego od huraganów szalejących na Mesklinie, nagle ucichł. Prawie z bólem Barlennan rozluźnił się, otwierając i zamykając szczypce.

- Zaraz wrócę z radioodbiornikami - powiedział Lackland. Kapitan nie zauważył jego odejścia, ale Latacza nie było już w pokoju. - Mack przyjedzie tutaj pojazdem gaśnicowym - możesz popatrzeć jak nadjeżdża. Ja w tym czasie nałożę zbroję.

Tak naprawdę Barlennan zobaczył tylko część pokazu. Widział jak otwiera się śluza rakiety i wyłania z niej pojazd; mógł przyjrzeć się pojazdowi gaśnicowemu na tyle dokładnie, by zrozumieć do czego może służyć, poza tym, co powodowało, że bieżniki pojazdu poruszały się. Był wystarczająco duży by pomieścić kilka istot rasy Latacza, chyba że maszyny zajmowały większą część wnętrza. Tak jak kopuła na wzgórzu posiadał wiele ogromnych okien; przez przednie kapitan dojrzał postać kolejnego Latacza ubranego w zbroję, najwyraźniej to on sterował pojazdem. Cokolwiek napędzało maszyny, nie robiło tyle hałasu, by dało się go słyszeć z odległości mili, jaka dzieliła pojazd od kopuły.

Przed zachodem słońca pojazd zdołał pokonać zaledwie część dystansu i szczegóły przestały być widoczne. Esstes, mniejsze słońce, nadał było na niebie, jaśniejsze niż księżyc w pełni na Ziemi, ale oczy Barlennana miały swoje ograniczenia. Intensywny promień światła rzucały przez pojazd wzdłuż jego drogi także niewiele mu pomógł. Nadal był zbyt daleko, by go dokładnie zbadać nawet w świetle dziennym, ale nie ulegało wątpliwości, że znajdzie się przy Wzgórzu zanim wzejdzie słońce.

Oczywiście nawet wtedy Barlennan będzie musiał uzbroić się w cierpliwość; Latacze mogą sprzeciwić się badaniu, jakiemu chciał poddać ich maszynę.

PONAD ZIEMIĄ

Przyjazd czołgu, wyjście Lacklanda przez główną śluzę powietrzną oraz wschód Belne miały miejsce w tej samej chwili. Pojazd zatrzymał się tylko parę jardów od platformy, na której przykucnął Barlennan. Jego kierowca także wyszedł; dwaj ludzie stanęli koło Mesklinity i przeprowadzili krótką rozmowę. Lackland był raczej zdziwiony, dlaczego nie wracają do kopuły, by się położyć, ponieważ było dość oczywiste, że obaj męczyli się przy grawitacji Mesklina; ale nowoprzybyły odmówił jego zaproszeniu.

- Chciałbym ci dotrzymać towarzystwa - powiedział - ale szczerze mówiąc, Charlie, czy zostałbyś na tej upiornej kuli błota choć chwilę dłużej niż byś musiał?

- No cóż, mógłbym wykonywać mniej więcej tę samą pracę na Toorey lub ze statku na orbicie - zripostował Lackland. - Myślę, że bezpośredni kontakt bardzo dużo znaczy. Chcę się dowiedzieć więcej o narodzie Barlennana - wydaje mi się, że nie dajemy im tyle, ile chcielibyśmy uzyskać w zamian i byłoby przyjemnie dowiedzieć się, co możemy jeszcze dla nich zrobić. Ponadto Barlennan jest w dość niebezpiecznej sytuacji i obecność kogoś z nas może stanowić dużą różnicę - dla mnie i dla niego.

- Nie rozumiem.

- Barlennan jest kapitanem-trampem - w pewnym sensie wolnym handlowcem-badaczem. Znajduje się poza terenami zamieszkanymi i odwiedzanymi przez jego rasę. Pozostaje tu przez okres południowej zimy, kiedy parująca

północna czapa polarna tworzy burze, które trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć tu w regiony równikowe. Tych burz nie doświadczył jeszcze ani on, ani też my. Zastanów się, jakie mamy szanse na nawiązanie następnego kontaktu, jeśli cokolwiek mu się stanie!

Pamiętaj, że normalnie żyje w polu grawitacyjnym od dwustu do niemal siedmiuset razy silniejszym niż ziemskie. Z pewnością nie pojedziemy za nim do domu, by spotkać jego krewnych. Co więcej, prawdopodobnie nie ma nawet stu istot jego rasy, które nie tylko miałyby to same zajęcie, ale wystarczająco dużo odwagi, by wypuścić się tak daleko od miejsca zamieszkania. Jaką mamy szansę na spotkanie jeszcze jednego z tej setki? Zakładając, że ten ocean jest najczęściej przez nich uczęszczany, ta jego mała odnoga, od której odgałęzia się nasza zatoka, ma sześć tysięcy mil długości i trzy szerokości oraz bardzo krętą linię brzegową. Jeśli chodzi o wypatrzenie ich z góry, na lądzie lub na morzu, to *Bree* Barlennana ma jakieś czterdzieści stóp długości i trzecią część tego szerokości, a jest jednym z ich największych statków oceanicznych. Poza tym, mało który z tych statków wystaje więcej niż trzy cale nad wodę. Nie, Mack, nasze spotkanie z Barlennanem to najdziwniejszy splot okoliczności i nie chcę liczyć na kolejny. Przebywanie pod trzema „g” przez jakieś pięć miesięcy do południowej wiosny z pewnością jest tego warte. Oczywiście, jeśli chcesz ryzykować nasze szanse odzyskania sprzętu wartości kilku miliardów dolarów, wyniki poszukiwań na kawałku planety szerokiej na ponad tysiąc mil i ponad sto pięćdziesiąt tysięcy mil długiej...

- Dobra, dobra. Przedstawiłeś swoje argumenty - przyznała druga istota ludzka - ale dalej jestem zadowolony, że to na ciebie wypadło, a nie na mnie. Oczywiście, możliwe, że gdybym lepiej znał Barlennana... - Obaj ludzie zwrócili się w stronę małego, gąsienicowatego kształtu

przykucniętego na platformie na poziomie ich pasa. - Barle, mam nadzieję, że wybaczysz mi, że nie przedstawiłem ci dotąd Wadea McLellana - powiedział Lackland. - Wade, to jest Barlennan, kapitan *Bree*, mistrz żeglugi tutejszego świata. Nie powiedział mi tego, ale sam fakt, że tu jest, stanowi wystarczający dowód.

- Miło mi cię poznać, Lataczu McLellan - odpowiedział Mesklinita. - Niepotrzebne są żadne przeprosiny i zakładam, że wasza rozmowa była przeznaczona również dla moich uszu. - Wykonał standardowy gest otwarcia szczypiec na powitanie. - Ja już doceniłem frajdę, jaką jest dla nas obu to spotkanie i mam ogromną nadzieję, że będę w stanie wywiązać się z mojej części umowy, tak jak wy ze swojej.

- Mówisz nadzwyczaj dobrze po angielsku - skomentował McLellan. - Uczysz się go zaledwie sześć tygodni?

- Nie jestem pewien, jak długo trwa wasz „tydzień”, ale spotkałem twojego przyjaciela niecałe trzy tysiące pięćset dni temu - odpowiedział kapitan. - Oczywiście jestem dobrym lingwistą, jest to konieczne w mojej profesji; bardzo pomógł mi też film, który pokazywał Charles.

- Szczęśliwie się składa, że twój głos może wytworzyć wszystkie dźwięki naszego języka. My sami mamy z tym często kłopoty.

- To dlatego ja nauczyłem się angielskiego, a nie na odwrót. Wiele dźwięków, których używamy, jest zbyt piskliwych dla waszych strun głosowych.

Barlennan powstrzymał się od poinformowania ich, że duża część jego normalnych rozmów odbywała się na zbyt wysokich częstotliwościach, by mogli je usłyszeć ludzie. Lackland mógł tego jeszcze nie zauważyć, a najuczciwszy handlowiec pomyśli co najmniej dwa razy, zanim wyjawi swoją przewagę.

- Wyobrażam sobie, że Charles nauczył się mimo

wszystko trochę naszego języka patrząc na nas i słuchając naszych rozmów przez radio na *Bree*.

- Bardzo niewiele - wyznał Lackland. - Wygląda na to, że masz wyjątkowo dobrze wyszkoloną załogę. Mnóstwo waszych normalnych czynności wykonuje się bez rozkazów, a ja nie jestem w stanie zrozumieć rozmów, jakie czasem prowadzisz ze swoimi ludźmi, jeśli nie towarzyszy temu konkretne działanie.

- To znaczy, kiedy mówię do Dondragmera lub Merkosa? To mój pierwszy i drugi oficer i z nimi najczęściej rozmawiam.

- Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażony, ale nie potrafię odróżnić twoich ludzi. Po prostu nie znam na tyle waszych cech charakterystycznych.

Barlennan prawie się zaśmiał.

- Jeśli o mnie chodzi, jest jeszcze gorzej. Nie jestem całkiem pewien, czy widziałem cię bez sztucznego okrycia, czy nie.

- Te dywagacje prowadzą za daleko od naszych spraw. Wykorzystaliśmy już sporą część światła dziennego. Mack, zakładam, że chcesz wrócić do rakiety i do przestrzeni, gdzie waga nic nie znaczy, a ludzie są balonami. Kiedy tam dotrzesz, upewnij się, że radiotransmitery dla każdego z czterech radionadajników znajdują się wystarczająco blisko siebie, żeby się nawzajem rejestrować. Myślę, że nie ma sensu wypróbować ich pod względem elektrycznym, ale ci Mesklinici będą przez jakiś czas korzystać z nich do kontaktowania się między poszczególnymi grupami, a odbiorniki są nastawione na różne częstotliwości. Barl, zostawiłem radia przy śluzie powietrznej. Umieszczę ciebie i sprzęt na pojeździe gaśnicowym, wsadzę Macka do rakiety, a potem odwozę ciebie i te urządzenia na *Bree*.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Lackland zrobił jak zapowiedział, ale w wyniku jego działań

Barlennan prawie oszalał.

Uzbrojona ręka człowieka wysunęła się z zamachem i podniosła ciało Mesklinity. Przez jedną, rozdzierającą duszę chwilę, Barlennan czuł i widział siebie zawieszonoego wiele stóp od ziemi; później został postawiony na płaskim pancerzu czołgu. Jego szczypcy desperacko i na próżno skrobały po gładkim metalu, tuziny jego ssawkowatych nóg instynktownie szukały uchwytów na pokrywach. W oczach Barlennana rozbłysło ogromne przerażenie z powodu pustki jaka rozpościerała się wokół brzegu dachu na odległość kilku długości ciała w każdą stronę. Przez długie sekundy - być może przez całą minutę - nie mógł odzyskać głosu; kiedy przemówił, nie było go słychać. Był za daleko od aparatury na platformie, by przekazała zrozumiałe jego słowa. Wiedział o tym z wcześniejszych doświadczeń; nawet tak ekstremalny strach nie pozwolił mu zapomnieć, że gwizd, jakie chciał z siebie wydać, byłoby słychać równie wyraźnie na *Bree*, ponieważ było tam radio.

Wtedy *Bree* miałyby nowego kapitana. Respekt dla jego odwagi był jedyną rzeczą, jaka popchnęła załogę w nękane burzami regiony Krańca. Gdyby wydał taki dźwięk, nie miałyby załogi, nie miałyby statku i prawdopodobnie straciłyby życie. Na żadnym statku oceanicznym nie tolerowano tchórzy, obojętnie jaką funkcję osobnik ten sprawował. Choć jego ojczyzna znajdowała się na tym samym kontynencie, nie mógł brać pod uwagę możliwości przemierzenia pieszo czterdziestu mil linii brzegowej.

Myśli te nie przebiegły przez jego umysł dokładnie w opisaney wyżej formie, ale instynktowne kontrolowanie zdarzeń ucieszyło go. Lackland podniósł radia i razem z McLellanem wszedł do czołgu pod Mesklinitą. Gdy zamykały się drzwi, metal lekko zadrgał; chwilę później pojazd zaczął się poruszać. W tym momencie jego nie-człowieczemu pasażerowi przytrafiła się dziwna rzecz.

Strach mógł doprowadzić go do szaleństwa. A jednak nie zwariował. Przynajmniej nie w potocznym rozumieniu tego słowa; nadal logicznie myślał i nikt nie byłby w stanie wykryć jakiegokolwiek zmiany w jego osobowości.

Być może przez krótką chwilę Ziemianin, bardziej zaznajomiony z Mesklinitami niż Lackland, mógłby przypuszczać, że kapitan upił się odrobinę; potem nawet to minęło wraz ze strachem.

Tkwiał rozplaszczony prawie sześć długości ciała nad powierzchnią ziemi. Trzymał się ze wszystkich sił; pamiętał to później, kiedy wspominał, jakie miał szczęście, że wiatr był nadal skierowany w dół, chociaż gładki metal pozwalał na dobre umocowanie jego ssawko-stóp. To było niesamowite: widok, który mógł sprawiać radość, tak, sprawiał mu radość - z tej pozycji. Patrzenie na rzeczy z góry dawało inną perspektywę; za jednym zamachem można było uzyskać pełny obraz znacznej części terenu.

Gdy pojazd gąsienicowy podjechał do rakiety i zatrzymał się, wypełniło go niemal odurzające poczucie triumfu. Mesklinita prawie radośnie zamachał szczypcami do wyłaniającego się z czołgu McLellana, widocznego w blasku reflektorów pojazdu; było mu niezmiernie przyjemnie, gdy ten zamachał do niego w odpowiedzi. Czołg natychmiast skręcił w lewo i skierował się w stronę plaży, gdzie cumował *Bree*. Mack odczekał aż Barlennan i czołg oddalą się o milę i dopiero wtedy uniósł swoją maszynę w powietrze. Na widok powoli unoszącej się rakiety pozbawionej widocznego wsparcia na chwilę ożył stary strach, ale Barlennan zwalczył to odczucie i patrzył na prom do chwili, aż znikł w świetle zachodzącego słońca.

Lackland także przyglądał się startowi; ale kiedy ostatni błysk dysz zniknął, nie tracąc czasu skierował czołg najkrótszą trasą do *Bree*. Zatrzymał się sto jardów od statku, jednak wystarczająco blisko, by zszokowana załoga

zobaczyła swojego komendanta usadowionego na dachu pojazdu.

Kiedy drzwi pojazdu gąsienicowego otworzyły się i wyłonił się z nich Lackland, zebrana załoga wydała z siebie lekki pomruk gniewu. Na poły handlowy, na poły piracki styl życia, który prowadzili, spowodował, że w załodze pozostali tylko ci gotowi walczyć bez wahania przy najmniejszym zagrożeniu dla jednego z nich. Tchorze odpadli dawno temu, a indywidualiści umarli. Gdy Lackland pojawił się w zasięgu ich wzroku, życie ocalił mu jedynie nawyk Mesklnitów - stujardowy skok kosztowałby w tym ciężeniu najstabszego z nich najzwyczajniejsze napięcie mięśni ciała. Ale przyzwyczajeni do kilkuset większej grawitacji czołgali się tak, jak to robili przez całe życie. Wypłynęli z tratw czerwono-czarnym wodospadem i rozproszyli się po plaży zmierzając w kierunku obcej maszyny. Lackland zobaczył, że nadchodzą, ale zupełnie nie zrozumiał ich motywacji. Nie spiesząc się sięgnął na dach pojazdu gąsienicowego, zdjął Barlennana i postawił na ziemi. Następnie wyjął obiecane radia złożył je na piasku obok kapitana. Do tego czasu załoga domyśliła się, że ich przywódca wyszedł z przygody bez szwanku. Zatrzymali się w konfuzji, falując w niezdecydowany sposób pomiędzy statkiem a czołgiem; w słuchawkach Lacklanda zatrajkotała kakofonia głosów od głębokiego basu po najwyższe dźwięki, jakie mógł od stworzyć głośnik. Choć starał się jak mógł powiązać jakieś znaczenie z rozmowami tubylców, nie rozumiał ani jednego słowa. Tym lepiej dla jego wewnętrznego spokoju; od dawna zdawał sobie sprawę, że nawet zbroja, która była w stanie wytrzymać osiem atmosfer ciśnienia na Mesklinie, niewiele by znaczyła lub wręcz nic dla szczypców Mesklinity.

Barlennan powstrzymał paplanie trąbieniem, które Lackland usłyszał chyba bezpośrednio przez skafander.

Kapitan doskonale wiedział, co chodziło po głowach jego ludziom i nie chciał zobaczyć zamarzniętych szczątków Lacklanda rozproszonych po plaży.

- Uspokójcie się! - Barlennan wyczuł reakcję swej załogi na pozorne zagrożenie, któremu uległ. - Wystarczająco wygłupialiście się już przy braku wagi. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo!

- Ale zabroniłeś...

- Wiem, że zabroniłem takich działań i powiedziałem, dlaczego. Kiedy wrócimy do dużej wagi i normalnego życia, nie wolno nam będzie bezmyślnie robić czegoś takiego...

Zakończonym szczypcami ramieniem zamachał w stronę dachu czołgu.

- Wszyscy wiecie, co może spowodować właściwa waga; Latacz tego nie wie. Nie myśląc nawet o tym, co robi, posadził mnie tam, w górze, w ten sam sposób jak mnie zdjął. Pochodzi z miejsca, gdzie praktycznie wcale nie ma wagi; gdzie, jak sądzę, może wiele razy spaść na długość *swojego* ciała bez odniesienia obrażeń. Gdyby upadł w miejscach naprawdę wysokiego ciężaru, jak mógłby *latać*?

Większość słuchaczy Barlennana zakopało kikutowate stopy w piasku, próbując lepiej zrozumieć jego wypowiedź. Trudno było stwierdzić czy w pełni uwierzyli 'w słowa swojego kapitana, ale przynajmniej ich uwaga została odwrócona. Znowu dało się słyszeć słabe brzęczenie rozmów, ale miały już zabarwienie zdumienia, nie gniewu. Tylko Dondragmer, oddalony nieco od innych, milczał i kapitan zrozumiał, że będzie musiał opowiedzieć swojemu matowi dokładniej o tym, co się wydarzyło.

- Czy myślicy są gotowi? - pytanie Barlennana ponownie uciszyło paplaninę.

- Jeszcze nie jedliśmy - odpowiedział nieco zaniepokojony Merkoos - ale poza tym wszystko, sieci i broń, jest gotowe.

- Żywność gotowa?
- Będzie w ciągu dnia, komandorze - Karondrasee, kucharz, odwrócił się w stronę statku bez dodatkowych rozkazów.

- Don, Merkoos. Każdy z was weźmie po jednym *radiu*. Widzieliście jak korzystałem z jednego z nich na statku - wszystko co macie robić, to mówić blisko niego. Dzięki nim polowanie pójdzie sprawniej. Odkryłem, że ze szczytu maszyny podróżującej Latacza jest lepsza widoczność; jeśli on się zgodzi, podjadę z nim bliżej miejsca polowań.

- Ależ, kapitanie! - Dondragmer był poruszony. - Czy ta rzecz nie przerazi całej zwierzyny znajdującej się w zasięgu wzroku? Słyszać ją, jak nadjeżdża z odległości stu jardów i na otwartej przestrzeni widać ją nie wiem na jaką odległość. Poza tym...

Przerwał, niezbyt pewny jak przekazać główne zastrzeżenie. Barlennan zrobił to za niego.

- Poza tym nikt nie mógłby skoncentrować się na polowaniu, jeśli ja będę tak daleko od powierzchni ziemi - czy o to chodzi?

Szczypce mata niemo potwierdziły zgodę i ruch ten powtórzyła większość oczekującej załogi. Przez chwilę kapitan miał ochotę przemówić im do rozsądku, ale zdał sobie sprawę z daremności takiej próby. Ten punkt widzenia dzielił z nimi do niedawna.

- Dobrze Don. Zrezygnuję z tego pomysłu - pewnie masz rację. Będę z wami w kontakcie przez radio, ale nie będzie mnie widać.

- Ale nie będziesz jechał na tej rzeczy? Kapitanie, co ci się stało?. Wiem sam, że upadek z kilku stóp niewiele znaczy tu na Krańcu, ale nigdy celowo nie sprowokowałbym takiego upadku; nie rozumiem, dlaczego ktoś inny miałby to robić. Nie jestem w stanie nawet wyobrazić sobie siebie na szczycie tej rzeczy.

- Jeśli dobrze pamiętam, niedawno wisiałeś na maszcie, prawie na całą długość ciała nad pokładem - odpowiedział sucho Barlennan. - A może widziałem kogo innego, jak sprawdzał górne cumy?

- To było co innego, jednym końcem opierałem się o pokład - odpowiedział nieco nieswojo Dondragmer.

- Mimo to twoja głowa spadałaby długo. Widziałem też, jak inni robili takie rzeczy. Jeśli pamiętasz, mówiłem coś na ten temat, kiedy wpłynęliśmy na te wody.

- Owszem kapitanie. Czy te rozkazy nadal obowiązują, biorąc pod uwagę... - mat znowu przerwał. Tym razem chciał się wyrazić jeszcze radykalniej niż poprzednio. Barlennan pomyślał szybko w skupieniu.

- Zapomnijmy o rozkazie - powiedział powoli. - Przyczyny, dla których uznałem takie rzeczy za niebezpieczne, są rozsądne, ale jeśli ktokolwiek z was będzie miał kłopoty dlatego, że zapomni się, kiedy wrócimy do dużej wagi, będzie to jego własny błąd. Odtąd sami decydujecie w takich sprawach. Czy ktoś chciałby pójść ze mną?

Słowa i gesty połączyły się w chór stanowczych zaprzeczeń; Dondragmer wypowiedział swoje nieco wolniej od reszty. Gdyby budowa fizyczna mu na to pozwoliła, Barlennan uśmiechałby się teraz szeroko.

- Przygotujcie się do łowów, Będę was słuchał. - Odprawił załogę. Posłusznie wrócili na *Bree*, a ich kapitan odwrócił się, by przekazać Lacklandowi ocenioną relację z rozmowy. Był nieco zaabsorbowany, ponieważ właśnie w jego umyśle zakiełkowało kilka całkiem nowych pomysłów; będzie musiał nad nimi popracować w wolnym czasie. Teraz chciał odbyć jeszcze jedną przejażdżkę na dachu czołgu.

AWARIA

Bree znajdował się na plaży na południowym brzegu zatoki będącej ujściem delty o długości dwudziestu mil i szerokości dwóch. Odchodziła ona od południowego brzegu większej zatoki, która miała zbliżony kształt i długość dwustu pięćdziesięciu mil, będącej odnogą oceanu rozciągającego się na nieokreślonym obszarze półkuli północnej - łączył się on z wiecznie zamrożoną czapą polarną. Wszystkie trzy akweny rozciągały się na wschód i zachód, mniejsze oddzielone od większych wąskimi półwyspami. Pozycję statku wybrano lepiej niż *Barlennan* sądził - oba półwyspy chroniły go przed północnymi burzami. Jednak osłona bliższego i niższego półwyspu nie sięgała już osiemnaście mil dalej; *Barlennan* i *Lackland* mogli teraz docenić jego wpływ. Kapitan został ponownie umieszczony na czołgu; obok zostało przymocowane radio.

Na prawo, po odległy horyzont poza osłoniętą zatoką, rozciągało się morze. Plaża za nimi przypominała tę, na której znajdował się statek - lekko nachylony pas piasku usiany czarną roślinnością o gałęziach przypominających liny, taka flora pokrywała dużą część *Mesklina*. Natomiast przed nimi życie zanikło niemal zupełnie. Tu stok był jeszcze bardziej płaski, a pas piasku stawał się szerszy. Nie był całkiem nagi, bo choć nie rosły na nim głęboko ukorzenione rośliny, to jednak gdzieś na obszarze narażonym na działanie fal leżały ciemne, nieruchome relikty ostatnich sztormów.

Niektóre były poplątaną masą wodorostów; można było je tak nazwać przy lekkim wysileniu wyobraźni. Pozostałe zostały utworzone z ciał zwierząt morskich ogromnych rozmiarów. *Lackland* był zdziwiony - nie gabarytami tych

istot, ponieważ za życia były wypierane przez ciec, w której się unosiły - ale odległością, jaka dzieliła je od brzegu. Jeden z kolosów leżał rozciągnięty o ponad pół mili w głąb ładu; Ziemianin zaczął zdawać sobie sprawę, czego mogły dokonać wiatry na Mesklinie, nawet przy tutejszej grawitacji.

- Barlennan, co stałoby się z twoim statkiem, gdyby uderzyły w niego fale, które sięgnęły aż tutaj?

- To zależy od rodzaju fal i gdzie byśmy się wtedy znajdowali. Na otwartym morzu pokonalibyśmy je bez problemów; ale gdyby *Bree* była wyciągnięta na brzeg, jak *teraz*, nic by z niej nie zostało. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ogromne mogą być fale blisko Krańca. Jednak kiedy się teraz nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nawet największe mogą być stosunkowo nieszkodliwe z powodu braku wagi.

- Obawiam się, że to nie waga najbardziej się tu liczy; twoje pierwsze wrażenie było chyba bliższe prawdy.

- Coś takiego chodziło mi po głowie, kiedy schroniłem się na zimę za tym półwyspem. Przyznaję, że nie miałem żadnego pojęcia o faktycznej wielkości, do jakiej mogą urosnąć fale, tu, na Krańcu. Nic więc dziwnego, że badacze dość często znikają bez wieści na tutejszych szerokościach geograficznych.

- Ale masz jeszcze drugi półwysep, raczej górzysty, jeśli dobrze pamiętam zdjęcie. To on osłania ten cały odcinek.

- Drugi? Nie wiedziałem o tym. Czy chcesz powiedzieć, że to co widzę za półwyspem to jeszcze jedna zatoka?

- Właśnie. Zapomniałem, że podróżując masz zwykle ład w zasięgu wzroku. A więc, przypłynąłeś do tego punktu z zachodu, wzdłuż wybrzeża?

- Tak. Te morza są prawie całkiem nieznanne. Tutejszy brzeg morski ciągnie się jakieś trzy tysiące mil, na ogół na zachód, co pewnie wiesz - zacznam doceniać znaczenie

patrzenia na rzeczy z góry - a dalej stopniowo skręca na południe. Linia brzegowa nie jest zbyt regularna; fragmentami znowu biegnie na wschód - kilka tysięcy mil. Odległość w linii prostej na przeciwległą stronę do mojego rodzinnego portu to jakieś szesnaście tysięcy mil na południe. A jeśli płyniesz wzdłuż wybrzeża, to oczywiście dużo więcej. Tamtejsze wody są bardzo dobrze znane i każdy marynarz może się po nich poruszać nie podejmując większego ryzyka.

Podczas rozmowy odjeżdżali w głąb lądu, ku monstrualnej skorupie wyrzuconej przez sztorm. Lackland chciał ją szczegółowo zbadać, ponieważ do tej pory nie widział żadnego zwierzęcia na Mesklinie. Także Barlennan miał na to ochotę. Widział wiele potworów morskich, ale tym razem nie był pewien co mają przed sobą.

Kształt stworzenia nie był zaskoczeniem dla żadnego z nich. Mógł to być wieloryb o opływowych kształtach albo niezwykle gruby wąż morski; Ziemianinowi przypomniał się Zeuglodon, który nękał morza jego własnego świata trzydzieści milionów lat wstecz. Jednakże na Ziemi nigdy nie żyła istota, której szczątki miałyby zbliżone rozmiary. Zajmowały jakieś sześćset stóp na piaszczystej glebie; za życia ciało potwora było zapewne cylindryczne i mierzyło ponad osiemdziesiąt stóp średnicy. Teraz, pozbawione cieczy w której żyło, przypominało woskowy model pozostawiony zbyt długo na upalnym słońcu.

- Co robicie, gdy napotykalie coś takiego na morzu? - zapytał Barlennana.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział sucho Mesklinita. - Takie stwory widywałem rzadko. Zwykle żyją w głębinach stałych mórz; raz widziałem podobną istotę na powierzchni i może ze cztery razy na brzegu. Nie wiem czym się żywią, ale zapewne żerują głęboko pod powierzchnią. Nigdy nie słyszałem, żeby atakowały statki.

- Pewnie nie miałyby ci o tym kto opowiedzieć - odpowiedział uszczypliwie Lackland. - Nie sądzę, by ktoś przeżył taką sytuację. Jeśli ten stwór żywi się w podobny sposób do niektórych wielorybów w moim świecie, pochłonąłby statek i prawdopodobnie nawet tego nie zauważył. Spójrz na jego otwór gębowy, a przekonamy się.

Podjechali do czegoś, co wyglądało jak głowa ogromnego cielska. Stwór miała otwór gębowy i rodzaj szkieletu, zmiażdżonego teraz przez ciężar zwierzęcia. Mimo tego zostało wystarczająco dużo na potwierdzenie domysłów Lacklanda: z takimi zębami mógł to być jedynie mięsożerca. Trudno było rozpoznać, że to zęby, ale jak na zębra znajdowały się w dziwnym miejscu.

- Barl, byłbyś wystarczająco bezpieczny - powiedział w końcu. - To coś nie marzyłoby o zaatakowaniu ciebie. Żaden z twoich statków nie byłby wart jego wysiłku. Wątpię, czy zauważyłoby cokolwiek mniejszego niż obiekt stukrotnie większy od *Bree*.

- W głębokich morzach musi pływać dużo mięsa - odpowiedział w zamyśleniu Mesklinita.

- Powiedz mi, co miałeś na myśli, kiedy mówiłeś o stałych morzach? Czy znacie inny rodzaj mórz?

- Mówiłem o terenach, które nadal są oceanem przed nastaniem pory zimowych sztormów - brzmiała odpowiedź. - Ocean osiąga najwyższy poziom na początku wiosny, pod koniec sztormów zimowych. Przez pozostałą część roku oceany kurczą się. Tu, na Krańcu, gdzie brzegi morza są tak strome, nie ma to większego znaczenia, ale w rejonach, gdzie waga jest sensowna, linia brzegowa od wiosny do jesieni może przesunąć się od stu do dwóch tysięcy mil.

Lackland wydał z siebie gwizd.

- Barl, zamierzam wysiąść z pojazdu. Chciałem pobrać próbki tkanki zwierząt z Mesklina od chwili, kiedy

dowiedzieliśmy się, że istnieją, a nie mogłem przecież pobierać ich z ciebie. Czy ciało tego stworzenia może być bardzo zepsute? Myślę, że masz jakieś zdanie na ten temat.

- Dla nas nadal nadaje się do zjedzenia, chociaż ty nigdy byś go nie strawił. Mięso zazwyczaj robi się trujące po dwustu dniach, chyba że wyschło lub zostało zakonserwowane w inny sposób, i przez cały ten czas jego smak stopniowo się zmienia. Jeśli pozwolisz, to spróbuję trochę.

Nie czekając na odpowiedź, ani nie odczuwając najmniejszego poczucia winy oraz bez rozglądania się czy ktokolwiek z załogi jest w pobliżu i może zobaczyć ten skok, Barlennan rzucił się z dachu czołgu w kierunku ogromnej masy mięsa. Źle wymierzył i poleciał ponad ogromnym ciałem. Przez chwilę poczuł ukłucie przerażenia; ale gdy wylądował dosyć daleko od celu w pełni się kontrolował. Skoczył z powrotem, tym razem lepiej oceniając odległość. Zaczekał na Lacklanda, który otworzył drzwi swojego pojazdu i wyszedł. W pojeździe nie było służy; człowiek nadal miał na sobie zbrojony skafander ciśnieniowy - po prostu pozwolił, by atmosfera Mesklina dostała się do środka kiedy zatrzasnął hełm. Za nim widać było lekko wirujące kryształy - lód i dwutlenek węgla. Ziemskie powietrze zamarzało w pojeździe pod wpływem srogiej temperatury na Mesklinie. Barlennan nie miał zmysłu węchu, ale poczuł pieczenie w porach oddechowych, gdy dosięgnął go lekki powiew tlenu. Odskoczył pospiesznie. Lackland odgadł przyczynę i zaczął wylewnie przeproszać za brak odpowiedniego ostrzeżenia.

- Nie szkodzi - odpowiedział kapitan. - Powinienem był to przewidzieć, raz już powąchałem tlenu, kiedy opuściłeś Wzgórze, na którym mieszkasz. Poza tym wystarczająco często mówiłeś mi, że tlen, którym oddychasz różni się od naszego wodoru.

- Masz rację. Jednak nie mogę się spodziewać, że ktoś, kto wychował się nie mając wiedzy o różnorodności światów i ich atmosfer, będzie pamiętać o takiej możliwości cały czas. To jednak moja wina. Nie mam wciąż wielu wiadomości na temat chemii życia na Mesklinie, aby zgadywać, czym mogło ci grozić zetknięcie z tlenem. Dlatego chcę pobrać próbki mięsa tej istoty.

Lackland miał sporo instrumentów w siatkowej sakwie na zewnątrz zbroi i gdy grzebał wśród nich swoimi ciśnieniowymi rękawicami, Barlennan zaczął pobierać pierwszą próbkę. Cztery pary szczypców rozdarły kawałek skóry oraz znajdującej się pod nią tkanki i podniosły je do ust. Przez parę chwil przeżuwał w zamyśleniu.

- Niezłe - powiedział w końcu. - Jeśli nie potrzebujesz całego zwierzęcia do swoich badań, trzeba by zawołać tu myśliwych. Myślę, że dotrą na miejsce nim sztorm znowu się zacznie. Na pewno jest tu więcej mięsa niż mogliby zdobyć w inny sposób.

- Dobry pomysł - chrząknął Lackland. Tylko część swojej uwagi kierował na kompana; bardziej frapował go problem, jak wbić ostrze skalpela w leżącą przed nim masę. Nawet sugestia, że może wykorzystać całe monstrualne ciało w badaniach laboratoryjnych - Mesklinianin miał poczucie humoru - nie odwróciło jego uwagi.

Wiedział, że żywa tkanka na tej planecie musi być wyjątkowo twarda. Barlennan i jego ludzie pod wpływem grawitacji na biegunach Mesklina zostaliby spłaszczeni na miazgę, gdyby ich ciała miały konsystencję ziemską. Spodziewał się pewnych problemów przy przebijaniu skóry potwora, jednak mniej lub bardziej bezmyślnie założył, że gdy tego dokona, problemy zostaną rozwiązane. Teraz odkrył swój błąd; wyglądało na to, że mięso w środku miało konsystencję teku. Skalpel został zrobiony z supertwardego stopu, który trudno było stępić, ale nie był w stanie przebić

się nim przez tę masę i w końcu musiał uciec się do skrobania. W rezultacie uzyskał kilka strzępów, które zamknął w hermetycznym pojemniku na próbki.

- Czy to zwierzę może mieć jakąś bardziej miękką część? - zapytał Mesklinianina - Będę potrzebował mocnych narzędzi, aby pobrać tyle, żeby chłopcy z Toorey poczuli się usatysfakcjonowani.

- Niektóre części wewnątrz jamy gębowej mogą być trochę łatwiejsze do przebicia - odpowiedział Barlennan. - Ale łatwiej będzie mi odciąć dla ciebie kawałki, jeśli powiesz mi w jakich rozmiarach i z których części. Czy też wasze procedury naukowe wymagają, by próbki zostały usunięte metalowymi instrumentami?

- O ile wiem, to nie. Jeśli chłopakom z bio nie będzie się to podobało, mogą tu przylecieć i sami sobie wyciąć - odpowiedział Lackland. - Zaczynaj od razu. Zróbmy też tak, jak wcześniej zasugerowałeś. Weźmy trochę z otworu gębowego; nie jestem pewien czy przebiłem się tu przez skórę.

Począł wokół głowy wyrzuconego na brzeg behemota do miejsca, gdzie zniekształcony przez grawitację pysk odkrył zęby, dziąsła i to, co zapewne było jęzorem.

- Odetnij takie kawałki, żeby zmieściły się bez upychania w tych pojemnikach.

Ziemiańnin ponownie użył skalpela - język był nieco mniej oporny niż reszta tuszy. W tym czasie Barlennan posłusznie oddzielał fragmenty pożądanego rozmiaru. Od czasu do czasu kawałek wędrował do jego ust - nie był głodny, ale kto by pogardził świeżym mięsem. Pojemniki zostały szybko napełnione.

Lackland wyprostował się zamykając ostatnią próbkę i rzucił pożądanym spojrzeniem na słupiate zęby.

- Podejrzewam, że aby je wyłamać potrzebny by był materiał wybuchowy.

- Co to takiego? - zapytał Barlennan.
- To substancja, która bardzo szybko zmienia się w gaz, przy czym powstaje dużo hałasu i wstrząs. Stosujemy taki materiał do usuwania niepotrzebnych budynków lub elementów krajobrazowych, a czasami w walce.

- Czy to nie był właśnie odgłos materiału wybuchowego? - zapytał Barlennan.

Przez chwilę Lackland nie odpowiadał. Bardzo donośny huk na planecie, gdzie tubylcy nie znają materiałów wybuchowych i na której nie ma innych istot rasy ludzkiej, może być niepokojący. To, że Lackland był zaskoczony, byłoby delikatnym określeniem. Nie był w stanie określić odległości, kierunku ani rozmiarów eksplozji, ponieważ usłyszał ją jednocześnie przez radio Barlennana i własne dyski dźwiękowe; jednakże w jego umyśle zagnieździło się nieprzyjemne podejrzenie.

- To brzmiało bardzo podobnie do wybuchu - odpowiedział z pewnym opóźnieniem na pytanie Mesklinity i zaczął człapać z powrotem od głowy zdechłego potwora morskiego do pojazdu. Poważnie obawiał się tego, co znajdzie. Barlennan, bardziej zaintrygowany niż kiedykolwiek, podążył za nim swoim naturalnym sposobem podróżowania, czyli pełzając.

Kiedy ukazał im się czołg, Lackland poczuł przez chwilę wszechogarniającą ulgę; jednak szybko zmieniła się ona w równie głęboki szok, gdy dotarł do drzwi pojazdu. To co pozostało z podłogi, składało się z podwiniętych w górę skrawków cienkiego metalu, niektóre z nich nadal były połączone z podstawami ścian, inne tworzyły gmatwaninę wśród urządzeń sterujących i innych mechanizmów. Maszynaria napędowa, która znajdowała się pod podłogą, była prawie całkiem odsłonięta i jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że jest nieodwracalnie zniszczona. Barlennan wyglądał na niezmiernie zainteresowanego całym

zjawiskiem.

- Rozumiem, że wiozłeś materiały wybuchowe - zauważył. - Dlaczego nie użyłeś ich, aby zdobyć potrzebny ci materiał do badań? Co spowodowało, że zadziały?

- Jesteś geniuszem od zadawania trudnych pytań - odpowiedział Lackland. - Na twoje pierwsze pytanie odpowiem, że nie wiozłem żadnych materiałów wybuchowych; co do drugiego, w tej chwili twoje domysły są równie dobre jak moje.

- Ale to musiało być coś, co wiozłeś - zwrócił uwagę Barlennan. - Nawet ja rozumiem, że cokolwiek to było, znajdowało się pod podłogą twojego czołgu i chciało się wydostać. U nas na Mesklinie nie ma rzeczy, które się tak zachowują.

- Przyznaję rację twojej logice, ale pod podłogą nie było niczego co mogłoby wybuchnąć - odpowiedział człowiek. - Silniki elektryczne i akumulatory nie wybuchają. Dokładne zbadanie niewątpliwie pozwoli wykryć przyczynę. Wygląda na to, że żaden z fragmentów nie wypadł poza czołg. Przedtem muszę jednak rozwiązać dużo gorszy problem, Barl.

- O co chodzi?

- Znajduję się osiemnaście mil od zapasów jedzenia poza tymi, które mam ze sobą. Pojazd jest zrujnowany; a jeśli urodził się już taki Ziemiańin, który jest w stanie przejść osiemnaście mil w ogrzewanym skafandrze przy trzech „g”, z pewnością nie jestem nim ja. Powietrza mam dość dzięki skrzelom z alg i wystarczającej ilości światła słonecznego, ale umrę z głodu zanim dotrę do stacji.

- Nie możesz wezwać przyjaciół z szybszego księżycy i kazać im przysłać po siebie raketę?

- Mogę; prawdopodobnie już wiedzą o wypadku, jeśli ktoś jest w pomieszczeniu radiowym i słyszał tę rozmowę. Problem polega na tym, że jeśli otrzymam taką pomoc,

doktor Rosten każe mi z pewnością wrócić zimą na Toorey; miałem już wystarczająco dużo kłopotów, by przekonać go, żeby tu zostać. Będzie musiał usłyszeć o czołgu, ale chcę mu to powiedzieć ze stacji - po dotarciu tam bez jego pomocy. Nie ma tu jednak energii, która doprowadziłaby mnie z powrotem; nawet gdybym mógł umieścić więcej żywności w schowkach mojego skafandra bez wpuszczania do niego waszego powietrza, nie byłbyś w stanie dostać się na stację żeby przynieść jedzenie.

- W każdym razie wezwijmy tu moją załogę - powiedział Barlennan. - Mogą wykorzystać mięso, które tu jest - lub tyle, ile są w stanie udźwignąć. Mam też jeszcze inny pomysł.

- Już idziemy, kapitanie. - Głos Dondragmera dobiegł z radia zaskakując Lacklanda, który zapomniał, że tak ustawił radioodbiorniki, by z każdego było słycać pozostałe. Także zaskakując samego Barlennana, który nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego mat tak dobrze opanował angielski.

- Dotrzemy do was najpóźniej za kilka dni; wyruszyliśmy już w tym samym kierunku, co maszyna Latacza.

- Widzę, że przez jakiś czas nie będziecie głodni - powiedział człowiek, spoglądając z lekkim smutkiem na górę mięsa obok. - A jaki był twój drugi pomysł? Czy pomoże mi rozwiązać mój problem?

- Myślę, że tak. - Gdyby usta Mesklinity były wystarczająco elastyczne, śmiałyby się teraz. - Czy mógłbyś stanąć na mnie?

Przez kilka sekund Lackland stał sztywno, zaskoczony propozycją. Mimo wszystko Barlennan bardziej przypominał wyglądem gąsienicę niż cokolwiek innego, a gdy człowiek nadeptnie gąsienicę... Po chwili rozluźnił się i uśmiechnął szeroko.

- Dobra, Barl. Przez chwilę zapomniałem o

okolicznościach.

Mesklinita podczołgał się do jego stóp i Lackland bez dalszych wahań wykonał krok. Okazało się, że pojawiła się nowa trudność.

Lackland miał masę około stu sześćdziesięciu funtów. Jego skafander, w pewnym sensie cud techniki, ważył mniej więcej drugie tyle. Na równiku Mesklinia, człowiek i zbroja ważyli w przybliżeniu dziewięćset pięćdziesiąt funtów - nie był więc w stanie poruszyć się o krok bez pomysłowego automatu przy nogach. Ta waga, jedynie o jedną czwartą większa niż waga Barlennana w polarnych rejonach planety, nie stanowił problemu dla Mesklinity. Próba nie powiodła się z bardziej przyziemnego powodu. Barlennan miał, najogólniej rzecz biorąc, kształt cylindra o długości półtorej stopy i średnicy dwóch cali; okazało się, że utrzymanie równowagi na nim jest dla Ziemianina fizyczną niemożliwością.

Mesklinita był zбитy z tropu. Tym razem to Lackland pomyślał o rozwiązaniu. Część bocznych płyt w dolnej części czołgu została wrzucona przez podmuch do środka i pod kierunkiem Lacklanda Barlennan, ze znacznym wysiłkiem, oderwał jedną z nich. Miała jakieś dwie stopy szerokości i sześć długości, i dzięki jednemu końcowi zagiętemu lekko w górę silnymi kleszczami tubylca, tworzyła godne podziwu sanki. W tym miejscu planety Barlennan ważył jakieś trzy funty, ale nie miał lin do holowania konstrukcji. Najbliższa roślina, którą można było wykorzystać jako kotwicę znajdowała się ćwierć mili dalej.

TWORZENIE MAPY

Przybycie trzy dni później załogi Barlennana rozwiązał problem Lacklanda niemal natychmiast.

Oczywiście tak znikoma liczba tubylców niewiele mogła pomóc; dwudziestu jeden Mesklinitów nadal nie stanowiło wystarczającej siły napędowej, by poruszyć załadowane sanie. Barlennan sądził, że wystarczy kazać załodze je ponieść, umieszczając po jednym członku załogi w każdym rogu; znalazł się jednak w nie lada kłopotach chcąc pokonać normalną niechęć Mesklinitów do wejścia pod masywny obiekt. Kiedy w końcu udało mu się na to ich namówić, wysiłek okazał się daremny; metalowa płyta nie była wystarczająco gruba do tego celu i wygięła się.

Dondragmer, powstrzymując się od komentarzy, spędził ten czas na regulowaniu i mocowaniu lin, których normalnie używali do zadań łowieckich. Okazało się, że po połączeniu są wystarczająco długie, by sięgnąć najbliższych roślin; korzenie ich, zdolne wytrzymać najgorsze wiatry Mesklina, dały oparcie, jakiego potrzebowali. Cztery dni później konwój sań złożony ze wszystkich dostępnych płyt rozwalonego pojazdu, z Lacklandem i potężnym ładunkiem mięsa ruszył w kierunku *Bree*. Utrzymując stabilne tempo jednej mili na godzinę dotarł do statku w ciągu sześćdziesięciu jeden dni. Lackland został bezpiecznie dostarczony do służby powietrznej. Była po temu ostatnia chwila: wiatr wzmógł się na tyle, że pomagająca mu załoga musiała użyć lin zakotwiczonych w ziemię, by wrócić na *Bree*. Niebo pełne chmur znowu było smagane wichur.

Przed złożeniem oficjalnego raportu, co stało się z pojazdem Lackland posilił się. Wolałby, żeby raport był pełniejszy; czuł, że powinien dowiedzieć się co właściwie stało się z czołgiem. Będzie bardzo trudno oskarżyć kogoś na Toorey o nieumyślne pozostawienie materiału wybuchowego pod podłogą czołgu.

W chwili, gdy nacisnął przycisk połączenia ze stacją, wyjaśnienie spadło na niego jak grom. Kiedy pomarszczona twarz doktora Rostena pojawiła się na ekranie, wiedział co

ma powiedzieć.

- Doktorze, jest pewien problem z pojazdem.
 - Tak przypuszczałem, gdy zamilkłeś prawie na cały dzień. Elektryczny czy mechaniczny? Poważny?
 - Ogólnie mechaniczny, chociaż instalacja elektryczna miała w tym udział. Obawiam się, że czołg nadaje się już tylko na złom. To, co z niego zostało, znajduje się jakieś osiemnaście mil stąd na zachód, blisko plaży.
 - Świetnie. Tak czy owak, ta planeta kosztuje nas niezłe pieniądze. Co się stało - i jak wróciłeś? Nie sądzę, byś był w stanie przejść pieszko osiemnaście mil przy takiej grawitacji?
 - Nie byłem. Doholowali mnie Barlennan ze swoją załogą. Myślę, że ścianka podłogowa w czołgu pomiędzy kokpitem a obudową silnika nie była hermetyczna. Kiedy wyszedłem, żeby przeprowadzić badania, atmosfera Meskлина - wodór pod wysokim ciśnieniem - zaczęła przesączać się do środka i mieszać z normalnym powietrzem pod podłogą. Oczywiście to samo działo się w kokpicie, ale praktycznie cały tlen wydostał się z niego przez drzwi i rozrzedził poniżej poziomu zagrożenia zanim cokolwiek się zdarzyło. Tlen spod podłogi nie zdążył się wydostać. Wystarczyła iskra...
 - Rozumiem. Co spowodowało iskrę? Zostawiłeś włączony silnik?
 - Oczywiście - automaty sterujące, prądnice i tak dalej. Cieszę się z tego; gdybym tego nie zrobił, wybuch nastąpiłby zapewne po moim powrocie i włączeniu urządzeń.
 - Mhm. - Dyrektor Projektu wyglądał na nieco rozczarowanego. - Czy w ogóle musiałeś z niego wysiadać?
- Lackland podziękował gwiazdom za to, że Rosten był biochemikiem.
- Właściwie, nie. Pobierałem próbki tkanek wieloryba

długiego na sześćset stóp, wyrzuconego na plażę przez sztorm. Myślałem, że ktoś mógłby...

- Przywiozłeś je z powrotem? - wyrzucił z siebie Rosten, nie pozwalając Lacklandowi dokończyć zdania.

- Tak. Możecie przylecieć po nie, kiedy chcecie. Czy mamy jeszcze jeden czołg? Może być bardzo pomocny.

- Mamy. Rozważę możliwość przekazania ci go, gdy skończy się zima. Myślę, że do tego czasu będziesz bezpieczniejszy w kopule. W czym zakonserwowałeś próbki?

- W wodorze - miejscowym powietrzu. Myślę, że którykolwiek z naszych typowych konserwantów zniszczyłby je z pańskiego punktu widzenia. Lepiej niech pan przyjedzie po nie w miarę szybko. Barlennan twierdzi, że mięso zaczyna się tu psuć po kilkuset dniach, więc chyba mamy potwierdzenie, że istnieją tu mikroorganizmy.

- Byłoby dziwne, gdyby nie istniały. Będę u ciebie za kilka godzin.

Rosten przerwał połączenie bez dalszych komentarzy na temat wraku, za co Lackland był mu wdzięczny. Ponieważ nie spał od niemal dwudziestu czterech godzin, poszedł do łóżka.

Obudził go przylot rakiety. Rosten przybył osobiście, co nie było zaskoczeniem. Nawet nie zdjął skafandra; zabrał pojemniki, które Lackland zostawił w śluzie powietrznej dla zminimalizowania możliwości zanieczyszczenia tlenem, przyjrzał się Lacklandowi, w jakiej jest formie i szorstko nakazał mu wrócić do łóżka.

- Prawdopodobnie było to warte utraty pojazdu - powiedział zwięźle. - Teraz idź spać. Odezwę się do ciebie, gdy będzie szansa, że zapamiętasz co się do ciebie mówi. Do zobaczenia.

Drzwi śluzi powietrznej zamknęły się za nim.

Faktycznie, Lackland nie pamiętał uwag Rostena, które

padły przy jego odejściu; ale Rosten przypomniał mu je wiele godzin później, kiedy wyspał się już i porządnie najadł.

- Zima, podczas której Barlennan nie ma co marzyć o podróżach, potrwa jeszcze trzy i pół miesiąca - dyrektor rozpoczął niemal bez wstępów. - Mamy tu całe stopy zdjęć satelitarnych. Twoje zadanie na resztę zimy to spotkać się nad nimi z twoim przyjacielem Barlennanem, zamienić je w użyteczną mapę i wytyczyć najbardziej dogodną trasę do materiału, który chcemy uratować.

- Ale Barlennan nie chce płynąć tam tak szybko. Jest w trakcie wyprawy badawczo-handlowej i my jesteśmy dla niego tylko incydentem. Wszystko, co byliśmy mu w stanie zaoferować w zamian za tyle pomocy, to regularne prognozy pogody.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego tam jesteś - jeśli zapomniałeś, to przypomnę ci, że masz być dyplomatą. Nie oczekuję cudów - żaden z nas nie oczekuje - i z pewnością chcemy utrzymać stosunki z Barlennanem na dobrej stopie. Ale w tym statku badawczym, który nie mógł opuścić bieguna znajduje się specjalistyczny sprzęt o wartości miliardów dolarów, bezcenna dokumentacja...

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i zrobię co będzie możliwe - wtrącił się Lackland - ale nigdy nie będę w stanie uzmysłowić tubylcowi ich wagi. Nie chcę pomniejszać inteligencji Barlennana; jemu po prostu brakuje punktu odniesienia. Mieście na oku przerwy pomiędzy zimowymi burzami, żeby mógł tu przychodzić i studiować zdjęcia zawsze, gdy będzie to możliwe.

- A nie mógłbyś przygotować mu jakiegoś schronienia na zewnątrz obok okna, żeby mógł przebywać nawet w czasie złej pogody?

- Już mu to kiedyś zasugerowałem. Nie chce zostawiać statku i załogi w takich chwilach. I chyba go rozumiem.

- Ja chyba też. Dobra, zrób co możesz. Z tych materiałów dowiemy się więcej o grawitacji niż ktokolwiek po Einsteinie.

Rosten zakończył nadawanie, a zima rozpoczęła się na dobre.

Uwięziony automatyczny statek badawczy, który wylądował blisko bieguna północnego Mesklina, nie był w stanie wystartować po zebraniu danych. Został zlokalizowany przez jego przekaźniki telemetryczne. Wybór drogi morskiej lub lądowej od stacji z sąsiedztwa *Bree* do bieguna nie był jednak sprawą prostą. Podróż oceaniczna oznaczała jakieś czterdzieści albo czterdzieści pięć tysięcy mil podróży wzdłuż wybrzeża, prawie połowa z tego po wodach znanych ludziom Barlennana. Doprowadziłyby to ekipę ratunkową na tyle blisko unieruchomionej maszyny, na ile sięgały oceany. Niestety, zostawało jakieś cztery tysiące mil od celu, a na części wybrzeża po prostu nie było żadnych dużych rzek, które pozwoliłyby skrócić drogę lądową.

Istniał jednak szlak wodny, łatwy do nawigacji dla jednostki typu *Bree*, który przepływał pięćdziesiąt mil od pożądanego punktu, lecz uchodził do oceanu bez żadnych widocznych połączeń z akwenem, na którym znajdowali się ludzie Barlennana. Znany im ocean był długim, wąskim, nieregularnym łańcuchem mórz ciągnących się nieco na północ od równika, w sąsiedztwie stacji Lacklanda, prawie po równik po drugiej stronie planety. Sięgał dość blisko bieguna południowego - blisko, jeśli weźmiemy pod uwagę skalę odległości na Mesklinie. Drugie morze, do którego uchodziła rzeka blisko rakiety, było szersze i miało bardziej regularny zarys; ujście rzeki o której mowa znajdowało się blisko najbardziej wysuniętego na południe punktu morza. Rozciągało się ono także do równika i jeszcze dalej, łącząc się w końcu z północną pokrywą lodową. Leżało na wschód

od pierwszego łańcucha oceanicznego i było oddzielone od niego wąskim przesmykiem od bieguna po równik - znowu wąskim, jak na standardy Meskлина. Kiedy Lackland stopniowo dopasował fotografie, stwierdził, że przesmyk miał od dwu do siedmiu tysięcy mil szerokości.

- Wiesz Barł, moglibyśmy wykorzystać kanał łączący jedno morze z drugim - zauważył Lackland któregoś dnia.

Mesklinita, wyciągnięty wygodnie na swojej półce za oknem, niemym gestem wyraził zgodę. Minęła już połowa zimy i większe słońce stawało się zauważalnie bardziej mgliste, gdy wędrowało szybko po niebie w kierunku północnym.

- Jesteś pewien, że twoi ludzie nie znają takiego kanału? Większość tych zdjęć zrobiono jesienią, a sam mówisz, że wiosną poziom oceanu jest dużo wyższy.

- Nie znamy takiego szlaku - odpowiedział kapitan. - Wiemy niewiele o oceanie, o którym mówisz; zbyt wiele różnych narodów żyje na lądzie dzielącym nas od niego, wiele kontaktów utrudnia gromadzenie informacji. Podróż karawaną zabrałaby kilka lat; z zasady nie wędrują one tak daleko. Podczas takiej wyprawy towary przechodzą przez wiele rąk i jest dość trudno dowiedzieć się skąd pochodzą, jeszcze zanim nasi handlowcy przejmą je w zachodnich portach przesmyku. Jeśli istnieje szlak, o jaki nam chodzi, musi znajdować się tu, blisko Krańca, gdzie lądy są niemal zupełnie niezbadane. Nasza mapa - ta, którą razem stworzymy - nie sięga jeszcze wystarczająco daleko. W każdym razie jesienią takiego szlaku nie ma na południe stąd; pamiętaj, że przebyłem drogę wzdłuż całego wybrzeża. Płynęliśmy na wschód kilka tysięcy mil i nie wiem jak daleko się ono jeszcze ciągnie.

- Jeśli dobrze pamiętam, Barł, linia brzegowa skręca z powrotem na północ kilka tysięcy mil za zewnętrznym przylądkiem, ale oczywiście kiedy to widziałem też była

jesień. Dość trudno będzie sporządzić użyteczną mapę waszego świata. Wybrzeża zbyt się zmieniają. Kusiłoby mnie poczekać do kolejnej jesieni, żebyśmy przynajmniej mogli wykorzystać mapę, którą sporządziliśmy, ale to trwałoby moje cztery lata. Nie mogę zostać tak długo.

- Mógłbyś wrócić do twojego świata i odpoczywać, aż nadejdzie właściwy czas. Choć byłoby mi przykro, gdybyś odleciał.

- Obawiam się, Barlennanie, że byłaby to długa podróż.

- Jak daleko?

- Oj, wasze jednostki odległości nie zdadzą się tu na wiele. Promień światła może przebyć drogę wokół Mesklina w - mhm, cztery piąte sekundy. - Pokazał ten przedział czasowy na swoim zegarku, czemu tubylec przyglądał się z zainteresowaniem. - Ten sam promień musiałby podróżować ponad jedenaście moich lat, to znaczy dwa i ćwierć twojego roku, by dotrzeć do mojego domu.

- Więc twój świat jest za daleko, by go zobaczyć? Nigdy wcześniej nie wyjaśniałeś mi tych rzeczy.

- Nie byłem pewien, czy w wystarczającym stopniu pokonaliśmy barierę językową. Nie, nie da się zobaczyć mojego świata, ale pokażę ci moją gwiazdę, kiedy skończy się zima i przesuniemy się na prawą stronę waszego słońca.

Ostatnie słowa nie dotarły do Barlennana, ale nie zważał na to. Jedyne słońca, jakie znał, to było jasne Belne, którego wschód i zachód tworzyły dzień i noc, oraz słabsze Esstes, które w tej właśnie chwili było widać na nocnym niebie. Za niecałe pół roku oba słońca znajdą się na niebie blisko siebie i słabsze z nich ciężko będzie dojrzeć; Barlennan nigdy nie zaprzętał sobie głowy przyczyną tych ruchów.

Lackland odłożył zdjęcie, które trzymał w ręce; wyglądał na pogrążonego w myślach. Dużą część podłogi pokoju zajmowały luźno dopasowane fotografie z orbity. Mapa

regionu znanego Barlennanowi znajdowała się już w zaawansowanym stanie realizacji. Niemniej jednak dużo jeszcze pozostało do zrobienia, zanim można będzie dołączyć do mapy obszar, na którym znajdowała się placówka człowieka. Już teraz gnębił go fakt, że zdjęcia trudno było dopasować. Gdyby były to fotografie ze świata sferycznego lub niemal sferycznego jak Ziemia czy Mars, niemal automatycznie mógłby zastosować odpowiednie poprawki projekcji na mniejszej mapie, którą budował i która pokrywała stół z boku pomieszczenia, ale Mesklin nie był nawet w przybliżeniu sferyczny. Lackland zdał sobie dawno temu sprawę z tego, że proporcje Misy na *Bree* - znajdującego się w posiadaniu Barlennana odpowiednika globusa - były w przybliżeniu dokładne. Miała ona sześć cali szerokości oraz jeden i ćwierć cala głębokości, jej krzywizna była gładka, choć daleka od jednorodności.

Dodatkową trudność przy dopasowywaniu zdjęć stanowił fakt, że duża część powierzchni planety była stosunkowo gładka, bez wyraźnych cech topograficznych; nawet tam, gdzie istniały góry i doliny, różne odcienie przylegających do siebie zdjęć utrudniały zadanie. Jaśniejsze ze słońc pokonywało drogę przez nieboskłon w mniej niż dziewięć minut, co poważnie dezorganizowało normalne czynności fotograficzne. Kolejne zdjęcia z tej samej serii były często oświetlone niemal z przeciwnej strony.

- Do niczego z tym nie dojdziemy, Barl - powiedział ze znużeniem Lackland. - Warto było spróbować, ponieważ mogły istnieć drogi na skróty, ale ty mówisz, że nie ma żadnych. Jesteś marynarzem, a nie przywódcą karawany; te cztery tysiące mil lądem, gdzie grawitacja jest najsilniejsza, zatrzyma nas.

- To znaczy, że wiedza, która pozwala wam latać nie może zmienić wagi?

- Nie - Lackland uśmiechnął się. - Instrumenty, które znajdują się na statku unieruchomionym przy waszym biegunie południowym powinny zawierać odczyty, które mogą nas tego z czasem nauczyć. Dlatego go wysłano, Barlennan; bieguny twojego świata mają najstraszniejszą grawitację w porównaniu z jakimkolwiek miejscem Wszechświata, do którego mogliśmy dotrzeć. Jest wiele innych światów, nawet masywniejszych od waszego, które nie obracają się wokół swojej osi tak okropnie szybko jak Mesklin; są także niemal sferyczne. Chcieliśmy mieć pomiary tego olbrzymiego pola grawitacyjnego - wszelkie rodzaje pomiarów. Wartość instrumentów zaprojektowanych i wysłanych w tę podróż trudno wyrazić w liczbach, jakie obaj znamy; kiedy statek nie odpowiedział na sygnał startu, zatrzęsły się rzędy dziesięciu planet. Musimy mieć te dane, nawet jeśli będziemy musieli wykopać kanał, żeby umożliwić *Bree* dotarcie do drugiego oceanu.

- Jakie urządzenia były w tym statku? - zapytał Barlennan. Prawie natychmiast pożałował pytania; Latacz mógł nabrać podejrzeń wobec ciekawości kapitana i zacząć zastanawiać się nad motywami, jakie nim kierują. Wyglądało jednak na to, że Lackland nie zwrócił na to uwagi.

- Obawiam się, Barl, że nie mogę ci powiedzieć. Po prostu brakuje ci podstaw wiedzy, która przypisałaby jakieś znaczenie słowom „elektron” oraz „neutrino”, a tak że „magnetyzm” i „kwant”. Z mechanizmu napędowego rakiety mógłbyś pojąć nieco więcej, ale i w to wątpię.

Mimo pozornego braku podejrzeń ze strony Lacklanda, Barlennan zrezygnował z dalszego wypytywania go na ten temat.

- Czy nie należałoby poszukać zdjęć, które pokazują wybrzeże oraz regiony w głębi lądu na wschód stąd?

- Myślę, że nadal istnieje szansa, że się spotkają -

odpowiedział Lackland. - Nie twierdzą, że zapamiętałem cały obszar. Może w dole, koło pokrywy lodowej... ile zimna są w stanie wytrzymać twoi ludzie?

- Źle się czujemy, gdy morze zamarza, ale i wtedy jesteśmy w stanie przeżyć - jeśli nie zrobi się dużo zimniej. Dlaczego pytasz?

- Może będziecie musieli dotrzeć dość blisko północnej powłoki lodowej. Ale zobaczymy.

Latacz szybko przewertował stos zdjęć, większy od wzrostu Barlennana i w końcu wyjął mały plik.

- Jedno z tych... - Na chwilę głos mu zamarł. - Jesteśmy w domu. Barl, to zdjęcie zrobiono teleobiektywem wąskokątnym z wewnętrznego brzegu pierścienia, ponad sześćset mil ponad nami. Widać główną linię brzegową oraz dużą zatokę, a tu, z południowej strony, mamy małą zatokę, gdzie znajduje się *Bree*. Zrobiono je przed budową stacji, ale i tak by jej nie było widać. Zacznijmy zbierać wszystko do kupy jeszcze raz. Arkusz na wschód stąd...

Mesklinita patrzył zafascynowany, jak na jego oczach tworzy się czytelna mapa lądów, do których jeszcze nie dotarł. Przez chwilę wydawało się, że czeka ich rozczarowanie, ponieważ linia brzegowa stopniowo skręcała na północ, tak jak myślał Lackland. Ocean kończył się jakieś tysiąc dwieście mil na zachód i czterysta czy pięćset na północ - wybrzeże zakręcało z powrotem na zachód. W tym miejscu uchodziła do niego ogromna rzeka i, mając nadzieję, że może to być cieśnina prowadząca do wschodniego morza, Lackland zaczął dopasowywać zdjęcia, które obejmowały górne jej dopływy. Odkrycie serii progów rzecznych położonych jakieś dwieście pięćdziesiąt mil w górę rzeki szybko odwiodło go od tego pomysłu. Łącząc mozaikę zdjęć w tym kierunku odkryli łańcuch całkiem sporych gór i Ziemiannin spojrzawszy z mapy, smutno potrząsając głową. Barlennan nauczył się już

rozumieć znaczenie tego gestu.

- Nie rezygnuj zawczasu! - wykrzyknął kapitan. - Wzdłuż środka mojego kraju biegnie podobne pasmo, które okazało się dość wąskim półwyspem. Zbuduj przynajmniej na tyle duży obraz, by można określić jakie rzeki płyną po drugiej stronie gór.

Lackland bez zbytniego optymizmu - zbyt dobrze pamiętał kontynent południowoamerykański na jego własnej planecie, by zakładać istnienie symetrii jakiej spodziewał się Mesklinita - zgodził się na sugestię Barlennana. Okazało się, że pasmo było dość wąskie; ciągnęło się mniej więcej ze wschodu i północnego wschodu na zachód i południowy zachód. Ku zaskoczeniu człowieka, liczne strumienie szybko zaczęły łączyć się po drugiej stronie w ogromną rzekę. Płynęła mniej więcej równolegle do pasma, poszerzając się coraz bardziej i ich nadzieje ponownie zaczęły wzrastać. Pięćset mil w dół rzeki jej szerokie ujście połączyło się niezauważalnie ze wschodnim oceanem. Działając gorączkowo, rzadko przerywając pracę na posiłek lub odpoczynek, których tak potrzebował przy dziwnej grawitacji Mesklina, Lackland układał zdjęcia; w końcu podłogę pokoju pokryła nowa mapa - prostokąt przedstawiający mniej więcej dwieście tysięcy mil linii brzegowej ze wschodu na zachód i o połowę mniej w kierunku południowym. Na zachodnim końcu mapy widniała wielka zatoka z zakolem, w którym osiadł *Bree*. Na drugim końcu dużą część zajmowała niczym nie wyróżniająca się powierzchnia wschodniego morza. Pomiędzy nimi leżała bariera lądowa.

Była wąska; w najwęższym punkcie, jakieś pięćset mil na północ od równika, mierzyła zaledwie osiemset mil od wybrzeża do wybrzeża. Odległość ta malała znacznie, jeśli brało się ją od najbliższych, zdatnych do wykorzystania punktów najważniejszych rzek. Cała odległość pomiędzy

Bree a stosunkowo łatwym szlakiem do odległego celu Ziemią sprowadzała się do około trzystu mil, po części prowadzących przez pasmo górskie. Trzysta mil, zaledwie krok, jak na odległości na Mesklinie.

Niestety, dla Mesklinity był to zdecydowanie więcej niż krok. *Bree* nadal znajdował się na niewłaściwym oceanie. Po wielu minutach spoglądania w ciszy na leżącą przed nim mozaikę Lackland wypowiedział tę uwagę do swojego małego towarzysza. Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, co najwyżej niechętniej zgody - wnioski były dość oczywiste. Ale tubylec zaskoczył go.

- Nie, jeśli macie więcej tego metalu, na którym po zniszczeniu pojazdu przewieźliśmy ciebie i mięso! - brzmiała odpowiedź Barlennana.

SANIE

Przez długą chwilę Lackland patrzył przez okno w oczy marynarza, przybierając postawę pełną czujności. Jego umysł rozważał implikacje uwagi poczynionej przez małą istotę.

- To znaczy, że chciałbyś holować *Bree* na saniach tak jak holowaliście mnie?

- Niezupełnie. Statek waży o wiele więcej niż my i mielibyśmy te same problemy z ciągnięciem. Miałem na myśli holowanie przy pomocy czołgu.

- Rozumiem. Rozumiem. Z pewnością jest to możliwe na terenie zdatnym do jazdy. Ale czy ty i twoja załoga odważylibyście się na taką podróż? Czy tyle, ile jesteśmy dla was w stanie zrobić, czyli naprawdę niewiele, może wynagrodzić wam dodatkowe problemy i rozłąkę z bliskimi?

Barlennan wyciągnął szczypce w uśmiechu.

- Byłoby to znacznie lepsze niż nasz pierwotny plan. Towary handlowe przewozi się do naszego kraju drogą lądową długimi szlakami karawan z wybrzeży wschodniego oceanu; kiedy docierają do naszych portów są już bajecznie drogie. Uczciwy kupiec nie jest w stanie osiągnąć na nich przyzwoitego zysku. Gdybym je zdobył bez pośrednio, byłoby to niewątpliwie warte zachodu. Oczywiście, musieliście obiecać, że przewiezicie nas z powrotem przez przesmyk.

- To uczciwa umowa Barl. Jestem pewien, że moi ludzie chętnie się zgodzą. A co z samą podróżą lądową? Jest to kraj, o którym nic nie wiecie; czy twoja załoga nie przestraszy się nieznanego lądu, wysokich wzgórz i zwierząt, może większych od tych, które zamieszkują waszą część świata?

- Poznaliśmy już niebezpieczeństwa - odpowiedział Mesklinita. - Przyzwyczailem się do wysoko położonych miejsc - nawet do dachu twojego czołgu. Jeśli chodzi o zwierzęta, *Bree* jest uzbrojony w ogień, a żadne zwierzę lądowe nie może być równie duże jak te, które pływają w oceanach.

- A więc dobrze. Bóg wie, że nie usiłowałem cię zniechęcić. Chciałem tylko mieć pewność, że przemyślałeś całą sprawę, zanim zdecydujesz się na ten projekt. Nie można będzie się wycofać w połowie drogi.

- Nie musisz się obawiać, Charles. Muszę teraz wracać na statek; znowu zbierają się chmury. Powiem załodze o naszych planach, a żeby nikogo nie nawiedzały obawy, przypomnę im, że zyski z podróży będą podzielone według rangi. Nie ma członka załogi, któremu strach zamknąłby drogę do bogactwa.

Rosten dowiedziawszy się o nowym planie zrobił kilka uszczypliwych uwag, ale Lackland mógł liczyć na czołg.

- Wygląda na to, że ten plan da się zrealizować -

przyznał niechętnie. - Jaki rodzaj sań mamy zrobić dla statku twojego przyjaciela? Podaj mi jeszcze raz jego rozmiary.

- *Bree* ma około czterdzieści stóp długości i piętnaście szerokości oraz jakieś pięć, sześć cali zanurzenia. Składa się z wielu tratw, z których każda ma jakieś trzy stopy długości i półtorej szerokości. Są powiązane razem linami, tak że mogą się dość luźno poruszać - domyślam się dlaczego - w tym świecie.

- Hm. Ja też. Gdyby końce okrętu tej długości wspierały się na falach, a środek nie, złamałyby się wpół zanim wyruszyłyby w którąkolwiek stronę. Jaki ma napęd?

- Żagle; na dwudziestu, a może na trzydziestu tratwach znajdują się maszty. Podejrzewam, że na niektórych są też miecze, które można wyciągać, dzięki czemu statek może znaleźć się na brzegu; ale nie pytałem o to. Nie wiem naprawdę, jak zaawansowana jest sztuka żeglarska w tym świecie, ale z opowiadań Barlennana o przebywaniu dużych odległości na otwartym oceanie wnioskuję, że umieją pływać pod wiatr.

- Podzielam twój pogląd. Dobra, zbudujemy tu coś z lekkiego metalu i po zakończeniu wyślemy do ciebie.

- Z przywiezieniem lepiej zaczekajcie do końca zimy. Jeśli zostawicie to na lądzie, zniknie pod śniegiem, a jeśli zrzucicie ładunek u brzegu, trzeba będzie po to nurkować, jeśli woda podniesie się tak, jak oczekuje Barlennan.

- Jeżeli ma się podnieść, to dlaczego zwleka tak długo? Minęła już połowa zimy, w tej części południowej półkuli, którą widzimy, opadów nie brakowało.

- Mnie się pytasz? W ekipie są meteorolodzy, chyba że Mesklin pomieszał im zmysły. Mam własne troski. Kiedy dostanę czołg?

- Pod koniec zimy. A jeśli i ten wysadzisz w powietrze, nie będzie po co zawodzić o następny. Najbliższy znajduje

się dopiero na Ziemi.

Barlennan był w pełni zadowolony z tej rozmowy podczas swej kolejnej wizyty jakieś dwieście dni później. Załoga była entuzjastycznie nastawiona do proponowanej wyprawy. Wabiła ich perspektywa zdobyczy, ale pałali też czystą żądzą przygód, która zagnała ekipę Barlennana tak daleko w nieznane.

- Wystartujemy, gdy tylko minie burza - powiedział do Lacklanda. - Na ziemi nadal będzie sporo śniegu; tam, gdzie trasa prowadzi po lądzie ułatwi nam zadanie.

- Nie sądzę by dla czołgu stanowiło to dużą różnicę - odpowiedział Lackland.

- Dla czołgu nie, ale dla nas tak - zaznaczył Barlennan. - Gdyby zdarzyło się nam spaść z pokładu podczas obiadu, byłoby to denerwujące. Czy zdecydowałeś już jaka trasa będzie najlepsza?

- Pracuję nad tym.

Przyniósł mapę - wynik jego trudu.

- Najkrótsza trasa, którą odkryliśmy razem, ma tę wadę, że musiałbym was holować przez łańcuch górski. Być może jest to wykonalne, ale nie wiem, jak zareaguje twoja załoga. Nie wiem, jak wysokie są te góry, ale w tym świecie każda wysokość jest zbyt duża.

- Opracowałem trasę, którą zaznaczyłem czerwoną linią. Biegnie ona jakieś tysiąc dwieście mil wzdłuż rzeki, która uchodzi do dużej zatoki. Dalej prowadzi lądem przez kolejne czterysta mil aż do górnego biegu innej rzeki. Będziecie mogli popłynąć nią w dół, jeśli zechcecie, albo dalej was poholuję - zależy co pójdzie szybciej albo co będzie dla was wygodniejsze. Najgorsza część trasy prowadzi trzysta lub czterysta mil od równika - kolejne pół g. Ale dam sobie radę.

Po uzgodnieniu trasy Lacklandowi pozostało niewiele do zrobienia. Mesklin dryfował po orbicie w stronę punktu

zrównania dnia z nocą. Miało to nastąpić niedługo - połowa zimy na półkuli południowej przypadała prawie dokładnie wtedy, gdy gigantyczny świat znajdował się najbliżej swego słońca, ruchy orbitalne w czasie jesieni i zimy były niezwykle szybkie. Każda z tych pór roku trwała nieco ponad dwa ziemskie miesiące; natomiast pozostałe - wiosna i lato - około ośmiuset trzydziestu ziemskich dni każda, mniej więcej dwadzieścia sześć miesięcy. Na wyprawę było więc mnóstwo czasu.

Na *Bree* nie panowała jednak bezczynność, do której zmuszony był Lackland. Przygotowania do podróży lądowej były liczne i skomplikowane, nikt z załogi nie wiedział, co statek napotka po drodze. Mogło się okazać, że przez całą podróż będą zmuszeni do korzystania tylko z zapasów albo że znajdzie się dużo zwierząt nie tylko na mięso, ale i na handel, jeśli skóry i kości będą odpowiedniego rodzaju. Podróż mogła okazać się tak bezpieczna, jak bezpieczne są dla marynarzy wszystkie podróże lądowe. Mogli też napotkać przeszkody terenowe lub zagrożenie ze strony istot zamieszkujących ten teren. Pierwszemu nie bardzo byli w stanie zaradzić; było to zadaniem Latacza. Jeśli chodzi o zwierzęta - broń postawiono w stan najwyższej gotowości. Zrobiono maczugi większe od tych, które Hars czy Terblannen byli w stanie podrzucić na większych szerokościach geograficznych; znaleziono rośliny, które w łądogach gromadziły kryształy chloru i napełniono nimi zbiorniki miotaczy ognia. Oczywiście brakowało broni balistycznej; jej pomysł nie zrodził się na świecie, gdzie żaden z mieszkańców nie widział nigdy stałego, niepodpartego przedmiotu, ponieważ spadały one zbyt szybko. Pocisk kalibru 50mm wystrzelony poziomo na biegunie Mesklina spadłby na ziemię po przebyciu stu jardów. Od chwili poznania Lacklanda Barlennana wyrobił sobie pewną koncepcję „rzutu” i nawet rozważał, czy nie

zapytać Latacza o możliwość broni opartej na tej zasadzie; ale zdecydował, że lepiej trzymać się bardziej znanych rodzajów uzbrojenia. Lackland ze swojej strony zastanawiał się nad potencjalnym spotkaniem rasy, znającej łuk i strzały. Zrobił w tej dziedzinie więcej niż Barlennan: nakreślił sytuację Rostenowi i nalegał, by wyposażyc czołg w 40-milimetrowe działo z pociskami termicznymi i burzącymi. Po zwykłym dla siebie zrzęczeniu Rosten wyraził zgodę.

Sanie ukończono z łatwością i szybko; arkuszy metalu było całe mnóstwo, a konstrukcja nie była skomplikowana. Zgodnie z radą Lacklanda nie wysłano ich na Mesklin natychmiast po ukończeniu, ponieważ wiatry nadal osadzały ogromne ilości metanowego śniegu z lekkim zabarwieniem amoniaku. Poziom oceanu w pobliżu równika nie podniósł się jeszcze w widoczny sposób, meteorolodzy zaczęli robić złośliwe uwagi na temat prawdomówności i zdolności lingwistycznych Barlennana, ale kiedy wraz z nadejściem wiosny słońce sięgało coraz dalej na półkulę południową, na widok nowych zdjęć specjaliści od pogody zamilkli. Można było zobaczyć ich, jak wędrują wokół stacji i mamrocą do siebie w roztargnieniu. Poziom morza na większych szerokościach geograficznych zdążył się podnieść o kilkaset stóp, tak jak przewidział tubylec i co dnia podnosił się w widoczny sposób. Zjawisko dużej różnicy poziomów morza w tym samym czasie i na tej samej planecie było dość odległe od doświadczenia meteorologów szkolonych na Ziemi; żaden z naukowców, uczestników ekspedycji nie będących ludźmi, także nie potrafił wyjaśnić tej sprawy. Spece od pogody dalej głowili się nad tym, kiedy łuk drogi słońca złagodniał i na południowej półkuli Mesklina zaczęła się oficjalna wiosna.

Częstotliwość i siła burz zmniejszyły się dużo wcześniej, po części dlatego, że od połowy zimy promieniowanie na

północnej powłoce polarnej zmniejszało się bardzo gwałtownie z powodu ekstremalnego spłaszczenia planety. W tym samym czasie odległość Mesklinia od słońca zwiększała się o ponad pięć procent; Barlennan, po odbyciu konsultacji w tej sprawie, miał ochotę rozpocząć wyprawę z nadejściem astronomicznej wiosny i nie był ani trochę zaniepokojony wichurami towarzyszącymi zrównaniu dnia z nocą.

Lackland zdał stacji na wewnętrznym księżycu raport o gotowości tubylca. Od razu rozpoczęto operację przesłania czołgu i sań na powierzchnię. Od tygodni wszystko było gotowe.

Chociaż sanie były lekkie, a siła ciągu wytworzona przez pręty paliwa wodorowo-żelazowego fantastycznie wysoka, konieczne były dwie podróże rakiety z ładunkiem. Najpierw wysłano sanie - załoga *Bree* mogła wciągnąć na nie statek, gdy rakietę poleciała z powrotem po czołg. Lackland ostrzegł przed lądowaniem blisko statku, toteż niezgrabnie wyglądającą platformę pozostawiono obok kopuły do momentu odholowania jej na brzeg morza. Traktorem kierował Lackland osobiście, chociaż obok stała załoga rakiety pragnąca zaspokoić swoją ciekawość; w razie potrzeby gotowa pomóc przy załadunku.

Pomoc ludzi nie była jednak potrzebna. Przy grawitacji równej zaledwie trzem grawitacjom ziemskim Mesklinicy byli fizycznie zdolni podnieść swój statek i przemieścić go; ich nie dający się zmienić stan mentalny, który nie pozwalała, by jakakolwiek część ich ciała znalazła się pod taką masą, nie przeszkodził im holować jej z łatwością przez plażę za pomocą lin. Każdy członek załogi był mocno przytwierdzony do drzewa jedną parą tylnych szczypiec lub obydwoma. *Bree* ze zwiniętymi żaglami i opuszczonymi masztami, przesunął się ruchem ślizgowym na lśniącej metalową platformę. Okazało się, że Barlennan miał rację,

czuwając by statek nie przymarzył do plaży. W ciągu ostatnich tygodni poziom oceanu zaczął się podnosić, tak jak wcześniej na bardziej wysuniętych na południe terenach. Posuwający się ocean, z którego powodu trzeba było już wcześniej przesunąć *Bree* dwieście jardów w głąb lądu, z pewnością uwolniłby go od lodów, gdyby było to konieczne.

Budowniczości sań na odległym Tooreyu zapewnili wystarczającą liczbę pętli i klinów, aby marynarze mogli mocno przywiązać *Bree*. Olinowanie wydało się Lacklandowi niezwykle cienkie, ale tubylcy mieli do niego pełne zaufanie. Słusznie, pomyślał, skoro utrzymywało ono statek w czasie sztormów, kiedy on sam nie wszedłby na pokład w pełnej zbroi. Pomyślał, że warto by się dowiedzieć, czy olinowanie i materiał, jaki stosowali Mesklinicy, wytrzymałyby w ziemskich temperaturach.

Ten ciąg myśli przerwało nadejście Barlennana z raportem, że wszystko na statku i na saniach było gotowe. Sanie przymocowano do czołgu kablem holującym; czołg posiadał zapasy na wiele dni. Planowano, że w razie potrzeby Lacklanda będzie zaopatrywać statek, lądujący wystarczająco daleko z przodu, by nie wywołać paniki wśród tubylców. Po pierwszym wypadku Lackland nie zamierzał otwierać czołgu na otwarte powietrze częściej niż było to konieczne.

- Sądzę, mały przyjacielu, że jesteśmy gotowi do drogi - stwierdził w odpowiedzi na oświadczenie Barlennana. - Nie będę potrzebował snu przez wiele godzin; w tym czasie możemy przebyć pokaźną odległość w górę strumienia. Wolałbym, żeby wasze dni były dłuższe; nie bardzo podoba mi się jazda po śniegu w ciemnościach. Nie sądzą, by nawet twoja załoga była w stanie wyciągnąć czołg z dziury.

- Ja też w to wątpię, chociaż moja zdolność szacowania ciężarunku jest bardzo niepewna tu, na Krańcu - odpowiedział

kapitan. - Jednak wątpię by ryzyko było bardzo duże. Śnieg nie jest wystarczająco zbity, by zakryć ogromną dziurę.

- Chyba, że zasy wypełnią ją całkowicie. Dobra, będę się tym martwił, jeśli taką napotkamy. Wszyscy na pokład!

Wszedł do czołgu, szczelnie zamknął drzwi, wypompował atmosferę Mesklina i wpuścił ziemskie powietrze, które zostało skompresowane. Mały zbiornik z algami, którego zadaniem było utrzymanie świeżości powietrza, zamigotał, gdy cyrkulatory zaczęły przepuszczać przezeń pęcherzyki powietrza. Małeńki spektrometryczny czujnik zgłosił, że zawartość wodoru w powietrzu była marginalna; po otrzymaniu tej informacji Lackland bez dalszych wahań włączył główne motory i pokierował czołg wraz z jego nieporęczną przyczepą na wschód.

Prawie płaski teren wokół zatoczki stopniowo zaczął się zmieniać. Po jakichś czterdziestu dniach, kiedy Lackland musiał zatrzymać się, żeby się przespać, mieli za sobą pięćdziesiąt mil i znajdowali się na terenie falistych wzgórz sięgających trzystu, może czterystu stóp. Nie było żadnych problemów ani z ciągnięciem sań, ani z powożeniem nimi. Barlennan zgłosił przez radio, że załoga dobrze się bawi i że niezwykła beczynność nikogo nie zmartwiła. Czołg wraz z holowanymi saniami rozwijał prędkość około pięciu mil na godzinę, czyli dużo szybciej niż pełzanie się Mesklinitów. Przy śmiesznej dla nich grawitacji część załogi wychodziła na zewnątrz i eksperymentowała z innymi metodami podróży. Jak dotąd nikt jeszcze nie skakał, ale wyglądało na to, że Barlennan niedługo będzie miał towarzyszy, którzy przestaną obawiać się upadków.

Jak dotąd nie zauważyli żadnej fauny, ale na śniegu pojawiły się pojedyncze ślady, należące zapewne do istot, które załoga *Bree* łowiła na żywność podczas zimy. Życie roślinne było wyraźnie odmienne; w niektórych miejscach śnieg był niemal zakryty trawopodobną roślinnością, a w

pewnym momencie załoga zamarła z zachwytu na widok rośliny, która przypominała Lacklandowi kikutowate drzewo. Mesklini nie widzieli dotąd niczego, co rosłoby tak wysoko od ziemi.

Gdy Lackland spał w swojej ciasnej kwaterze na tyle wygodnie, jak było to możliwe przy tej grawitacji, załoga rozproszyła się po otaczającym terenie. Częściowo powodowało nimi pragnienie zdobycia świeżego jedzenia, ale celem, który naprawdę im przyświecał, było uzyskanie towaru na sprzedaż. Wszyscy byli świadomi ogromnej wartości roślin, z których uzyskiwano coś, co Lackland nazwał przyprawami, ale żadna z nich nie rosła w pobliżu. Były tu liczne rośliny nasienne - prawie połowa z nich miała liściopodobne dodatki oraz korzenie; problem polegał na tym, że nie było wiadomo, czy można bezpiecznie je zjeść, nie mówiąc już o tym, czy były smaczne. Żaden z marynarzy Barlennana nie był na tyle naiwny, by spróbować pochopnie rośliny, którą widział po raz pierwszy - zbyt duża część życia roślinnego na Mesklinie broniła się truciznami z przerażającą efektywnością.

Istotnie, marynarze przynieśli na statek liczne, wzbudzające nadzieję okazy, ale żaden z nich nie był w stanie zasugerować wykorzystania swojego odkrycia. Sam Dondragmer odbył wycieczkę, którą można było określić jako udaną; mając więcej wyobraźni niż kompani, pomyślał o tym, by patrzeć *pod* przedmioty, dlatego też przewrócił wiele kamieni. Na początku był trochę zaniepokojony tą czynnością, ale w końcu nerwowość całkiem go odeszła; zawładnął nim autentyczny entuzjazm dla tego nowego sportu. Odkrył, że nawet pod dość ciężkimi kamieniami można było znaleźć mnóstwo rzeczy i wkrótce wrócił na statek niosąc liczne przedmioty - wszyscy zgodnie uznali, że były to jaja. Karondrasee zajął się nimi - nikt nie bał się

spożywania żadnego rodzaju pokarmu pochodzenia zwierzęcego - wkrótce opinia ta okazała się trafna. Były to jaja - i to bardzo dobre. Dopiero gdy zostały pochłonięte, pomyśleli o zostawieniu kilku na wylęg, żeby dowiedzieć się do jakiego gatunku należą. Pomysł przyjęto z entuzjazmem i wszyscy jeszcze raz wylegli by szukać jaj. Kiedy Lackland się obudził, część *Bree* była już inkubatorem.

Po upewnieniu się, że cała załoga *Bree* wróciła na pokład, włączył silnik i podążył dalej na wschód. W ciągu kilku następnych dni wzgórze stały się wyższe, dwa razy przejechali przez strumienie metanu, na szczęście wąskie. Dobrze się stało, że wysokość wzgórz wzrastała stopniowo, ponieważ marynarze czuli się niepewnie, gdy musieli patrzeć w dół na jakąkolwiek odległość, ale uczucie to stopniowo malało - relacjonował Barlennan. Później, jakieś dwadzieścia dni od rozpoczęcia drugiego odcinka podróży, miejsce lęku wysokości zajęło coś, co przykuło uwagę wszystkich na obu pojazdach.

OBRONA Z KAMIENI

Do tej pory większość wzgórz miała łagodne, gładkie zbocza, których nieregularność dawno zniszczyła pogoda. Nie było dziur ani szczelin lodowcowych, których Lackland obawiał się przed rozpoczęciem wyprawy. Nawet gdyby jechali szybciej, prawie nie zauważyliby przejechania przez gładko zaokrąglone szczyty wzgórz. Teraz jednak, gdy zbliżali się do kolejnego kopca i mogli ogarnąć krajobraz znajdujący się przed nimi, oczy wszystkich spostrzegły natychmiast zmianę wyglądu następnego wzgórze.

Było dłuższe niż większość wzgórz, przez które przejechali, bardziej przypominało grzbiet przecinający ich

ścieżkę, ale wierzchołek stanowił ogromną różnicę. Brakowało mu łagodnej, wypolerowanej przez wiatr krzywizny swoich sąsiadów i na pierwszy rzut oka wyglądało na postrzępione; wieńczył je rząd głazów oddalonych od siebie z regularnością, która mogła oznaczać jedynie ułożenie przez istoty inteligentne. Niektóre skały były wielkości czołgu Lacklanda, inne - małe jak piłka do baseballa; wszystkie, choć miały chropowatą powierzchnię, posiadały raczej sferyczne kształty. Lackland natychmiast zatrzymał pojazd i chwycił okulary - częściowo był ubrany w zbroję, ale bez hełmu. Barlennan, zapominając o obecności swojej załogi, wykonał skok na ponad dwadzieścia jardów, które oddzielały *Bree* od czołgu i mocno usadowił się na jego dachu. Dużo wcześniej zamontowano tam radio dla jego wygody i zanim jeszcze zdążył wylądować, zaczął mówić.

- Co to jest, Charles? Czy to miasto takie jak w twoim świecie, o których mi opowiadałeś? Nie bardzo przypomina twoje zdjęcia.

- Miałem nadzieję, że to ty mi powiesz, co to jest - padła odpowiedź. - Na pewno nie miasto, a większość kamieni jest umieszczona zbyt daleko siebie, jak na mur czy fortecę. Czy widzisz, żeby coś się wokół nich poruszało? Przez te okulary nic takiego nie widzę, ale może masz lepszy wzrok.

- Widzę tylko, że wierzchołek wzgórza jest nieregularny; jeśli przedmioty na szczycie to luźne kamienie, będę ci musiał wierzyć na słowo, zanim podjedziemy bliżej. Na pewno nic się nie rusza. Ale z tej odległości trudno dostrzec kogoś o moich rozmiarach.

- Byłbym w stanie zobaczyć ciebie przy tych głazach, ale nie zdołałbym policzyć twoich oczu i ramion. Mogę z dużą pewnością powiedzieć, że wierzchołek wzgórza jest opustoszały. Mimo to sądzę, że te kamienie nie znalazły się tam przypadkowo; lepiej miejmy oczy otwarte. Ostrzeż

swoją załogę.

Kiedy słońce znalazło się wystarczająco daleko, by rozjaśnić miejsca będące wcześniej w cieniu, zatrzymali się i przyglądali terenowi. Jednak wśród cieni niczego nie wykryli i w końcu Lackland ponownie uruchomił czołg. Słońce zaszło, gdy zjeżdżali ze wzgórza. Czołg dysponował tylko jednym reflektorem, który Lackland kierował cały czas na podłoże; dlatego też nie widzieli, co działo się wśród kamieni na górze, jeśli coś się działo. Wschód słońca zastał ich przy przekraczaniu kolejnego strumienia. Napięcie wrosło, kiedy wjeżdżali na kolejne wzgórze. Przez minutę, dwie nie było nic widać, ponieważ słońce znajdowało się bezpośrednio przed nim; później podniosło się na tyle, by mieli dobry widok do przodu. Żadne z wlepionych w szczyt wzgórza oczu nie zarejestrowało jakiegokolwiek zmiany w stosunku do wyglądu z poprzedniej nocy. Powstało niejasne wrażenie - Lackland odkrył, że Mesklinici też je podzielali - że teraz kamieni przybyło; ale ponieważ nikt wcześniej nie próbował ich policzyć, nie można było tego dowieść. Nadal nie zauważyli żadnego ruchu.

Wjazd na górę z szybkością czołgu - pięć mil na godzinę - zajęło pięć do sześciu minut, toteż słońce stało zdecydowanie z tyłu, gdy dotarli do szczytu. Lackland odkrył, że luki pomiędzy większymi kamieniami były wystarczająco duże, by zmieścić się tam czołg wraz z saniami. Gdy znaleźli się blisko wierzchołka grani, skręcił w stronę jednej z nich. Zmiażdżył kilka mniejszych głązów i Dondragmer na statku za czołgiem pomyślał, że jeden z nich uszkodził czołg ponieważ maszyna gwałtownie zatrzymała się. Barlennan nadal znajdował się na dachu pojazdu, a wszystkie jego oczy badały teren przed nimi. Oczywiście Latacz siedział w pojeździe, ale mat *Bree* zdecydował, że w odległej dolinie pojawiło się coś

interesującego

- Kapitanie! Co się dzieje?

Dondragmer zadał pytanie wskazując jednocześnie załodze obsługującej broń, by zajęła miejsce przy miotaczach. Reszta załogi bez rozkazu rozlokowała się przy zewnętrznych tratwach z pałkami, nożami i włócznieami. Przez długą chwilę Barlennan nie odpowiadał i mat miał już wysłać ekipę na zewnątrz, by ubezpieczała czołg - nic nie wiedział na temat możliwości szybkostrzelnego działka, które Lackland miał do dyspozycji - kiedy kapitan zobaczył co się dzieje i uspokoił go gestem.

- Myślę, że wszystko w porządku - powiedział. - Nie widać ruchu, ale to miejsce przypomina trochę miasto. Za chwilę Latacz wyciągnie was do przodu i będziecie mogli sami zobaczyć.

Przeszedł na angielski i poprosił Lacklanda o podciągnięcie sań. Załoga Bree mogła osobiście ocenić tajemniczy fenomen.

To, co Lackland ujrzał od razu, a Barlennan mniej wyraźnie, było szeroką, płytką doliną przypominającą misę otoczoną przez wzgórza, takie jak to, na którym stali. Lackland szukał jeziora; nie było widać odpływu dla deszczu lub stopniałego śniegu. Później zauważył, że na wewnętrznych stokach wzgórz śniegu nie było. Ich topografia była zaiste dziwna, daleka od naturalnej.

W dół od grzbietów znajdowały się szerokie, płytkie kanały o regularnym układzie; przekrój poprzeczny przez wzgórza poprowadzony u ich podstawy sugerowałby przepiękną serię fal oceanicznych. Kanały, w miarę jak prowadziły w kierunku środka doliny, stawały się węższe i głębsze, jakby zostały zaprojektowane do odprowadzania deszczówki do centralnego zbiornika. Wbrew tej hipotezie, nie wszystkie spotykały się w centrum - nawet tam nie sięgały, choć wszystkie dochodziły do stosunkowo

niewielkiego dna doliny. Bardziej interesujące od samych kanałów wydawały się oddzielające je wzniesienia, w górnej części stoków gładko zaokrąglone grzbietami, ale im bardziej w dół, tym ich boki stawały się coraz bardziej strome, aż do prostopadłego styku z dnem kanałów. Kilka tych ścian ciągnęło się prawie do środka doliny. Delikatne zakrzywienia bardziej przypominały kołnierze pompy odśrodkowej niż szprychy koła. Ich końce były zbyt wąskie, by mógł przecisnąć się tam człowiek.

Lackland ocenił, że zarówno kanały, jak i oddzielające je ściany, miały przy końcu około piętnastu, dwudziestu stóp szerokości. Były więc wystarczająco grube, by mógł tam ktoś zamieszkać, szczególnie Mesklinici; istnienie licznych otworów rozsianych w dolnych częściach ścian dawało podstawy do przypuszczeń, że były tam czyjeś siedziby. U podstaw ścian otwory te posiadały prowadzące do nich rampy; dlatego zanim zobaczył jakąkolwiek żywą istotę, Lackland był pewien, że patrzy na miasto. Wyglądało na to, że istoty te stworzyły całą konstrukcję po to by, odprowadzać deszczówkę. Nie przyszło mu do głowy pytanie, dlaczego nie mieszkają na zewnętrznych stokach wzgórz, gdzie było sucho.

Rozmyślał właśnie nad tym, gdy Barlennan zwrócił się o przeciągnięcie *Bree* przez wierzchołek wzgórze, zanim słońce zakłóci dobrą widoczność. Kiedy czołg ruszył, dwadzieścia ciemnych postaci pojawiło się w otworach, które mogły być drzwiami. Z tej odległości trudno było ocenić szczegóły, ale z pewnością były to żywe istoty. Lackland heroicznie powstrzymał się od zatrzymania czołgu i złapania ponownie za okulary, zanim nie dociągnął *Bree* do dobrego punktu obserwacyjnego.

Nie było potrzeby, żeby się spieszył. Istoty pozostały w bezruchu, prawdopodobnie obserwując nowoprzybyłych, aż holowanie zostało zakończone. Pozostały do zachodu

słońca czas spędził na dokładnych oględzinach tubylców. Nawet przez okulary nie dało się rozróżnić niektórych szczegółów, gdyż istoty nie wysunęły się całkowicie ze swoich siedzib, jednak prawdopodobnie należały do tej samej rasy co Barlennan. Ich ciała były długie i gąsienicowate; liczne oczy - trudno je było policzyć z takiej odległości - znajdowały się na przednim segmencie ciała. Wyróżniały się też kończyny, podobne do wyposażonych w szczypce ramion Barlennana, jeśli nie identyczne. Ubarwienie było pomieszaniem czerwieni i czerni, przy czym przeważała czerń, tak jak w przypadku załogi *Bree*.

Barlennan nie mógł widzieć tego wszystkiego, ale Lackland przekazywał mu opis aż do chwili, kiedy leżące w dole miasto znikło w mroku. Kiedy skończył mówić, kapitan przekazał oczekującej w napięciu załodze skróconą wersję we własnym języku.

- Barł, czy słyszałeś o ludziach, którzy mieszkają tak blisko Krańca? - spytał Lackland - Czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że ich znasz lub, że mówią tym samym językiem co ty?

- Wątpię. Jak wiesz, moi ludzie poczuli się bardzo nieswojo na północ od tego, co kiedyś nazwałeś „linią stu g”. Znam kilka języków, ale nie uważam, by mówiło się tu jednym z nich.

- To co robimy? Przemkniemy obok miasta czy też przejedziemy przez nie ryzykując, że mieszkańcy nie są wojowniczy? Przyznaję, że chciałbym zobaczyć je z bliska, ale mamy ważne zadanie do wykonania i nie chcę ryzykować szans jego powodzenia. Ty znasz swoją rasę lepiej niż ja; jak mogą na nas zareagować?

- W tej sprawie nie ma reguł. Mogą być przerażeni do utraty zmysłów widokiem twojego czołgu lub też mojej osoby na nim, chociaż tu na Krańcu mogli utracić normalny instynkt wysokości. Podczas naszych wędrówek

spotkaliśmy mnóstwo dziwnych ludzi, czasem z nimi handlowaliśmy, a czasem musieliśmy walczyć. Ogólnie rzecz biorąc powiedziałbym, że jeśli schowamy broń i pokażemy towary handlowe, przed użyciem siły przynajmniej zbadają sprawę. Chciałbym zejść na dół. Jak myślisz, czy sanie zjadą na dno tych kanałów?

Lackland nie odpowiedział.

- Nie myślałem o tym - przyznał po chwili. - Najpierw chciałbym je dokładnie zmierzyć. Może dobrze by było, gdyby najpierw zjechał sam czołg wraz z tobą i wszystkimi, którzy będą mieć ochotę na przejażdżkę na dachu. Może dzięki temu będziemy wyglądać bardziej pokojowo. Musieli widzieć broń, którą mają twoi ludzie, więc jeśli zostawimy ich z tyłu...

- Jeśli ich oczy nie są dużo lepsze od naszych, to nie widzieli broni - zauważył Barlennan. - Niemniej zgadzam się, że lepiej będzie zjechać i zmierzyć - albo jeszcze lepiej najpierw odholować statek przez dolinę, a potem zjechać na dół na rekonesans. Nie widzę potrzeby, by narażać statek na ryzyko w tych wąskich kanałach.

- To jest myśl. Tak, to najlepszy pomysł. Powiedz załodze, co zdecydowaliśmy i spytaj, czy ktoś ma ochotę zjechać z nami później.

Na ogół załoga zaakceptowała, że wskazane jest przewieźć statek dookoła miasta, ale od tego momentu zaistniały pewne problemy. Wszyscy chcieli zobaczyć miasto, lecz nikt nie chciał słyszeć o jeździe na czołgu, choć często widzieli, że ich kapitan robił to bez żadnej szkody. Dondragmer przerwał impas sugerując, by oprócz żeglarzy pozostawionych na straży *Bree*, reszta załogi szła za czołgiem do miasta; wszyscy mogli teraz poruszać się z szybkością pojazdu.

Po kilku minutach słońce weszło ponownie nad horyzontem. Na sygnał Barlennana Ziemiannin obrócił czołg

o dziewięćdziesiąt stopni i rozpoczął jazdę okrążając brzeg doliny tuż poniżej ściany z głazów. Wcześniej spojrział na miasto, ale nie zauważył żadnych oznak życia; ale gdy czołg ruszył - w małych drzwiach znowu pojawiły się głowy - tym razem było ich dużo więcej. Lackland mógł skoncentrować się na prowadzeniu pojazdu, był pewien, że tubylcy poczekają na niego na dole i będzie się im mógł z bliska przyjrzeć. Przewiezienie sań na przeciwległą część doliny zajęło mu kilka dni; następnie odwiązano kabel holowniczy i czołg skierował się na dół.

Praktycznie nie trzeba było nim kierować; pojazd jechał wzdłuż pierwszego kanału, który napotkał i sam toczył się w kierunku miejsca, które Lackland zaczął uważać - na zasadzie skojarzeń - za miejski rynek. Mniej więcej połowa załogi *Bree* szła za nim; reszta, pod dowództwem drugiego mata, pozostała na straży statku. Barlennan jechał na dachu czołgu, a większość towarów na sprzedaż bądź wymianę leżała na stercie za nim.

Kiedy zbliżali się z tej strony doliny, wschodzące słońce znajdowało się za nimi, dlatego też widoczność była dobra. A zobaczyć można było sporo. Na widok obcych niektórzy mieszkańcy miasta całkowicie wyszli ze swoich siedzib.

Gdy odległość zmniejszyła się, stało się jasne, że istoty te, mimo początkowego wrażenia, nie należały do rasy Barlennana. Faktycznie, były podobne; kształt ciała, proporcje, liczba oczu i kończyn - wszystko się zgadzało; ale mieszkańcy miasta mieli ponad trzy razy większą długość od podróźnych z dalekiego południa. Ich ciała mierzyły pięć stóp wysokości, a szerokość i grubość odpowiadały proporcjonalnie temu wymiarowi.

Niektóre istoty podniosły w powietrze przednią część swoich długich ciał w widocznym wysiłku, by lepiej zobaczyć nadjeżdżający czołg. Czynność ta odróżniała ich od rasy Barlennana w równym stopniu co rozmiar. Części

te falowały nieco z boku na bok, trochę tak jak u węży, które Lackland widział w muzeach na Ziemi. Poza tym ledwo zauważalnym ruchem ani drgnęły, nawet gdy dziwny metalowy potwór, sunący miarowo w dół kanałem, niemal zniknął, ponieważ ściany po obu stronach stopniowo urosły do wysokości jego dachu. W końcu wydostali się na otwartą przestrzeń pośrodku miasta przez coś w rodzaju alei o wystarczającej szerokości. Jeśli istoty te porozumiewały się, robiły to zbyt cicho, by Lackland lub Barlennan mogli to usłyszeć. Brakowało nawet gestów szczypcami, które zastępowały u Mesklinitów znaczną część werbalnej rozmowy. Istoty po prostu czekały i patrzyły.

Marynarze pchali się pozostawionym po bokach czołgu wąskim przejściem - Lackland właśnie wyprowadził pojazd z alei - i rozglądali się wokół w ciszy. Według nich mieszkania składały się ze ścian grubości trzech cali z dachem z materiału dla ochrony przed warunkami atmosferycznymi; myśl o pokryciu z solidnego materiału była dla nich nie do zniesienia. Gdyby nie widzieli na własne oczy gigantycznych mieszkańców miasta w środku tych dziwnych konstrukcji, uznaliby je za nowy rodzaj naturalnego ukształtowania terenu.

Kapitan nie popierał marnotrawienia czasu. Miał zamiar handlować z autochtonami, a jeśli nie chcieliby handlować, pojechałby dalej. Zaczął zrzucać zapakowane towary z dachu i wołać do swoich ludzi, aby się nimi zajęli. Gdy tylko paczki przestały spadać, Barlennan skoczył na ziemię - wydawało się, że czyn ten ani trochę nie zaniepokoił obserwujących go w ciszy gigantów - i przyłączył się do wystawiania towarów. Ziemianin przyglądał się temu z zainteresowaniem.

Były tu bele czegoś, co wyglądało jak materiał w różnych kolorach, zawiniątka, które zawierały jakby suszone korzenie albo kawałki liny, maleńkie, zakryte słoiki, i

większe - puste; w większości mógł jedynie zgadywać co to było.

Po ujawnieniu oferty tubylcy zaczęli pchać się do przodu - Lackland nie był w stanie powiedzieć, czy z ciekawości, czy grożąc. Żaden z marynarzy nie okazywał obawy - Lackland zdążył osiąść umiejętność rozpoznawania tej emocji u Mesklinitów. Zanim przygotowania dobiegły końca, czołg był otoczony zwartym kręgiem tubylców. Droga, którą przyjechała ekipa, była jedynym kierunkiem odwrotu. Dziwne istoty zachowywały ciszę, co zaczynało Lacklanda martwić; jednak Barlennan albo nie zwracał na nią uwagi, albo umiał ukryć swoje uczucia. Wybrał z tłumu jedną istotę i rozpoczął proceder sprzedaży.

Lackland nie rozumiał, na czym to polegało. Kapitan nie oczekiwał, że ludzie ci będą rozumieć jego język, ale mówił; jego gesty nie miały dla Lacklanda znaczenia, choć wykonywał ich wiele. Dla obserwatora z innej planety całkowitą tajemnicą pozostawało, w jaki sposób zdołał się porozumieć; jednak wyglądało, że odniósł sukces. W ciągu kilku miesięcy znajomości z tymi dziwnymi istotami Lackland jedynie w nikłym stopniu był w stanie wniknąć w ich psychikę. Trudno go winić; po wielu latach była ona wciąż zagadką dla specjalistów. Tak duża część czynności i gestykulacji Mesklinitów jest bezpośrednio związana z fizycznym funkcjonowaniem ich ciał, że ich znaczenie staje się automatycznie jasne dla kogoś z tej samej rasy. Gigantyczni mieszkańcy miasta, choć nie należeli do gatunku Barlennana, mieli wystarczająco podobną budowę, by komunikowanie się z nimi nie stanowiło problemu, choć Lackland zakładał, że będą z tym kłopoty.

Dość szybko mnóstwo istot zaczęło wychodzić z domów z różnymi artykułami. Chciały je wymienić; pozostali członkowie *Bree* włączyli się aktywnie do targowania się. W tym czasie słońce przemierzyło horyzont i nastąpił

ciemności - Barlennan poprosił Lacklanda o włączenie oświetlenia z czołgu. Barlennan nie był w stanie odczytać żadnych znaków, świadczących o tym, że sztuczne światło zaniepokoiło lub zaskoczyło gigantów w jakimkolwiek stopniu. Koncentrowali swoją uwagę na handlu i gdy ktoś pozbył się tego co miał lub otrzymał to co chciał, wracał do domu robiąc miejsce innym. Naturalną kolejną rzeczą po niewielu dniach wszystkie towary Barlennana zmieniły właścicieli, a świeżo pozyskane artykuły zostały przeniesione na dach czołgu.

Większość tych przedmiotów była dla Lacklanda równie dziwna jak to, czym dysponował Barlennan, jednak dwa szczególnie przyciągnęły jego uwagę. Wyglądało na to, że oba były żywymi zwierzętami, choć nie przyjrzał się ich budowie szczegółowo ze względu na ich małe rozmiary. Oba wyglądały na udomowione; każde z nich kucalo obok marynarza, który je kupił i nie okazywało chęci do ucieczki. Lackland zgadł - poprawnie, jak się później okazało - że były to istoty, które marynarze chcieli hodować, by testować na nich różne pokarmy roślinne.

- Czy to już cała wymiana? - zawołał, gdy ostatni tubylec oddalił się z sąsiedztwa czołgu.

- Tak - odpowiedział Barlennan. - Nic więcej nie mamy na handel. Masz jakieś sugestie, czy też chcesz kontynuować podróż?

- Chciałbym dowiedzieć się, jak wyglądają wnętrza domów; ale nie byłbym w stanie przejść przez drzwi, nawet bez zbroi. Czy mógłbyś spróbować zajrzeć do środka, a może zrobi to ktoś z twoich ludzi?

Barlennan wahał się chwilę.

- Nie jestem pewien, czy byłoby to rozsądne. Ci ludzie pokojowo wymieniali towary, ale jest w nich coś, co mnie niepokoi, chociaż dokładnie nie umiem sprecyzować, co. Może dlatego, że nie spirali się zbyt często o ceny.

- Chcesz powiedzieć, że im nie ufasz? Myślisz, że spróbują odebrać to co dali?

- Tego bym nie powiedział; nie mam właściwie podstaw do podejrzeń. Powiem może tak: jeśli czołg dojedzie z powrotem do obrzeża doliny i zostanie przymocowany do statku tak, że będziemy gotowi do drogi i nie spotkamy się w międzyczasie z żadnymi kłopotami, wróć tu i sam się rozejrzę. W porządku?

Ani Barlennan, ani Lackland podczas rozmowy nie zwracali uwagi na tubylców; ale po raz pierwszy mieszkańcy miasta nie pozostali obojętni. Najbliżsi im giganci zwrócili się z oznakami zaciekawienia w kierunku małego pudełka, z którego wydobywał się głos Lacklanda. W trakcie wymiany zdań, coraz więcej istot zbliżało się słuchając; wydawało się, że oglądanie kogoś mówiącego do pudełka zbyt małego, by znajdowała się w nim jakakolwiek inteligentna istota, zburzyło mur rezerwy. Kiedy w małym głośniku zadudniła końcowa zgoda Lacklanda na sugestię Barlennana i stało się oczywiste, że rozmowa została zakończona, kilku słuchaczy w pośpiechu znikło w swoich domach i prawie natychmiast pojawiło się z nowymi przedmiotami. Pokazały je wykonując gesty, które marynarze już dobrze rozumieli. Giganci chcieli radio i chcieli za nie dobrze zapłacić.

Wydawało się, że odmowa Barlennana zaskoczyła ich. Każdy zaczął oferować wyższą cenę niż poprzednik. W końcu Barlennan odmówił zdecydowanie w jedyny dostępny dla niego sposób - wrzucił odbiornik na dach czołgu, wskoczył za nim i nakazał swoim ludziom, by podawali mu nowo nabyte dobra. Przez kilka sekund giganci byli skonsternowani; później, jakby na sygnał, odwrócili się i poznikali w swoich wąskich drzwiach.

Barlennan poczuł się jeszcze bardziej niepewnie układając nowo nabyte towary, czujnie przyglądał się tyłu

portalom, ile mogły objąć jego oczy; Niebezpieczeństwo nie przyszło jednak z siedzib tych istot. Dostrzegł je wielki Hars, kiedy na pół wzniosł się ponad swych kompanów, naśladując tubylców, aby rzucić szczególnie dużą paczkę do swojego kapitana. Jego jedno oko przypadkowo zerknęło w górę kanału, którym przyjechali; w tym samym momencie wydał z siebie niewiarygodnie głośny gwizd, który nigdy nie przestał zdumiewać i przerażać Lacklanda. Po okrzyku wybuchł potokiem wymowy, który nic nie znaczył dla Ziemanina; Barlennan zrozumiał go, spojrzął w górę i powiedział po angielsku dość, by przekazać to co najważniejsze.

- Charles! Spójrz w górę! *Ruszaj!*

Lackland spojrzął i w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego miasto miało taki dziwny wygląd. Jeden z gigantycznych głazów, w połowie mniejszy od czołgu, został usunięty ze swojego miejsca na obrzeżu doliny. Umieszczono go tuż nad szerokim brzegiem kanału, którym przyjechał czołg; ściany prowadziły go prosto wzdłuż trasy pojazdu. Nadal znajdował się o pół mili od nich i daleko w górze; ale jego szybkość zwiększała się z każdą chwilą. Jego masa podlegała wszak sile grawitacji trzykrotnie większej od ziemskiej!

REMEDIUUM NA LĘK WYSOKOŚCI

Ciało ma swoje ograniczenia, jeśli chodzi o szybkość, ale Lackland znalazł się blisko ustanowienia nowych granic wytrzymałości. Nie zatrzymał się dla rozwiązania równań różniczkowych, które określiłyby czas uderzenia skały; wrzucił gaz, obrócił czołg o dziewięćdziesiąt stopni w sposób, który groził zerwaniem jednej z gaśienic i wydostał się z kanału, którym toczył się na nich ogromny pocisk.

Dopiero w tym momencie był w stanie w pełni docenić architekturę miasta. Kanały nie wychodziły wprost na otwartą przestrzeń, co zauważył już wcześniej; były natomiast tak rozmieszczone, że co najmniej dwa mogły kierować skałę przez każdą część placu. Manewr, jaki wykonał, wystarczył by uchylić się od pierwszego głązu, ale zostało to przewidziane - teraz więcej skał toczyło się ku nim. Przez chwilę rozglądał się na wszystkie strony, daremnie poszukując miejsca, w którym nie mógłby ich dosięgnąć żaden ze zdradzieckich pocisków; następnie celowo obrócił czoło pojazdu w kierunku jednego z kanałów i ruszył pod górę. Nim także toczył się głąz; kamień ten wydał się Barlennanowi największy. Mesklinita szykował się do skoku, zastanawiając się czy Latacz nie postradał zmysłów; nagle posłyszał huk, który przerósł wszystko, co jego własny aparat dźwiękowy mógł wyprodukować. Gdyby jego układ nerwowy reagował tak jak u większości zwierząt na Ziemi, wylądowałby w połowie wzgórza. Jednak u gatunku Barlennana zaskoczenie przejawiało się zastyganiem w bezruchu, toteż aby zdjąć go w takiej chwili z dachu czołgu trzeba byłoby dźwigu. Czteryście jardów przed nimi, pięćdziesiąt przed toczącą się skałą, fragment kanału buchnął ogniem i popiołem - zapalniki w pociskach Lacklanda były wystarczająco wrażliwe, by reagować nawet na muśnięcie. Chwilę później głąz wpadł w chmurę pyłu i lufa zaryczyła ponownie, rozłupując go na pył.

W miejscu, z którego staczano głązy tym kanałem, znajdowały się następne, ale nie zostały zepchnięte. Wyglądało na to, że tubylcy dość szybko zanalizowali nową sytuację i zrozumieli, że tą metodą nie zniszczą czołgu. Lackland nie mógł w żaden sposób przewidzieć co jeszcze mają w zanadrzu, ale najbardziej oczywistą możliwością był atak bezpośredni. Było prawie pewne, że mogli dostać się na dach czołgu z taką samą łatwością, z jaką zrobił to

Barlennan oraz odebrać wszystkie towary wraz z radiem. Trudno było mniemać, że marynarze mogliby ich zatrzymać. Podzielił się tą myślą z Barlennanem.

- Faktycznie, mogą spróbować ataku - brzmiała odpowiedź. - Ale jeśli spróbują podejść z dołu, uderzymy w nich z góry. Jeśli skoczą, mamy pałki. Nie wiem, w jaki sposób ktoś mógłby uniknąć ciosu płynąc w powietrzu.

- Ale jak możesz odeprzeć atak z kilku kierunków na raz?

- Nie jestem sam.

Ponownie wykonał gest szczypcami, który u Mesklinitów oznaczał uśmiech.

Lackland mógł widzieć dach czołgu tylko po wsunięciu głowy do małej przezroczystej kopuły wizjera; nie mógł tego zrobić w hełmie. Dlatego nie zdawał sobie sprawy, jaki wpływ ta krótka bitwa wywarła na marynarzy, którzy towarzyszyli mu do miasta.

Nieszczęśnicy znaleźli się w sytuacji równie szokującej, jak ich kapitan, kiedy po raz pierwszy został umieszczony na dachu czołgu. Widzieli ciężkie przedmioty spadające na nich, gdy byli w potrzasku, otoczeni pionowymi ścianami. Wspinanie się na nie byłoby daremne, choć stopy z przyssawkami, które sprawdzały się świetnie w czasie huraganów na Mesklinie, nadawałyby się równie dobrze i do tego zadania. Skok, taki jak te, które wykonywał w ich obecności kapitan, były równie straszne, a może i gorsze. Jednak wszystko to było fizycznie możliwe do wykonania; a kiedy umysł zawodzi, ciało przejmuje jego funkcje. Wszyscy marynarze, oprócz dwóch, wskoczyli na dach czołgu; jeden wdrapał się szybko i sprawnie po ścianie „domu”. Drugim był Hars - po raz pierwszy znalazł się w niebezpieczeństwie. Być może jego ogromna siła fizyczna spowodowała, że wolniej niż inni ulegał panice; może miał zbyt duży lęk wysokości. Niezależnie od przyczyny,

pozostał nadal na ziemi, kiedy ugodził go pocisk wielkości piłki do koszykówki, prawie dokładnie okrągły. Praktycznie uderzył równoważną ilość żywej gumy; skorupa „ochronna” Mesklinitów była zbudowana z materiału, pod względem chemicznym i fizycznym analogicznego do chityny ziemskich owadów, ale o twardości oraz elastyczności współmiernych do ogólnych warunków życia Mesklinity. Skała odbiła się dwadzieścia pięć stóp w górę (przy trzech g!), przemykając ponad ścianą uderzyła rykoszetem w mur kanału po drugiej stronie, odbiła się ponownie i jeszcze raz, aż wyczerpała swą energię. Hars jako jedyny pozostał na placu. Pozostali albo już siedzieli na wieży czołgu obok kapitana, albo w szybkim tempie tam zmierzali; Nawet wspinacz zdecydował się na szybsze skoki.

Hars, choć niewiarygodnie wytrzymały według ziemskich kryteriów, nie był w stanie znieść bez uszczerbku uderzenia, które właśnie otrzymał. Nie stracił oddechu, ponieważ nie miał płuc, ale był podrapany, posiniaczony i ogłuszony. Minęła cała minuta, zanim zdołał podjąć skoordynowaną próbę podążania za czołgiem. Dlaczego w tym czasie nie został zaatakowany, nie wiedział ani on gam, ani Lackland, ani też Barlennan. Ziemianin sądził, że fakt, iż Hars był w stanie w ogóle poruszyć się po takim ciosie oszołomił mieszkańców miasta. Barlennan, mając lepsze rozeznanie w zwyczajach różnych narodów Mesklinitów, pomyślał, że miejscowi bardziej byli zainteresowani kradzieżą niż zabijaniem i po prostu nie widzieli żadnych korzyści z ataku na pojedynczego marynarza. Niezależnie od przyczyny, Hars mógł przyłączyć się do załogi.

Gdy wszyscy znaleźli się bezpiecznie na dachu pojazdu, niektórzy z nich tak stłoczeni blisko krawędzi, że ich nowo nabyta obojętność na wysokość została nieco zachwiana,

Lackland ponownie ruszył pod górę. Wcześniej ostrzegł marynarzy, by trzymali się z dala od lufy działa, wycelowanej do przodu; lecz na szczycie góry nie dostrzegli żadnego ruchu i nie spadło stamtąd więcej kamiennych pocisków. Wyglądało na to, że tubylcy, którzy wprawili je w ruch, wycofali się do tuneli, które ewidentnie prowadziły do miasta. Niemniej jednak, nie było żadnej pewności, że znowu się nie uaktywnią; dlatego też wszyscy bacznie obserwowali okolicę.

Kanał, którym wspinali się pod górę, nie był tym, którym zjeżdżali, dlatego też nie prowadził bezpośrednio do sań. Z wysokości czołgu zobaczyli *Bree* będąc kawałek drogi od wierzchołka. Członkowie załogi, którzy pozostali do jego pilnowania, znajdowali się na miejscu. Wszyscy spoglądali na miasto z widoczną obawą. Dondragmer wymamrotał coś w swoim języku na temat głupoty, jaką był brak posterunków do obserwacji wszystkiego dookoła, co Barlennan powtórzył we wzmocnionej formie po angielsku. Lecz martwili się daremnie, czołg dotarł do sań, obrócił się i został zaprzęzony do ładunku bez dalszych przeszkód. Lackland, już po ponownym ruszeniu w drogę, doszedł do wniosku, że tubylcy przecenili skuteczność działa; atak z bliska - na przykład z ukrytych tuneli - unieszkodliwiłby w pełni tę broń, ponieważ wobec bezpośredniego zagrożenia załogi *Bree* nie mógł użyć pocisków termicznych ani burzących.

Z wielką niechęcią zdecydował, że nie będzie więcej badawczych wycieczek dopóki *Bree* nie dotrze do wód wschodniego oceanu. Barlennan zgodził się na taką konkluzję, choć miał do niej pewne zastrzeżenia, które zostawił dla siebie. Z pewnością, jego załoga będzie pracować podczas snu Latacza.

Kiedy ekspedycja ruszyła ponownie w drogę i skaczący Meskliniści przekazali sprawnie efekty handlu z dachu

czołgu na statek, Lackland skontaktował się z Toorey, pokornie wysłuchał wybuchu Rostena na temat swojej lekkomyślności. Tak jak już parę razy to robił, zamknął mu usta raportem, że obecnie można pobrać dużo tkanek roślinnych, jeśli Rosten przyśle odpowiednie pojemniki.

Minęło wiele dni, zanim rakieta wylądowała - wystarczająco daleko, by nie spowodować rozstroju w systemach nerwowych Mesklinitów - zaczęła na ich przyjazd i odebrała nowe okazy. Potem musiała czekać aż czołg odjedzie bezpiecznie z zasięgu podmuchu powstającego przy starcie. Dni te, poza odwiedzinami promu, upłynęły bez szczególnych przygód. Co kilka mil widzieli jakiś szczyt wzgórza otoczony głazami, który profilaktycznie omijali z daleka; poza obrębem miast nie spostrzegli też żadnego z tubylców gigantów. Fakt ten raczej martwił Lacklanda, nie mogącego wyobrazić sobie, w jaki sposób i gdzie miejscowi zdobywali jedzenie. Ponieważ nie miał innego zajęcia oprócz stosunkowo nudnej czynności prowadzenia pojazdu, stworzył wiele hipotez na temat istot zamieszkujących ten obszar Mesklina, który właśnie przemierzali. Od czasu do czasu relacjonował je Barlennanowi, który jednak w niczym nie był mu w stanie pomóc.

Jeden z nurtujących go problemów martwił go szczególnie. Dlaczego giganci budowali swoje miasta w taki sposób? Nie mogli przecież spodziewać się przyjazdu czołgu czy też *Bree*. Był to chyba mało praktyczny sposób odpierania najazdu istot tego samego gatunku, które, sądząc po popularności tego zwyczaju, nie dałyby się wciągnąć w pułapkę.

Istniała jednak możliwa przyczyna. Była to tylko hipoteza, ale tłumaczyłaby ona układ miasta oraz nieobecność tubylców na terenach poza nim, a także brak w sąsiedztwie miast czegokolwiek przypominającego ziemię

uprawną. Było w tym dużo gdybania, przede wszystkim w samym założeniu, i Lackland nie wspomniał o nim Barlennanowi. Nie wyjaśniało to faktu, że dotarli tak daleko nie napastowani - jeśli myśl ta była słuszna, powinni byli zużyć o wiele więcej amunicji do szybkostrzelnego działa. Dlatego nie zwierzał się ze swych obaw, a jedynie miał oczy szeroko otwarte.

Nie był natomiast zdziwiony, kiedy któregoś dnia o wschodzie słońca, gdy znajdowali się chyba z dwieście mil od miasta, w którym Hars odniósł obrażenia, mały pagórek z przodu kawalkady nagle podniósł się na dwudziestu słoniowatych nogach. Głowę miał osadzoną na dwudziestostopowej szyi, przez chwilę gapił się na nich całą baterią oczu, a następnie powlókł się na spotkanie zbliżającego się czołgu. Tym razem Barlennan nie siedział na dachu, ale natychmiast odpowiedział na wezwanie Lacklanda. Ziemianin zatrzymał czołg; mieli kilka minut na decyzję jakie działania podjąć, zanim bestia do nich dotrze.

- Barl, założę się, że nigdy nie widziałeś nic podobnego. Nawet przy tkankach tak twardych jak te na waszej planecie, istota ta nie uniosłaby swojej masy na obszarach o większych ciężeniu.

- Masz całkowitą rację. Nigdy nic takiego nie widziałem, ani nawet nie słyszałem. Nie mam pojęcia, czy to zwierzę może być niebezpieczne. Nie wiem też, czy chcę się o tym dowiedzieć. To jest jednak mięso; może byćmy...

- Jeśli chodzi ci o to, że nie wiesz, czy jest to roślinożerca czy mięsożerca, to założę się, że to drugie - odpowiedział Lackland. - Tylko bardzo niezwykle roślinożerca podchodzi do czegoś większego od niego samego natychmiast, gdy to zobaczy. Chyba, że jest na tyle głupi, by sądzić, że czołg jest samicą tego samego gatunku, w co bardzo wątpię. Myślę też, że duży mięsożerca jest najprostszym wytłumaczeniem faktu, dlaczego tubylcy nie

opuszczają swoich miast i zbudowali je jako sprawne pułapki. Prawdopodobnie wabią te stwory pokazując się u podstawy wzgórza, tak jak zrobili to z nami, a następnie kamienują. W ten sposób mięso mają dostarczane pod drzewi.

- Wszystko to jest prawdopodobnie prawdą, ale w tej chwili nic nam to nie pomoże - odpowiedział Barlennan z pewną niecierpliwością. - Co robimy z tym tutaj? Twoja broń, która skruszyła skałę, prawdopodobnie by je zabiła, ale zmarnuje nam mięso. Jeśli wyjdziemy na niego z sieciami, będziemy zbyt blisko żebyś mógł strzelać na wypadek, gdybyśmy znaleźli się w opałach.

- Zastanawiasz się nad użyciem waszych sieci na zwierzę o takich rozmiarach?

- No pewnie. Jestem pewien, że wytrzymają, jeśli tylko je w nie zapędzimy. Problem polega na tym, że jego łapy są zbyt duże, by przeszły przez oczka sieci i nasza zwykła metoda umieszczenia ich na jego drodze nie na wiele się zda. Musielibyśmy zarzucić sieci dookoła jego ciała i nóg, a potem naciągnąć je.

- Masz pomysł, jak to zrobić?

- Nie, ale i tak nie mamy czasu na polowanie. Zaraz tu będzie.

- Zeskocz na dół i odczep sanie. Wyprowadzę czołg do przodu i zajmę go na chwilę, jeśli ci to odpowiada. Jeśli zdecydujecie się zabić go, ale wpadniecie w kłopoty, musicie odskoczyć odpowiednio daleko, zanim użyję działa.

Barlennan zastosował się do pierwszej części sugestii bez wahań i sprzeciwów. Ześlizgnął się z tyłu pojazdu i jednym zręcznym ruchem odczepił zaczep, który łączył kabel holujący z czołgiem. Wydał z siebie gwizd dla zawiadomienia Lacklanda, że zadanie jest wykonane i skoczył na pokład *Bree*.

Zwierzę zatrzymało się, gdy maszyna ponownie ruszyła

do przodu. Głowę opuściło w dół, o jard od ziemi, a długa szyja kołysała się rytmicznie, najpierw w jedną stronę, a potem w drugą. W tym czasie liczne oczy obserwowały sytuację pod każdym możliwym kątem. Nie zwracało uwagi na *Bree*; albo nie zauważało krzątający załogi statku, albo uznało czołg za pilniejszy problem. Kiedy Lackland skierował się w stronę jednego z jego boków, gwałtownie skręciło swoje gigantyczne ciało, by móc znaleźć się na wprost przeciwnika. Przez chwilę Ziemianin chciał obrócić je o sto osiemdziesiąt stopni, tyłem do statku; ale w porę spostrzegł, że w ten sposób *Bree* znalazłby się na linii ognia. Zatrzymał manewr okrążający w chwili, gdy wyprzęgnięte sanie znalazły się po prawej stronie potwora. Przy takim ustawieniu oczu prawdopodobieństwo, że zwierzę zobaczy ruchy marynarzy przed i za sobą było takie samo.

Ponownie ruszył w kierunku zwierzęcia. Kiedy przestał je okrążać, położyło się brzuchem na ziemi; teraz ponownie podniosło się na swoich licznych nogach i wtuliło głowę w swoje wielkie cielsko, zapewne w odruchu ochronnym. Lackland jeszcze raz zatrzymał się, wziął aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć. Następnie, ponieważ wyglądało na to, że nie miało zamiaru atakować, po prostu przyglądał mu się przez minutę czy dwie.

Miało ciało nieco większe niż ziemskie słonie; na Ziemi ważyłoby osiem do dziesięciu ton. Masa była równo rozłożona na dziesięć par nóg zwierzęcia, krótkich i bardzo grubych. Lackland podejrzewał, że nie było ono w stanie wykonywać szybszych ruchów niż te, które widzieli.

Po minucie, może dwóch zwierzę zaczęło się niepokoić. Wystawiło lekko głowę i zaczęło nią kołysać tam i z powrotem, jak gdyby wypatrując innych wrogów. Lackland, w obawie, że uwaga potwora skieruje się na bezbronny teraz *Bree* i załogę, ruszył kilka stóp do przodu; przeciwnik natychmiast wrócił do postawy obronnej. Powtórzyło się to

kilka razy, z przerwami, które były coraz krótsze. Manewr ten trwał do momentu, gdy słońce znikło za wzgórzem na zachodzie. Lackland nie wiedząc, czy bestia będzie chciała toczyć bitwę w nocy, włączył wszystkie światła czołgu. To przynajmniej nie pozwoli zwierzęciu widzieć czegokolwiek w ciemności poza czołgiem, nawet jeśli będzie chciało stawić czoło nowej i zapewne dziwnej sytuacji.

Światła wyraźnie nie przypadły mu do gustu. Gdy zapłonął główny reflektor, kilka razy zmrużyło oczy. Lackland widział, jak wielkie źrenice kurczą się; później z przeciągłym sykiem, który przechwycił głośnik na dachu, powlekło się kilka stóp do przodu i uderzyło.

Lackland nie zdawał sobie sprawy z tego, że był tak blisko - albo raczej, że zwierzę jest w stanie sięgnąć tak daleko. Szyja, dłuższa niż wcześniej to ocenił, wyciągnęła się na całą długość kierując masywną głowę nieco w bok. Po wykonaniu manewru głowa przechyliła się nieco i uderzyła w jeden z reflektorów. Dał się słyszeć brzęk powstały przy uderzeniu jednego z olbrzymich kłów w pancerz czołgu, główne światło zgasło. Kolejny, bardziej piskliwy syk, poddał Lacklandowi myśl, że prąd zasilający reflektor poraził głowę potwora, ale nie miał czasu na przeanalizowanie takiej możliwości. W pośpiechu zaczął wycofywać pojazd wyłączając jednocześnie światła kabiny. Nie chciał by jeden z kłów uderzył w nią z siłą, z jaką zaatakował górny pancerz. Teraz scenę oświetlały jedynie światła drogowe, umieszczone w dolnej części pojazdu, osadzone głęboko w panczerzu. Zwierzę, podochocone odwrotem Lacklanda, zatoczyło się ponownie w przód i uderzyło w czołg, aż cały się zatrząsł. Ziemiańnin przesłał gorączkową wiadomość przez radio.

- Bar! Czy coś robicie z sieciami? Jeśli nie jesteście gotowi, użyję przeciw temu stworowi działa, obojętnie czy będzie z tego mięso, czy nie. Jeśli to zrobię, musicie zostać

na miejscu. Materiał wybuchowy naraziłby czołg na niebezpieczeństwo, dlatego użyję pocisku termicznego.

- Sieci nie są gotowe, ale jeśli wyprowadzisz go kilka jardów w tył, będzie pod wiatr w stosunku do statku i poradzimy sobie z nim w inny sposób.

- Dobra.

Lackland nie wiedział, jaki to sposób i miał wątpliwości co do jego efektywności, ale jeśli odwrót odpowiadał kapitanowi, to czemu nie? Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że broń Barlennana mogłaby narazić czołg i - uczciwie mówiąc - Barlennanowi też nie. Ziemianin, dzięki powtarzaniu szybkich manewrów cofania, prawie cały czas utrzymywał pancierz pojazdu z dala od kłów potwora; wyglądało na to, że zwierzę nie było na tyle inteligentne, by przewidzieć jego ruchy. Dwie, a może trzy minuty uchylania się wystarczyły w zupełności Barlennanowi.

Na tratwach zawietrznych, od strony pojedynku potwora z maszyną, znajdowały się cztery urządzenia bardzo przypominające miechy. Miały one zsypanie umieszczone tuż nad końcówkami wylotowymi. W tej chwili przy każdym miechu stało dwóch marynarzy i na sygnał kapitana zaczęli pompować z całej siły. W tym samym czasie trzeci z obsługi zajmował się zsypanią i wysyłał strumień drobnego pyłu, który tworzył strumień wypływający z końcówki wylotowej. Wiatr przenosił go w stronę walczących. Ciemność utrudniała obserwację postępów operacji, ale Barlennan umiał dobrze ocenić wiatr i po kilku chwilach pompowania nagle wydał kolejny rozkaz.

Zespoły przy zsypaniach natychmiast wykonały jakąś czynność przy końcówkach wylotowych swoich miechów i w tej samej chwili ryczący jęzor płomieni przepłynął z wiatrem od *Bree* w kierunku walczących i momentalnie ich otoczył. Załoga statku ukryła się już za brezentami, nawet

„ogniowych” chroniły klapy z materiału, które stanowiły część ich broni. Lackland wykrzykując słowa, których nie uczył Barlennana, gwałtownie wycofał czołg z chmury płomienia, modląc się by w wizjerach znajdował się kwarc. Wyglądało na to, że jego przeciwnik, zamierzający się również wycofać, nie miał do tego wystarczającej sprawności. Najpierw zatoczył się w jedną stronę, potem w drugą, szukając drogi ucieczki. W kilka sekund płomień zgasł, pozostawiając chmurę gęstego, białego dymu, który błyszczał w światłach czołgu. Tak krótki ostrzał ogniowy wystarczył, albo dym był równie śmiertelny, bo potwór wydawał się coraz bardziej dezorganizowany. Jego chaotyczne kroki stały się krótsze i słabsze, nogi stopniowo traciły siłę dla wsparcia ogromnej masy zwierzęcia i w krótkim czasie potwór potknął się i zatoczył na jedną stronę. Obalił się, nogi wierzgały gorączkowo, a długa szyja na zmianę chowała się i wyciągała na całą długość, wałąc szaleńczo uzbrojoną w kły głową o ziemię. O wschodzie słońca jedyną oznaką życia zwierzęcia były rzadkie drgawki głowy lub kończyn, po minucie czy dwóch wszystkie ruchy giganta zamarły.

- Barl, do diabła - czy raczej mesklinowego licha - co to za substancja, której użyliście do wytworzenia tej chmury ognia? Nie przyszło ci do głowy, że mogła wypalić okna w czołgu?

Kapitan, który został na statku i znajdował się blisko jednego z radioodbiorników, odpowiedział natychmiast.

- Przepraszam, Charles; nie wiedziałem z czego są twoje okna i nie pomyślałem o tym, że nasza chmura ognia mogłaby być zagrożeniem dla twojej wielkiej maszyny. Następnym razem będę ostrożniejszy. Paliwem jest proszek, który uzyskujemy z pewnych roślin - otrzymujemy dość duże kryształy, które musimy ostrożnie zmielić z dala od światła.

Lackland powoli skinął głową przetrawiając nową informację. Jego wiedza chemiczna była niewielka, ale wystarczająca by domyślić się natury tego paliwa. Detonuje je światło, pali się w wodorze tworząc białą chmurę, pozostawia czarne kropki na śniegu - taki efekt mogła dawać tylko jedna rzecz. Chlor w temperaturze Mesklinina jest ciałem stałym; łączy się gwałtownie z wodorem, a chlorowódor - też biały, w postaci drobnego proszku. Metanowy śnieg parujący z ziemi także oddawałby wodór i węgiel cząsteczkom nienasyconym cząsteczkom. Ależ ciekawe życie roślinne wytworzył ten świat! Musi przesać kolejny raport na Toorey - a może lepiej zachowa ten smakowity kąsek na wypadek, gdyby znowu czymś rozgniewał Rostena.

- Bardzo przepraszam, że naraziłem twój czołg na niebezpieczeństwo. - Barlennan mówił przepraszającym tonem. - A może powinniśmy pozwoić ci rozprawić się z niektórymi napastnikami twoim działem? Albo mógł byś nauczyć nas go używać. Czy podobnie jak radia, zostało ono zbudowane specjalnie, by działało na Mesklinie?

Kapitan zastanawiał się czy nie posunął się za daleko poddając taką sugestię, ale zdecydował, że było warto. Nie mógł ani zobaczyć, ani wytłumaczyć sobie odpowiedzi Lacklanda - śmiechu.

- Nie, działo nie zostało przerobione ani zmienione dla potrzeb tego świata, Barl. Funkcjonuje tu dość dobrze, ale obawiam się, że byłoby raczej bezużyteczne w waszym kraju. - Przez chwilę liczył coś na komputerze. - Na waszym biegunie miałyby zasięg tylko około stu pięćdziesięciu stóp.

Rozczarowany Barlennan nie odpowiedział. Oprawianie martwego potwora trwało kilka dni. Lackland ocalił czaszkę dla Rostena i kawalkada podjęła dalszą podróż.

Mila po mili, dzień po dniu czołg wraz z holowanym pojazdem posuwał się powoli do przodu. Nadal co jakiś

czas spotykali miasta ze skalnymi wałami; dwa lub trzy razy odebrali żywność dla Lacklanda, którą prom zostawił na trasie ich podróży; dość często spotykali duże zwierzęta, niektóre takie jak zwierzę zabite przez ogień Barlennana, inne o zupełnie innej budowie i innych rozmiarach. Dwa razy załoga złapała w sieci okazy ogromnych roślinożerców i zabiła je na mięso, co spotkało się z zachwytem Lacklanda. Różnica rozmiarów pomiędzy nimi a Mesklinitami była większa niż między ziemskimi słońiami a pigmejami

W miarę jak posuwali się do przodu pojawiało się coraz więcej wzgórz. Teren podnosił się, a rzeka, wzdłuż której jechali nieregularnie przez setki mil, skurczyła się i podzieliła na liczne strumienie. Przeprawa przez dwa z tych dopływów przysporzyła kłopotów - trzeba było odwiązać *Bree* od sań. Statek przepłynął w poprzek na holu, a czołg i sanie przejechały pod powierzchnią po dnie rzeki. Jednak teraz strumienie stały się tak wąskie, że sanie tworzyły nad nimi most i nie było już takich opóźnień.

Wreszcie, całe tysiąc dwieście mil od miejsca, gdzie zimował *Bree*, i jakieś trzysta na południe od równika, kiedy Lackland był przygniatany dodatkową połową „g”, strumienie zaczęły zdecydowanie kierować się w stronę, w jaką zmierzali. Zarówno Lackland, jak i Barlennan przez kilka dni nie wspominali o tym, chcąc zyskać pewność, ale w końcu nie ulegało wątpliwości, że znaleźli się w dorzeczu rzek spływających do wschodniego oceanu. Mimo, że morale nigdy nie było niskie, znacznie się podniosło; teraz na dachu czołgu, gdy zbliżali się do kolejnego wzgórze, zawsze przebywało sporo marynarzy mających nadzieję dojrzeć morze. Nawet Lackland, czasem zmęczony aż do mdłości, rozchmurzył się. Ponieważ jego ulga była coraz większa, proporcjonalnie większy był jego szok i niepokój, kiedy nadjechali, praktycznie bez zapowiedzi, do brzegu skarpy prawie pionowo opadającej w dół na ponad

sześćdziesiąt stóp, ciągnącej się jak sięgnąć okiem pod kątem prostym do trasy ich podróży.

NAD KRAWĘDZIĄ

Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. Zarówno Lackland, jak i Barlennan tak uważnie pracowali nad zdjęciami, z których przygotowali mapę podróży, że byli zbyt zaskoczeni by cokolwiek powiedzieć. Załoga, po jednym spojrzeniu na skarpe, zdecydowała zbiorowo, że zostawi ten problem kapitanowi i jego przyjacielowi z kosmosu.

- Skąd wziął się tu ten uskok? - Barlennan przemówił pierwszy. - Nie jest wysoki w porównaniu z pojazdem, z którego robiono zdjęcia, ale przecież przed zachodem słońca powinien rzucać cień widoczny daleko poniżej.

- Powinien, Barl, i myślę, że istnieje tylko jedna przyczyna, dla której jego istnienie umknęło naszej uwadze. Każde zdjęcie, jak pamiętasz, obejmowało wiele mil kwadratowych; jedno z nich objęłoby cały teren jaki widzimy stąd i wiele innych obszarów. Zdjęcie obejmujące ten uskok musiało być wykonane pomiędzy zachodem słońca a południem, kiedy nie było cienia.

- W takim razie ten klif nie ciągnie się poza obszarem tego zdjęcia?

- To możliwe; nie ma chyba sensu tego sprawdzać. Ponieważ jest oczywiste, że klif istnieje, prawdziwy problem brzmi: w jaki sposób kontynuować podróż?

Po tym pytaniu znowu zaległa cisza. Przerwał ją, ku zaskoczeniu co najmniej dwóch osób, pierwszy mat.

- A może by przyjaciele Latacza, tam wysoko w górze, dowiedzieli się dla nas, jak daleko ciągnie się ten klif w jedną i w drugą stronę? Może się okazać, że istnieje zejście

łatwiejszym stokiem, które nie będzie wymagało zbyt dużego zbaczania z naszej trasy. Sporządzenie nowych map na pewno nie będzie dla nich trudnością, jeśli ten klif został pominięty na pierwszej.

Barlennan przetłumaczył tę uwagę, którą mat wypowiedział w swoim ojczystym języku. Lackland uniósł do góry brwi.

- Twój przyjaciel może mówić po angielsku, Barl. Wygląda na to, że zna na tyle dobrze mój język, że zrozumiał naszą ostatnią rozmowę. A może masz jakiś sposób przekazywania mu naszych rozmów, o którym nie wiem?

Zaskoczony Barlennan szybko obrócił się do mata. Nie powiedział Dondragmerowi o tej rozmowie; Latacz miał oczywistą rację - mat nauczył się angielskiego. Niestety, pytanie Latacza też miało pewne podstawy; Barlennan był już od dawna pewien, że niektóre dźwięki, jakie powstawały w jego aparacie mowy, nie były słyszalne dla Ziemanina, choć nie mógł odgadnąć z jakiej przyczyny. Przez kilka sekund nie potrafił zdecydować się, czy lepiej wyjawić umiejętność Dondragmera, czy tajemnicę ich porozumiewania się, czy powiedzieć o obu, lub jeśli mógłby mówić wystarczająco szybko - nie mówić nic na żaden z tych tematów. Barlennan zrobił to, co było najlepsze.

- Okazuje się, że Dondragmer jest bystrzejszy niż sądziłem. Czy to prawda, że nauczyłeś się języka Latacza, Don? - To pytanie zadał po angielsku, używając dźwięków o wysokości, którą słyszał Lackland. Następnie powiedział dużo bardziej piskliwym tonem, którym bardzo często posługiwano się mówiąc w jego ojczystym języku: - Powiedz prawdę, chcę jak najdłużej nie zdradzać mu tego, że możemy do siebie mówić tak, że on nas nie słyszy. Jeśli potrafisz, odpowiedz w jego języku.

Mat zastosował się do zalecenia, ale nawet kapitan nie

wiedział, co sobie pomyślał.

- Nauczyłem się całkiem niezłe twojego języka, Charlesie Lackland. Nie myślałem, że możesz mieć coś przeciw temu.

- I nic nie mam, Don; Jest mi bardzo przyjemnie, choć przyznaję, jestem zaskoczony. Chętnie nauczyłbym cię tyle co Barla, gdybyś przyszedł na moją stację. Ponieważ nauczyłeś się sam, porównując nasze rozmowy z czynnościami kapitana, które wykonuje w ich wyniku - proszę, weź udział w naszej dyskusji. Chwilę temu dodałeś bardzo słuszną uwagę; natychmiast skontaktuję się ze stacją na Toorey.

Telefonista na Toorey odpowiedział natychmiast, ponieważ obecnie na kilku stacjach przekąźnikowych krążących po zewnętrznym pierścieniu Meskлина bez przerwy prowadzono nasłuch na częstotliwości głównego przekąźnika czołgu. Zakomunikował, że badania zostaną wykonane jak najszybciej.

„Jak najszybciej” oznaczało jednak sporo dni na Mesklinie; podczas oczekiwania cała trójka próbowała stworzyć inne plany na wypadek, gdyby nie można było okrążyć klifu gdzieś niedaleko.

Jeden lub dwóch marynarzy wyraziło chęć zeskoczenia w dół klifu, co wprawiło Barlennana w niepokój - czuł, że nie należy zastępować naturalnego lęku wysokości całkowitą *pogardą* dla niego. Cała załoga chciała teraz, tak jak on, wspinać się i skakać. Wezwał Lacklanda, by pomógł mu odwieść ryzykantów od ich zamiaru, co udało się dzięki obliczeniom, które wykazały, że skok z klifu z wysokości sześćdziesięciu stóp był w przybliżeniu równy upadkowi z wysokości jednej stopy w ich własnym kraju. Przywołało to wystarczająco dużo doświadczeń z dzieciństwa, że zrezygnowali z tego pomysłu. Kapitan analizował to wydarzenie później; zdał sobie sprawę, że biorąc pod uwagę normy, obowiązujące podczas całego jego życia,

obecna załoga składała się wyłącznie z szaleńców, przy czym on sam pod względem odchyłu od normy znajdował się w czołówce. Jednakże był całkiem pewny, że ta forma szaleństwa była użyteczna.

Przez jakiś czas nie powstał żaden bardziej praktyczny pomysł. Lackland wykorzystał okazję by odespać zarwane noce - bardzo tego potrzebował. Gdy nadszedł raport z rakiety badawczej, zdążył odbyć dwie długie sesje w swojej koi, przerwane jedynie obfitym posiłkiem. Klif ciągnął się aż do morza przez jakieś sześćset mil na południowy wschód od miejsca w którym się teraz znajdowali, prawie dokładnie na równiku. W drugą stronę miał tysiąc dwieście mil i bardzo powoli tracił wysokość, znikał całkowicie na szerokości geograficznej pięciu g. Nie był doskonale prosty - w jednym punkcie wcinał się łukiem głęboko w głąb lądu; właśnie w tym miejscu znalazł się czołg. W tej zatoce, po krawędziach klifu spływały dwie rzeki, pomiędzy którymi byli uwięzieni. Zdrowy rozsądek mówił, że nie można holować *Bree* przez żadną z tych rzek bez wcześniejszego przedostania się wiele mil w górę, z dala od tych olbrzymich katarakt. Jeden z wodospadów znajdował się jakieś trzydzieści mil od nich prawie dokładnie na południe, drugi mniej więcej sto mil na północ i na wschód, za zakrętem klifu. Oczywiście z orbity nie można było szczegółowo zbadać całego odcinka skarpy, ale raportujący wątpił, czy czołg byłby w stanie wdrapać się na nią w którymkolwiek miejscu. Można było założyć, że najłatwiej będzie przy wodospadach, gdzie erozja mogła spowodować powstanie przejezdnych ścieżek.

- Jak, do licha, mógł powstać taki klif? - zapytał Lackland urażonym głosem, gdy usłyszał pełną informację.- Tysiąc osiemset mil grzbietu wysokiego jak mur i akurat musieliśmy wyjechać prosto na niego. Założę się, że jest to jedyna rzecz tego typu na tej planecie.

- Lepiej nie zakładaj się - odpowiedział dyżurny. - Chłopaki od fizjografii z przyjemnością pokiwali głowami, kiedy im o tym powiedziałem. Jeden z nich powiedział, że jest zdziwiony, że nie natknąłeś się na niego wcześniej; na to wtrącił się inny fizjograf i rzekł, że większość z nich występuje dalej od równika, więc nie było to wcale takim zaskoczeniem. Kiedy ich opuszczałem, dalej o tym rozprawiali. Masz szczęście, że to twój mały przyjaciel przebedzie większą część podróży za ciebie.

- To jest myśl. - Lackland przerwał, bo przyszedł mu do głowy nowy pomysł. - Jeśli te progi występują tak często, możecie mi powiedzieć, czy jest ich więcej pomiędzy naszą pozycją a morzem? Czy będziecie musieli przeprowadzić nowe badanie?

- Nie. Widziałem się przedtem z geologami i rozejrzałem się. Jeśli przedostaniesz się przez ten stopień, dasz sobie radę. Właściwie mógłbyś spuścić statek twojego przyjaciela na rzekę u dołu skały i dalej byłby w stanie podróżować sam. Jedyny problem, jaki musisz rozwiązać to przerzucenie żaglowca nad krawędzią.

- Przerzucenie - mhm. Wiem, Hank, że to co powiedziałeś jest przenośnią, ale może coś w tym jest. Dzięki za wszystko; może będę chciał jeszcze porozmawiać z tobą później.

Lackland odwrócił się od nadajnika i położył na swojej koi gorączkowo myśląc. Nigdy nie widział *Bree* na wodzie. Statek został wyciągnięty na brzeg zanim spotkał Barlennana, a ostatnio, kiedy holował go przez przeszkody wodne, wraz z czołgiem siedział pod wodą przez większość czasu. Dlatego nie wiedział jak wysoko na powierzchni metanu utrzymywał się statek. Żeby unosić się na oceanie płynnego metanu, statek musi być wyjątkowo lekki, ponieważ gęstość metanu jest ponad dwukrotnie mniejsza od gęstości wody. Statek nie był wydrążony, więc nie unosił

się dzięki dużej pustej przestrzeni, która zmniejszałaby jego średnią gęstość, jak w przypadku statków ze stali na Ziemi. „Drewno”, z którego *Bree* został zbudowany, było wystarczająco lekkie by unosić się na metanie oraz utrzymywać załogę statku i znaczny ładunek.

Dlatego też pojedyncza tratwa nie mogła ważyć więcej niż kilka uncji - czyli kilka funtów, na tym świecie i w tym punkcie. Lackland sam mógł stanąć na brzegu klifu i spuścić kilka tratw za jednym zamachem; dwóch marynarzy byłoby zapewne w stanie unieść statek, gdyby udało się ich przekonać, żeby pod niego weszli. Lackland nie miał żadnej liny ani kabla poza tymi, których użył do holowania sań; ale akurat tego artykułu było na *Bree* pod dostatkiem. Marynarze z pewnością zdołają zmontować rolki dźwigowe, które rozwiążą problem. Na Ziemi należało to do podstaw egzystencji na morzu; na Mesklinie, gdzie istniały zaskakujące, choć zrozumiałe uprzedzenia do podnoszenia, skakania, rzucania oraz czegokolwiek związanego z wysokością, sytuacja może wyglądać inaczej. Cóż, marynarze Barlennana umieją przynajmniej wiązać węzły, a idea holowania nie powinna być dla nich zaskakująca.

Potrzebna mu była opinia Barlennana; dlatego też wyciągając ciężkie ramię, Lackland włączył przekaźnik i wezwał maleńkiego przyjaciela.

- Barl, wiesz nad czym się zastanawiałem? Czy twoi ludzie nie mogliby spuścić statku ze skały na kablach, po jednej tratwie, i złożyć go z powrotem na dole?

- A jak ty się tam dostaniesz?

- Ja zostanę tutaj. Jakies trzydzieści mil na południe stąd znajduje się większa rzeka, która powinna być spławna aż do samego morza, jeżeli raport Hanka Stearmana jest dokładny. Doholuję was do wodospadu, pomogę w przeniesieniu *Bree* przez brzeg klifu, zobaczę jak będziecie spuszczać statek na rzekę i będę życzył wam

powodzenia. Od tej chwili będę mógł tylko przekazywać wam informacje o pogodzie i nawigacji, według zasad, które uzgodniliśmy. Macie liny, które wytrzymają wagę tratwy, prawda?

- Oczywiście; zwykła lina wytrzyma w tutejszej okolicy wagę całego statku.

- A co z załogą? Czy twoim ludziom spodoba się pomysł opuszczenia ich w ten sposób?

Barlennan pomyślał przez chwilę.

- Myślę, że wszystko pójdzie dobrze. Wyślę ich w dół na tratwach z zadaniem odpychania się od klifu. To spowoduje, że nie będą patrzeć prosto w dół i będą na tyle zajęci, by nie myśleć o wysokości. Mimo wszystko, przy uczuciu lekkości, jakie wszyscy odczuwamy - Lackland bezdźwięcznie jęknął - nikt zbytnio nie boi się wysokości; nawet na tyle, na ile powinien. Damy sobie radę z naszą częścią zadania. Ruszajmy od razu w stronę katarakt.

- Dobrze.

Lackland wgramolił się na fotel pilota z uczuciem ogromnego zmęczenia. Jego część zadania dobiegała końca, nastąpiło to szybciej niż się spodziewał. Jego ciało domagało się ulgi od zwiększonej grawitacji i wagi, którą musiało dźwigać w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy. Może nie powinien był zostawać na zimę, ale mimo obecnego znużenia, nie żałował, że tak się stało.

Czołg obrócił się w prawo i ponownie ruszył w drogę posuwając się równolegle do krawędzi, oddalony od niej o jakieś dwieście jardów.

Być może Mesklini zaczęli panować nad lękiem wysokości, ale Lackland dopiero go nabierał. Od pierwszej bitwy ze światem zwierzęcym Mesklina nie spróbował nawet reperować głównego reflektora i nie miał zamiaru podejść blisko brzegu klifu w nocy, polegając wyłącznie na światłach drogowych. W dwadzieścia dni dotarli do

katarakty. Zarówno tubylcy, jak i Ziemianin usłyszeli ją na długo przedtem - na początku było to niewyraźne drżenie w powietrzu, które stopniowo podnosiło się poprzez przytłumiony grzmot do ryku, który zakasował nawet zdolności werbalne Mesklinity. Kiedy ujrzeli kataraktę, był dzień. Lackland bezwiednie zatrzymał pojazd. Tam, gdzie rzeka sięgała krawędzi klifu, rozlewała się na szerokość pół mili. Była gładka jak szkło - wyglądało na to, że na dnie nie ma głazów, ani innych przeszkód. Po prostu zawijała się nad krawędzią i spływała w dół. Wodospad zerodował koryto na jakąś milę od klifu; dzięki temu zyskiali wspaniały widok na wąwóz. Na podstawie drobnych zmarszczek nie można było domyślić się szybkości spadania płynu, ale można to było ocenić obserwując gwałtowność, z jaką rozpylona ciecz buchała z dołu. Nawet przy tutejszej grawitacji i atmosferze dolna część strumienia była ukryta w stale utrzymującej się chmurze mgły, która rzedła dalej od kipieli wodospadu, odkrywając wzburzoną, wirującą powierzchnię dolnej rzeki. Poza powiewem, który wytwarzał wodospad, nie było wiatru, toteż strumień stawał się coraz bardziej spokojny w miarę jak oddalał się w stronę oceanu.

Gdy czołg zatrzymał się, załoga *Bree* zeszła już z pokładu statku; po sposobie, w jaki marynarze rozciągnęli się wzdłuż brzegu wąwozu można było wywnioskować, że nie będzie problemów z ich morale podczas transportu w dół. Barlennan wezwał ich z powrotem na statek i natychmiast rozpoczęto pracę. Przeciągnięto olinowanie i opuszczono pionową linę z krawędzi skały, aby dokładniej zmierzyć jej wysokość. Niektórzy marynarze zaczęli zabezpieczać cały luźny ekwipunek przy tratwach, ale tu niewiele pozostawało do zrobienia. Inni zeszli w dół, między tratwy, i zaczęli odwiązywać cumy, wiążące je ze sobą. Jednocześnie sprawdzali bufory utrzymujące tratwy w

bezpiecznej odległości od siebie. Pracowali szybko i wyciągali z głównego kadłuba statku tratwę za tratwą.

Kiedy praca szła w najlepsze, Barlennan i jego pierwszy mat przeszli nad brzeg klifu, by znaleźć najlepsze miejsce do opuszczania. Wąwóz odrzucili od razu; rzeka była zbyt wzburzona. Prawie każde miejsce skalnej ściany nadawało się jednakowo, więc oficerowie wybrali leżące najbliżej końca wąwozu. Ponieważ musieli później przeciągnąć bez pomocy czołgu poskładany statek do rzeki, nie było sensu wydłużać trasy bardziej niż to było konieczne.

Blisko krawędzi skały ustawiono rusztowanie z masztów, aby zawieszenie znajdowało się wystarczająco daleko by uniknąć tarcia liny o skałę, choć maszty nie były tak długie, by utrzymać tratwę całkiem z dala od ściany klifu. Do rusztowania umocowano blok z wyciągiem, któremu Lackland przyglądał się z zainteresowaniem, i pierwsza tratwa została wciągnięta na start. Przymocowano ją do liny, którą okręcono dookoła drzewa. Kilku marynarzy chwyciło linę i tratwa została wypchnięta za krawędź.

Wszystko działało, ale Dondragmer i kapitan bardzo skrupulatnie skontrolowali każdą część, zanim mat i jeden z członków załogi otrzymali pozwolenie, by wczołgać się na platformę wiszącą pochyło przy skale, jakiś cal poniżej krawędzi. Gdy znaleźli się na tratwie, wszyscy obserwowali ich w skupieniu; ale i tym razem nic się nie stało i w końcu Dondragmer dał sygnał do opuszczania. Członkowie załogi, którzy nie mieli zajęcia pospieszyli do krawędzi, żeby obejrzeć przebieg operacji. Lackland sam by chętnie popatrzył, ale nie miał zamiaru narażać ani czołgu, ani własnej osoby w zbroi. Widok olinowania Mesklnitów sprawił, że poczuł dyskomfort; wyglądało to tak, jakby ziemski urzędnik zlekceważył operację, mając ją za transportowanie zwykłej torebki cukru.

Bezpieczne dotarcie pierwszej tratwy na dół obwieściły podeksycytowane gwizdy oraz odejście wszystkich od krawędzi. Lackland zamrugał, widząc jak marynarze zaczęli ustawiać kilka tratw jedna na drugiej. Wyglądało na to, że nie było czasu do stracenia. Mając zaufanie do osądu Barlennana Ziemianin zdecydował nagle, że chce zobaczyć opuszczanie stosu tratw. Już miał nakładać zbroję, kiedy przypomniał sobie, że nie było to potrzebne; wezwał Barlennana i poprosił go o takie ustawienie jednego lub kilku małych komunikatorów, by ich „oczy” objęły cały plan. Kapitan natychmiast zastosował się do polecenia - kazał jednemu z marynarzy przywiązać jedno oko do rusztowania, by patrzyło prawie prosto w dół, a sam umieścił drugie na stosie tratw. Podczas trwania operacji Lackland przełączał obraz z jednego urządzenia na drugie. Pierwszy był nieco bardziej niepokojący niż się spodziewał, ponieważ lina nośna była widoczna tylko na kilka stóp od soczewki przekaźnika. Wyglądało to tak, jakby ładunek płynął na dół bez podtrzymania. Z drugiego urządzenia miał widok na ścianę - z pewnością zaciekałby on geologa. Kiedy połowa zadania została ukończona, wpadł na pomysł, żeby skontaktować się z Toorey i zaprosić ich do oglądania transmisji. Dział geologii odpowiedział ochotczo i opatrzył resztę działań bogatym komentarzem.

Kolejne ładunki spuszczano na dół z niewielkimi zmianami mającymi na celu uatrakcyjnienie operacji. Pod koniec zamocowano dłuższy kabel i opuszczanie prowadzono z dołu, ponieważ większa część załogi już tam była. Barlennan odwrócił się w końcu od miejsca akcji i wskoczył na czołg. Radio, z którego korzystali na czołgu, było zamontowane na stałe.

- Mam jeszcze dwa ładunki, Charles - zaczął kapitan. - Będzie niewielki problem z przywiązaniem ostatniego. Jeśli to możliwe, chcielibyśmy zachować cały nasz sprzęt, co

oznacza zdemontowanie i wysłanie na dół masztów, które wykorzystujemy do wyciągu. Nie chcemy ich zrzucić, ponieważ nie jesteśmy pewni, że to wytrzymają - podłoże na dole jest bardzo skaliste. Czy zechciałbyś ubrać zbroję i opuścić ostatni ładunek ręcznie? Zorganizuję wszystko tak, że będzie tylko jedna tratwa, kilka masztów, przyłączony wyciąg i ja sam.

Ostatni punkt listy zaskoczył Lacklanda.

- To znaczy, że zdałbyś się na moją siłę wiedząc, że mam wagę trzy i półkrotnie większą niż przy mojej grawitacji i będę do tego obciążony zbroją?

- Oczywiście. Zbroja będzie zapewne na tyle ciężka, że będzie mogła służyć za kotwicę, a jeśli okręcisz linę dookoła swojego ciała, będziesz mógł stopniowo ją popuszczać. Nie widzę problemu; ładunek będzie ważył zaledwie kilka twoich funtów.

- Z tym faktycznie nie ma problemu, ale jest jeszcze jedna rzecz. Wasza lina jest faktycznie bardzo cienka i zaciski mocujące mojej zbroi są nieco nieporęczne, jeśli chodzi o obchodzenie się z małymi przedmiotami. Co się stanie, jeśli sznur wysunie mi się z ręki?

To pytanie powstrzymało Barlennana na chwilę.

- Jaki jest najmniejszy rozmiar przedmiotów, które możesz trzymać w miarę bezpiecznie?

- Och, powiedzmy, że takie, jak któryś z masztów.

- W takim razie nie ma żadnego problemu. Okręcimy linę wokół masztu i możesz używać go jako kołowrotu. Na końcu możesz przerzucić linę z masztem. Jeśli kij się złamie, strata nie będzie duża.

Lackland wzruszył ramionami.

- To twoje zdrowie i twój majątek, Barl. Nie muszę mówić, że będę uważał; nie chciałbym żeby coś ci się stało, tym bardziej z powodu mojego zaniedbania. Zaraz wyjdę z czołgu.

Barlennan czekał na niego. Przy krawędzi skały leżała pojedyncza tratwa, gotowa do drogi. Na niej leżało radio oraz związane pozostałości rusztowania, a kapitan ciągnął w stronę Lacklanda maszt z liną owiniętą dookoła niego. Człowiek podchodził powoli, ponieważ zmęczenie narastało z każdą chwilą, ale w końcu znalazł się dziesięć stóp od krawędzi skały; sięgnął tak daleko jak pozwolił mu na to jego niewygodny strój i wziął maszt od maleńkiej istoty, która stanęła na tylnych nogach by go powitać. Bez słowa ostrzeżenia czy jakiegokolwiek sugestii, która mówiłaby o zwątpieniu w jego dużego przyjaciela, Barlennan odwrócił się w stronę tratwy, upewnił, że ładunek jest bezpiecznie zamocowany, popchnął go tak, że chwiał się na brzegu klifu i wskoczył na tratwę.

Odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na Lacklanda i człowiek mógłby przysiąc, że zamrugał okiem. Następnie z radia dobiegł głos:

- Zaczekaj, Charles - kapitan celowo przeszedł na zewnętrzną krawędź niebezpiecznie balansującej tratwy. Jego kleszcze bezpiecznie zacisnęły się na cumach. Tratwa zachwiała się i pozęglowała nad krawędzią.

Lina, którą trzymał Lackland, miała wystarczająco dużo luzu, by tratwa obsunęła się kilka stóp - dlatego też natychmiast znikła mu z oczu wraz z pasażerem. Mocne szarpnięcie było dla człowieka sygnałem, że lina nadal trzymała, a chwilę później radosny głos Barlennana zawołał:

- Obniżaj! - i Lackland właśnie tak zrobił.

Bardziej przypominało to puszczanie latawca, biorąc pod uwagę kołowrót, jakim dysponował - był to po prostu sznurek na patyku. Wywołało to w nim wspomnienia z dzieciństwa; ale wiedział, że gdyby zgubił ten latawiec, przyście do siebie po takim zdarzeniu zabrałoby dużo więcej czasu, niż po stracie zabawki.

Głos Barlennana było słychać z przerwami. Zawsze brzmiała w nim nuta rozbawienia, jakby karzełek zdawał sobie sprawę z lęków Lacklanda. - Teraz jestem w połowie drogi. - Idzie łagodnie. - Wiesz, nie przeszkadza mi to, że patrzę w dół, nawet stąd. - Prawie dotarłem - jeszcze trochę - dobra; jestem na dole. Proszę, przytrzymaj chwilę wyciąg; powiem ci kiedy teren na dole będzie pusty i będziesz mógł rzucić go na dół.

Lackland cały czas wykonywał polecenia. Chciał oderwać stopę lub dwie kabla na pamiątkę, ale nie był w stanie tego zrobić, nawet w zbroi. Na szczęście koniec jednego z uchwytów zamykający zbroję okazał się wystarczająco ostry, by odciąć kabel. Lackland owinał pamiątkę dookoła rękawicy i dopiero wtedy wrócił do wykonywania dalszych życzeń swojego sprzymierzeńca.

- Charles, zebraliśmy rzeczy z dołu; możesz w każdej chwili puścić twój koniec liny i rzucić maszt.

Cienki sznur natychmiast znikł mu z pola widzenia, a za nim dziesięciocalowa gałązka, która była jednym z głównych masztów *Bree*. Lackland odkrył, że fakt, iż *widział* jak rzeczy swobodnie spadają przy trzech „g”, był jeszcze gorszy od myślenia o tym. Może lepiej byłoby na biegunach - tam przynajmniej nie byłoby nic widać. Trudno się opanować, kiedy przedmiot przelatuje dwie mile w ciągu pierwszej sekundy! Lackland otrząsnął się z tych myśli i skierował w stronę czołgu.

Przez kilka godzin, bo tyle zajęło złożenie *Bree*, obserwował akcję za pomocą swoich przekaźników. Z odrobiną chęci do kontynuowania podróży spoglądał, jak połączone tratwy zepchnięto do szerokiego strumienia i usłyszał pożegnania Barlennana, Dondragmera i załogi.

Przez długie minuty siedział w ciszy, po czym podniósł się, by nawiązać kontakt z bazą na Toorey.

- Możecie przyjechać i zabrać mnie stąd. Na

powierzchni zrobiłem już wszystko, co było w mojej mocy.

WYDRAŻONE ŁODZIE

Gdy oddalili się od wielkiego wodospadu, rzeka stała się szeroka, a jej nurt zwolnił. Początkowo bryza wiała w kierunku morza i Barlennan wydał rozkaz rozwinięcia żagli, by ją wykorzystać. Jednak teraz wiaterek zupełnie zniknął i statek znalazł się na łasce i niełasce prądu rzeki. Niemniej jednak, płynęli w dobrą stronę i nikt nie narzekał. Przygoda na ładzie była interesująca i owocna, z pewnością wiele z produktów roślinnych, które zebrali, można było sprzedać dużo drożej w ojczystym kraju; jednak nikomu nie było przykro, że są znowu na „wodzie”. Niektórzy spoglądali na wodospad, aż całkowicie znikł im z oczu. Zaraz potem wszyscy skierowali wzrok na zachodni horyzont, by choć przelotnie ujrzeć prom, ponieważ dotarło do nich przytłumione grzmienie zwiastujące jego przylot. Panował ogólny nastrój oczekiwania.

W miarę jak posuwali się do przodu, uwaga załogi skupiała się na obu brzegach rzeki. Podczas podróży lądowej zdążyli przyzwyczać się do pojawiających się od czasu do czasu pionowych roślin należących do gatunku, który Latacz nazwał „drzewami”; zazwyczaj co kilka dni napotykali jedno. Początkowo fascynujące, z czasem stały się również źródłem żywności, którą planowali sprzedać u siebie w domu. Drzew było teraz coraz więcej i wyglądało na to, że całkowicie zastąpią bardziej im znane wijące się przy ziemi rośliny o gałęziach jak liny. Barlennan zaczął się zastanawiać, czy gdyby założono tu kolonię, to czy byłaby w stanie utrzymać się z handlu tym, co Latacz nazwał szyszkami jodłowymi.

Przez całe pięćdziesiąt mil nie napotkali żadnej

inteligentnej formy życia, choć na brzegach mogli dostrzec spore ilości zwierząt. W rzece roiło się od ryb, jednak nie na tyle dużych, by zagrozić *Bree*. Dopłynęli do miejsca, gdzie drzewa otaczały rzekę z obu stron - nikt nie był w stanie powiedzieć, jak daleko w głąb łądu rosły. Barlennan, kierowany ciekawością, wydał rozkaz podpłynięcia bliżej brzegu, by zobaczyć las z bliska.

Nawet w jego głębi było dość jasno, ponieważ drzewa nie rozrastały się na boki, podobnie jak ma to miejsce na Ziemi, ale i tak był to dziwny fenomen. Płynąc niemal w cieniu dziwacznych roślin wielu członków załogi poczuło powrót starego strachu przed ciałami stałymi znajdującymi się nad głową; dlatego wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy kapitan nakazał sternikowi odpłynięcie od brzegu.

Jeżeli ktoś tu mieszkał, chętnie by go zobaczyli. Dondragmer głośno wypowiedział tę myśl - odpowiedział mu szmer ogólnego poparcia. Niestety, ci z brzegu albo nie usłyszeli jego słów, albo ich nie zrozumieli. Być może nie bali się wcale, że załoga *Bree* odbierze im ich las - ale nie zamierzali ryzykować. Jeszcze raz przybysze z obszarów o dużej grawitacji doświadczyli ataku za pomocą pocisków.

Tym razem broń stanowiły włócznie. Sześć takich pocisków przeleciało z najwyższego punktu brzegu i utkwilo w pokładzie *Bree*; dwa inne odbiły się od ochronnych skorup marynarzy i zadźwięcały o tratwy. Trafieni marynarze podskoczyli konwulsyjnie i wyłądownali parę jardów dalej w rzece. Przy płynięciu zaraz z powrotem i bez żadnej pomocy wspięli się na pokład. Oczy pozostałych były skierowane w stronę miejsca, z którego wyszedł atak. Bez rozkazu sternik skręcił ostro ku środkowi rzeki.

- Zastanawiam się, kto je tu skierował i czy użył takiej samej maszyny, jaką ma *Latacz*. Nie słyszeliśmy dźwięku - dywagował Barlennan półgłosem. Terblannen wyrwał jedną z włóczni i zbadał jej zakończenie z twardego

drewna; następnie dla eksperymentu odrzucił ją w stronę oddalającego się brzegu. Rzucanie było dla niego zupełnie nową sztuką, poza przekazywaniem przedmiotów na dach czołgu w mieście toczących się kamieni, więc włócznia poleciała do lasu obracając się dookoła. W ten sposób udzielił odpowiedzi na pytanie Barlennana: choć ramiona marynarza były krótkie, broń z łatwością dotarła do brzegu. Niewidzialni napastnicy nie potrzebowali działa Lacklanda, jeśli pod względem budowy fizycznej przypominali zwykłych Mesklinitów. Kapitan nie miał najmniejszego zamiaru dowiedzieć się z bezpośredniej konfrontacji, kim są atakujący. *Bree* płynął dalej w dół rzeki. Tymczasem sprawozdanie ze zdarzenia szybko dotarło do Lacklanda, znajdującego się już na odległym Toorey.

Las otaczał ich przez kolejne sto mil podróży, a jednocześnie rzeka stawała się coraz szersza. Teraz, po spotkaniu z mieszkańcami lasu, *Bree* płynął środkiem nurtu, ale nawet to nie uchroniło go od problemów. Kilka dni po zdarzeniu z włóczniami, na lewym brzegu zauważono małą polanę. Znajdując się zaledwie kilka cali od powierzchni Barlennan nie mógł zobaczyć tego miejsca tak dokładnie jakby chciał, ale na polanie z pewnością znajdowały się rzeczy, które warto było obejrzeć. Po chwili wahania wydał rozkaz zbliżenia się do brzegu. Rośliny przypominały nieco drzewa, ale krótsze i grubsze, od tych, które wcześniej mijali. Gdyby był wyższy zobaczyłby małe otwory tuż nad powierzchnią ziemi, co dostarczyłoby cennych informacji. Obserwując sytuację przez jeden z zestawów radiowizyjnych Lackland natychmiast porównał te przedmioty do chat starożytnych mieszkańców Afryki, ale nic nie powiedział. Bardziej zainteresowały go przedmioty leżące częściowo w rzece, częściowo poza nią, wokół tego, co uznał wcześniej za wioskę. Mogły to być kłody drewna lub drapieźniki w rodzaju krokodyli - nawet

przy maksymalnym powiększeniu nie było wyraźnie widać, jednak podejrzewał, że były to canoe. Niezłe byłoby zobaczyć, jak Barlennan zareaguje na łodzie o kształtach radykalnie odmiennych od jego statku.

Minęła spora chwila, zanim na *Bree* zdano sobie sprawę, że „kłody” to łódki, a tajemnicze pnie - mieszkania. Przez jakiś czas Lackland obawiał się, że załoga popłynie w dół rzeki i nie dowie się o tym; ostatecznie doświadczenie podwoiło ostrożność Barlennana. Gdy tylko statek zbliżył się do miejsca leżącego na wprost wioski, na brzeg wychynął strumień czerwonych i czarnych ciał, dając dowód, że domysły Lacklanda były właściwe. Podobne do kłód przedmioty zepchnięto do strumienia - na każdym z nich znalazł się tuzin istot, które najwyraźniej należały do tego samego gatunku co załoga *Bree*. Z pewnością ludzie ci mieli podobne kształty, rozmiary i barwy; zbliżając się do statku wydawali z siebie rozdzierające gwizdy, dokładnie takie same, jakie Lackland słyszał czasem od swojego małego przyjaciela.

Łodzie były wydrażone na tyle, że widać było tylko głowy załogi; rozmieszczenie ludzi dało Lacklandowi podstawy do przypuszczeń, że wewnątrz byli rozstawieni w jodełkę, a wiosłami kierowały przednie szczytce każdego z nich.

Na *Bree* załadowano burtowe miotacze płomienia, mimo że Barlennan wątpił w ich użyteczność.

Jakakolwiek szansa na efektywne wykorzystanie pyłu ogniowego przepadła, gdy canoe otoczyły *Bree*. Jakieś dwa, trzy jardy od statku canoe zatrzymały się i na kilka minut zapanowała cisza. Ku irytacji Lacklanda w tym momencie słońce zaszło, więc nie był w stanie śledzić dalszych wydarzeń. W ciągu kolejnych ośmiu minut próbował nadać znaczenie dziwnym dźwiękom dobiegającym do jego odbiornika, ale bez skutku. Nic nie wskazywało na użycie

przemocy; najwyraźniej obie grupy rozmawiały ze sobą w eksperymentalny sposób. Oceniał, że nie potrafiły znaleźć wspólnego języka, ponieważ rozmowa rwała się co jakiś czas.

O wschodzie słońca odkrył, że noc nie minęła całkiem spokojnie. Według wszelkich praw fizycznych *Bree* powinien przepłynąć pewną odległość w dół rzeki; w rzeczywistości nadal znajdował się na wprost wioski. Co więcej, nie blisko środka rzeki, a zaledwie kilka jardów od brzegu. Lackland już miał zapytać Barlennana, dlaczego podjął się takiego ryzyka oraz w jaki sposób udało mu się tak pokierować *Bree*, kiedy stało się jasne, że kapitan był równie zaskoczony biegiem wydarzeń.

Z wyrazem lekkiej irytacji na twarzy Lackland zwrócił się do jednego z siedzących obok niego ludzi z uwagą:

- Barl już dał się wciągnąć w kłopoty. Wiem, że jest bystrym chłopakiem, ale ma do przebycia trzydzieści tysięcy mil i nie chciałbym, żeby został zatrzymany na pierwszych stu milach.

- Nie pomożesz mu? Tu idzie o kilka miliardów dolarów, nie mówiąc już o reputacji.

- A co ja mogę? Mogę mu jedynie udzielać rad, a on jest w stanie lepiej ocenić sytuację ode mnie. Jest na miejscu i ma do czynienia z przedstawicielami swojego rodzaju.

- Z tego co widzę, są tak do niego podobni, jak wyspiarze z Morza Południowego do kapitana Cooka. Jestem pewien, że należą do tego samego gatunku, ale jeśli są - powiedzmy - kanibalami, twój przyjaciel może być w nie lada opałach.

- No to jak mu mogę pomóc? Jak możesz wyperswadować kanibalowi zjedzenie solidnego posiłku, jeżeli nie znasz jego języka i nie masz z nim bezpośredniego kontaktu? Ile uwagi poświęci małemu kwadratowemu pudełku, które przemówi do niego w dziwnym języku?

Rozmówca Lacklanda uniósł nieco brwi.

- Jako etnolog zapewniam cię, że na wielu planetach, w tym na Ziemi, żyją prymitywne rasy, które będą się nisko kłaniać pudełku, które do nich przemówiło, będą dla niego tańczyć kadryla, a nawet składać mu ofiary.

Lackland przez chwilę przetrawiał tę uwagę w ciszy» potem pokiwał głową w zamyśleniu i odwrócił się do ekranów.

Kilku marynarzy chwyciło zapasowe maszty i próbowało skierować statek na środek rzeki, jednak bez powodzenia. Dondragmer, po krótkim zbadaniu sytuacji wokół zewnętrznych tratw, zameldował, że znaleźli się w klatce, którą tworzyły pale wbite w dno rzeki; jedynie droga w górę rzeki stała otworem. Pułapka okazała się wystarczająco duża, by pomieścić *Bree* - może był to tylko zbieg okoliczności, a może nie. Podczas składania meldunku canoe odpłynęły z tych stron statku, skąd nie było możliwości manewru i skupiły się przy wylocie pułapki. Marynarze, którzy słyszeli sprawozdanie mata i przygotowywali się do skierowania statku w górę rzeki, spojrzeli na Barlennana w oczekiwaniu na instrukcje. Po chwili deliberacji, wycofał załogę do najdalszego końca statku i sam podpełzł tam, gdzie zebrały się canoe. Już wcześniej odkrył, w jaki sposób statek w nocy zmienił pozycję: z nadejściem ciemności część wioślarzy weszła zapewne po cichu na pokład, podpłynęli pod *Bree* i zepchnęli go na pożądaną dla nich kurs. Nie było w tym nic dziwnego; on sam mógł przez jakiś czas przebywać pod powierzchnią rzeki czy oceanu, gdzie zwykle było dużo rozpuszczonego wodoru. Martwiło go tylko to, czego ci ludzie chcieli od statku.

Przechodząc obok jednego ze schowków na zapasy odciągnął pokrywę i wyjął kawałek mięsa. Wziął go ze sobą na koniec statku i wyciągnął w stronę napastników. Ci

milczeli. Wkrótce zaczęli niezrozumiale trajkotać; nastała cisza i jedno canoe powoli wypłynęło do przodu, a tubylec na jego dziobie wysunął się w stronę zaoferowanego mięsa. Barlennan pozwolił mu je zabrać. Tubylec skosztował i rzucił uwagę; następnie wódz, jeśli taka była jego funkcja, oderwał duży kawał, podał go swoim kompanom i w zamyśleniu skonsumował resztę. Zachęciło to Barlennana; fakt, że wódz nie zatrzymał wszystkiego dla siebie, sugerował, że ci Mesklinici stali na pewnym szczeblu rozwoju społecznego. Następny kawałek kapitan zaoferował jak wcześniej, ale tym razem cofnął szcypce, gdy tubylec chciał pochwycić mięso. Barlennan położył je zdecydowanie za sobą, podpełzł do najbliższego z pali, które wiążyły statek, wskazał na niego, a następnie pokazał gestem na *Bree* i na rzekę. Znaczenie tych gestów było jasne; z pewnością istoty ludzkie obserwujące ich z wysoka zrozumiały go, choć nie użył ani słowa w ich języku. Jednak wódz nie wykonał żadnego ruchu. Barlennan powtórzył gesty i na końcu jeszcze raz wyciągnął mięso.

Postępowanie wodza z pewnością wynikało z obyczajów jego społeczności: kiedy kapitan wyciągnął mięso po raz drugi, wysunięta błyskawicznie włócznia wbiła się w mięso i wyrwała je z uchwytu Barlennana. Została cofnięta zanim którykolwiek ze zdumionych marynarzy wykonał jakiś ruch. Chwilę potem, jednym szcęknięciem wódz wydał rozkaz i połowa załogi każdego canoe znajdujących się za nim skoczyła do przodu.

Marynarze *Bree* nie znali ataku z powietrza, poza tym byli trochę zdekoncentrowani, kiedy ich kapitan zaczął negocjacje; w rezultacie nie miało miejsca nic, co przypominałoby walkę. *Bree* został zdobyty w niecałe pięć sekund. Komitet z wodzem na czele zaczął od razu sprawdzać schowki zjedzeniem; nawet mimo bariery językowej było widać, że są usatysfakcjonowani. Barlennan

z niepokojem obserwował jak wyciągano mięso na pokład przygotowując je do przeniesienia na canoe; po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że istnieje źródło pomocy z którego dotąd nie korzystał.

- Charles! - zawołał, używając po raz pierwszy od początku całego zajścia angielskiego.. - Czy widzisz co tu się dzieje?

Lackland z mieszaniną gniewu i rozbawienia odpowiedział natychmiast.

- Tak, Barl. Niestety.

Obserwował, jak napastnicy *Bree* zareagują na jego głos i nie rozczarował się. Wódz, zwrócony do głośników tyłem, obrócił się gwałtownie niczym osłupiały grzechotnik i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu źródła głosu z niewiarygodnie ludzką dezorientacją. Jeden z jego ludzi wskazał mu na radio, z którego głośnika korzystał Lackland, ale pogrzebawszy nożem i lancą dookoła nie dającego się w środku zbadać pudełka wódz oczywiście odrzucił taką możliwość. Ziemiańin wybrał tę chwilę, by jeszcze raz przemówić.

- Barl, czy myślisz, że mamy szansę przerazić ich radiem?

Zanim Barlennan odpowiedział, Dondragmer przesunął się do sterty mięsa, wybrał piękną sztukę i położył przed radiem z wszelkimi oznakami pokory. Robiąc to ryzykował, że kilka noży może wbić się mu w ciało i dobrze o tym wiedział. Ale napastnicy byli zbyt zaabsorbowani nową sytuacją, by zareagować. Lackland zrozumiał, w jaki sposób mat zinterpretował jego wskazówkę i kontynuował mowę. Zniżył głos mając nadzieję, że takie jego brzmienie w mniejszym stopniu skojarzy się wioślarzom z gniewem i z całego serca pochwalił czyn mata.

- Dobra robota, Don. Za każdym razem, gdy któryś z was zrobi coś w tym stylu, będę się starał okazać

zadowolenie; będę też strasznie ryczał, jeśli nasi nowi znajomi zrobią coś, czego sobie nie życzę. Sami wiecie lepiej ode mnie, co jest właściwe, więc róbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby myśleli, że radio to istota obdarzona ogromną mocą, która sprowadza pioruny, jeśli się ją bardzo rozniewa.

- Rozumiem; będziemy robić co do nas należy - odpowiedział mat. - Wydawało mi się, że właśnie to masz na myśli.

Wódz jeszcze raz zebrał się na odwagę - nagle rzucił się na najbliższe radio ze swoją włócznią. Lackland milczał czując, że naturalna reakcja, jaką odbierze drewniane zakończenie włóczni będzie wystarczająco silna; marynarze z całym zaangażowaniem włączyli się w grę, której zasady nakreślił Lackland. Z dźwiękami, które, jak Lackland przypuszczał, były odpowiednikami nabożnego strachu, odwrócili się od miejsca akcji i zakryli oczy szczypcami. Po chwili, widząc, że nic się nie dzieje, Barlennan złożył następny kawał mięsa wykonując jednocześnie gesty, które miały oznaczać błaganie o życie dla nieświadomego cudzoziemca. Było wyraźnie widać, że zrobiło to wrażenie na rzecznych ludziach. Wódz wycofał się nieco, zebrał swój komitet i zaczął z nim omawiać całą sytuację. W końcu jeden z doradców wodza, najwyraźniej dla eksperymentu, wziął kawałek mięsa i położył przed najbliższym radiem. Lackland już miał wyrazić uprzejme podziękowania, kiedy usłyszał głos Dondragmera:

- Odmów!

Ufając osądowi mata, Lackland zwiększył głośność i wydał z siebie lwi ryk. Dawca odskoczył ze szczerym i wyraźnym strachem; następnie, na ostry rozkaz wodza, odpełził do przodu, wziął sporny kawałek jedzenia, wybrał inny ze stosu na pokładzie i złożył w ofierze.

- W porządku - ponownie usłyszał głos mata i

przesunął w dół potencjometr mocy.

- Co było nie tak poprzednim razem? - zapytał cicho.

- Nie dałbym tego kawałka mięsa nawet *ternee* należącemu do mojego najgorszego wroga - odpowiedział Dondragmer.

- W najgorszych sytuacjach ciągle odkrywam znaczące podobieństwa między waszym narodem a moim - zauważył Lackland. - Mam nadzieję, że w nocy będzie przerwa; nie widzę co się dzieje w ciemnościach. Jeśli zdarzy się coś, na co powinienem zareagować, dajcie mi znać, do wszystkich diabłów.

Po tej uwadze nadszedł kolejny zachód słońca. Barlennan zapewnił, że będzie na bieżąco informował co się dzieje; kapitan odzyskał pewność siebie i mniej więcej panował nad sytuacją - na tyle, na ile może panować więzień.

Wódz spędził noc na dyskusji; do Ziemianina docierał wyraźnie jego głos. Od czasu do czasu wodzowi przerywali inni - zapewne doradcy. Przed świtem najwyraźniej podjęli decyzję. Przywódca nieco się odsunął od swojego orszaku i odłożył na ziemię swoją broń; teraz, gdy światło słońca oświetliło ponownie pokład, zaczął zbliżać się do Barlennana odsuwając jego strażę. Kapitan czekał cierpliwie - był prawie pewien, jak tamten postąpi. Wódz zatrzymał się kilka cali od Barlennana, zrobił imponującą przerwę i zaczął mówić.

Oczywiście marynarze nadal nie rozumieli jego słów, ale towarzyszące im gesty były wystarczająco jasne, by nawet ludzie znajdujący się daleko od tego miejsca zrozumieli ich znaczenie.

Było jasne, że chciał mieć radio. Lackland zaczął leniwie spekulować nad tym, jakie moce nadprzyrodzone wódz przypisywał odbiornikowi. Może chciał chronić wioskę przed wrogami albo sprowadzać szczęście dla myśliwych.

Jednakże to pytanie nie było istotne. Ważne było, jak się zachowa, gdy spotka się z odmową. Takie zachowanie mogłoby być źle widziane i Lackland martwił się trochę.

Barlennan wykazując - zdaniem Lacklanda - więcej odwagi niż rozsądku, krótko odpowiedział na wystosowaną do niego mowę; odpowiedź stanowiło pojedyncze słowo oraz gest, które Lackland nauczył się rozróżniać dawno temu. „Nie” było pierwszym słowem Mesklinitów, które Lackland zrozumiał bez wątpliwości i zostało użyte właśnie teraz. Barlennan był bardzo zdecydowany.

Ku uldze co najmniej jednego widza, wódz nie był wojowniczo nastawiony. Natychmiast wydał swoim ludziom krótki rozkaz. Kilku z nich odłożyło broń i zaczęło odnosić zagrabioną żywność do schowków, skąd ją zabrano. Jeśli wolność nie była wystarczającą zapłatą za jedno z magicznych pudełek, wódz chciał zapłacić jeszcze więcej. Zarówno Barlennan, jak Lackland podejrzewali, że bał się użyć siły, choć jego instynkt posiadania został pobudzony.

Po zwróceniu połowy żywności wódz powtórzył prośbę; kiedy jak poprzednio otrzymał odmowę, wykonał zaskakująco ludzki gest rezygnacji i nakazał swoim ludziom zwrócić resztę. Lackland robił się niespokojny.

- Barl, co on robi, jeśli odmówisz mu jeszcze raz? - zapytał. Wódz spojrzał na pudełko z nadzieją; uznał może, że był to rodzaj dyskusji i nakaz, by dał napastnikom to, czego chcieli...

- Nie jestem do końca pewien - odpowiedział Mesklinita. - Przy odrobinie szczęścia przyniesie nam więcej towarów ze wsi, by dodać do oferty; ale nie wiem, czy będziemy mieć tyle fartu. Gdyby radio nie było tak ważne, dałbym mu je teraz.

- Dobry Boże! - etnolog siedzący koło Lacklanda niemal eksplodował - Czy po to przeszedłeś przez cały ten

kołowrót, ryzykowałeś życiem swoim i wszystkich swoich ludzi, żeby zachować ten tani radionadajnik?

- Nie bardzo tani - wymamrotał Lackland. - Zostały tak zaprojektowane, by wytrzymały ciężenie na biegunach Mesklina, jego nieprzyjazną atmosferę i bezceremonialne obchodzenie się z nimi tubylców.

- Nie sprzeczasz się, to bez sensu! - warknął badacz kultur. - Po co są te odbiorniki, jeśli nie do otrzymywania informacji? Daj jeden z nich dzikusowi! Gdzie znajdzie lepsze miejsce? I w jaki sposób możemy lepiej obserwować życie codzienne zupełnie nieznaney rasy niż przez to oko? Charles, czasem ci się dziwię.

- W ten sposób Barlennanowi zostaną trzy, z czego jeden bezwzględnie musi dotrzeć na biegun południowy. Rozumiem twój punkt widzenia, ale myślę, że powinniśmy otrzymać zgodę Rostena, zanim zostawimy ten radioodbiornik już na początku wyprawy.

- Rostena? Co on ma z tym wspólnego? Nie ryzykuje nic, w przeciwieństwie do Barlennana, nie interesują go obserwacje tej społeczności, tak jak niektórych z nas. Mówię - zostawcie radio; jestem pewien, że Barlennan chce je zostawić. Wydaje mi się, że w tej sprawie ostatnie słowo należy do Barlennana.

Kapitan oczywiście wszystko słyszał i teraz się wtrącił.

- Zapominasz, przyjacielu Charlesa, że radia nie są moją własnością. Charles pozwolił mi je zabrać jako środek bezpieczeństwa, tak aby co najmniej jedno spełniało swoje przeznaczenie, nawet gdyby nieuniknione wydarzenia pozbawiły mnie pozostałych. Wydaje mi się, że to on powinien mieć ostatnie słowo, nie ja.

Lackland odpowiedział natychmiast.

- Barl, rób to, co uznasz za najlepsze. Ty jesteś na miejscu; znasz swój świat i jego mieszkańców lepiej niż ktokolwiek z nas. Jeśli zdecydujesz się zostawić jeden

radionadajnik tym tubylcom, nawet w jakimś sensie pomoże to moim przyjaciółom, jak słyszałeś.

- Dzięki, Charles.

Kapitan podjął decyzję w chwili, gdy Lackland skończył mówić. Wódz z fascynacją słuchał ich rozmowy, nie podejmując żadnej próby wsparcia swoich roszczeń podczas jej trwania. Teraz Barlennan, prowadząc grę do końca, wezwał kilku członków załogi i wydał im szybko rozkazy.

Poruszając się bardzo ostrożnie, tak by nie dotknąć radia, marynarze przygotowali z liny prosty koszyk. Następnie zahaczyli radio drzewcami z „bezpiecznej” odległości oraz szturchali i pchali, aż radio znalazło się w koszyku. Po dokonaniu tego, z dużym szacunkiem podali go Barlennanowi. On z kolei gestem wezwał wodza, by podszedł bliżej i zachowując się jakby podawał coś cennego i delikatnego, przekazał mu przedmiot. Wódz wyznaczył trzech tubylców z orszaku do jego transportowania.

Tragarze przenieśli radio bardzo powoli i uważnie na koniec ostatniej tratwy *Bree*. Canoe wodza podpłynęło - było długie i wąskie, wydrążone tak, że z pnia jednego z leśnych drzew została cienka jak papier skorupa. Barlennan wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Sam nie pływał na niczym innym poza tratwą; wydrążone jednostki pływające jakiegokolwiek rodzaju były dla niego dziwne. Był pewien, że canoe okaże się zbyt małe, by unieść ciężar radia. Dlatego też, kiedy wódz wydał rozkaz, by większa część załogi wysiadła, ledwo powstrzymał się od gestu przeczenia. Czuł, że zmniejszenie wagi uzyskane w ten sposób nie wystarczy. Był bardziej niż zdziwiony, kiedy canoe po obciążeniu go nowym ładunkiem zanurzyło się tylko nieznacznie. Przez kilka sekund zastygł w oczekiwaniu, że canoe wraz z ładunkiem nagle znikną pod powierzchnią, ale nic takiego się nie zdarzyło i było

oczywiste, że się nie zdarzy.

Barlennan był oportunistą, czego dowiódł wiele miesięcy wcześniej, bez wahania podejmując decyzję, by zadać się z gościem z Ziemi i nauczyć jego języka. Teraz zobaczył coś nowego i oczywiście natychmiast chciał dowiedzieć się czegoś na ten temat. Jeśli można było budować statki w ten sposób, że były w stanie przewozić dużo więcej wagi niż wskazywałyby na to ich rozmiary, wiedza ta była ogromnie ważna dla narodu marynarzy. Należało więc nabyć jedno canoe.

Bardzo uważnie i z szacunkiem dotknął radia, pochylając się nad przestrzenią pomiędzy statkiem a łódką, która miała pół cala szerokości, i odezwał się.

- Charles, mam zamiar zdobyć ten mały statek, nawet gdybym musiał tu wrócić i go ukrąść. Kiedy skończę mówić, proszę odpowiedz. Nie ma znaczenia, co powiesz. Mam zamiar poddać tym ludziom myśl, że łódź, która wiozła radio jest zbyt zmieniona, by wykorzystywać ją w normalnych celach i musi zająć miejsce radia na moim pokładzie. Zgoda?

- Wychowano mnie w taki sposób bym nie pochwałał kanciarstwa - kiedyś przetłumaczę ci to słowo - ale podziwiam twoją odwagę. Zrób tak Barl, jeśli dasz radę, ale proszę - nie nadstawiaj karku bez potrzeby.

Zamilkł i patrzył jak Mesklinita wykorzystuje kilka jego zdań dla swojej korzyści.

Tak jak wcześniej, praktycznie nie używał słów, jednak jego czynności były wystarczająco zrozumiałe nawet dla Ziemiaków, a przejrzyste niczym kryształ dla tubylców. Najpierw dokładnie zbadał canoe i wyraźnie, choć z niechęcią uznał, że było warto to zrobić. Później machnięciem odpędził inne canoe, które podплыnęło blisko i gestem nakazał kilku członkom rzeczno szczepu, którzy nadal znajdowali się na pokładzie *Bree*, by odsunęli się na

bezpieczną odległość. Podniósł włócznie, którą porzucił jeden z doradców wchodząc w nową rolę, i jasno pokazał, że nikt nie może zbliżyć się do canoe na odległość włóczni.

Następnie zmierzył canoe długością włóczni, przeniósł broń na miejsce, gdzie wcześniej znajdowało się radio i ostentacyjnie usunął wszystkie rzeczy z miejsca wystarczająco dużego by pomieścić canoe. Na jego rozkaz kilku ludzi z załogi delikatnie przestawiło pozostałe odbiorniki, by zrobić miejsce dla nowego nabytku. Mogli użyć więcej perswazji, ale zachód słońca położył kres tym zabiegom. Mieszkańcy rzeki nie czekali na wodzie na wschód słońca; kiedy ponownie zaświeciło, canoe z radiem znajdowało się wiele jardów dalej, na brzegu.

Barlennan obserwował je z niepokojem. Wiele innych canoe także wylądowało, a tylko kilka pozostało na rzece wokół *Bree*. Na brzegu rzeki zgromadziło się jeszcze więcej tubylców i spoglądało na radio, ale ku wielkiemu zadowoleniu Barlennana żaden nie podszedł blisko niego. Najwidoczniej jego działania zrobiły wrażenie.

Wódz i jego pomocnicy ostrożnie wylądowali zdobycz - w tym czasie szczep trzymał się od nich na dystans. Radio powędrowało na brzeg, a tłum szeroko się rozstąpił, by je przepuścić i podążył za nim; przez długie minuty nic się nie działo. Teraz można było z łatwością wypchnąć *Bree* z pułapki, ponieważ załogi, które pozostały na rzece, wykazywały nikłe zainteresowanie działaniami na statku - ale kapitan nie rezygnował tak łatwo. Czekał spoglądając ciągle na brzeg; w końcu pokazały się tam liczne czerwone i czarne ciała. Jeden z tubylców skierował się do canoe, ale Barlennan zauważył, że nie był to wódz i wydał z siebie ostrzegawczy gwizd. Tubylec zatrzymał się, wywiązała się krótka rozmowa, którą zakończyło kilka modulowanych krzyków, najgłośniejszych jakie Lackland słyszał w wykonaniu Barlennana. Chwilę potem pokazał się wódz,

skierował się bezpośrednio do łódki; a dwóch doradców, którzy pomagali nieść radio, zepchnęło je na rzekę. Podpłynęli do *Bree*. W pełnej szacunku odległości za nią popłynęło drugie canoe.

Wódz dopłynął do miejsca przy zewnętrznych tratwach, gdzie załadowano radio, i natychmiast wysiadł. Barlennan wydał rozkazy w chwili, gdy canoe opuściło brzeg, toteż zaraz łódka została przeniesiona na pokład i wciągnięta na miejsce dla niej zarezerwowane, nadal przy zachowaniu wszelkich oznak szacunku. Wódz nie czekał na zakończenie tej operacji; przesiadł się do drugiego canoe i zawrócił na brzeg, od czasu do czasu oglądając się na *Bree*. Gdy wdrapywał się na brzeg, ciemność pochłonęła całą scenę.

- Wygrałeś, Barl. Chciałbym mieć część twoich zdolności; byłbym dużo bogatszy niż jestem. Rzecz jasna gdybym był jeszcze żywy dzięki jakiemuś dziwnemu zbiegowi okoliczności. Masz zamiar poczekać tu by jutro uzyskać więcej łódek?

- W tej chwili odpływamy! - odpowiedział kapitan bez wahania.

Lackland odszedł od ciemnego ekranu i udał się do swojej kwatery, by po raz pierwszy od wielu godzin zapaść w sen. Odkąd ujrzeli wioskę, minęło sześćdziesiąt pięć minut - niecałe cztery dni na Mesklinie.

W SAMYM SERCU SZTORMU

Bree wpływał na wschodni ocean stopniowo, toteż nikt nie mógł dokładnie określić, w którym momencie to nastąpiło. Wiatr rósł z dnia na dzień, aż w końcu statek poczuł na żaglach powiew otwartego morza. Z każdą milą rzeka robiła się coraz szersza i w końcu z pokładu nie było widać jej brzegów. Nadal była to „świeża woda”, to znaczy

nie było w niej mrowia żywych istot, które praktycznie we wszystkich miejscach oceanu tworzyły plamy o różnorodnych odcieniach i sprawiały, że z przestrzeni kosmicznej świat ten miał tak zaskakujący wygląd.

Trzymali kurs na wschód, ponieważ - według Latacza - drogę na południe zagrażał im długi półwysep. Pogoda była dobra, a dziwne istoty, które obserwowały ich z orbity, w porę informowały ich o wszelkich zmianach warunków atmosferycznych. Na pokładzie było jeszcze wystarczająco dużo jedzenia, by dotrzeć do bogatych terenów głębokich mórz. Załoga była szczęśliwa.

Kapitan także był zadowolony. Dowiedział się - po części dzięki własnym badaniom i eksperymentom, po części dzięki wyjaśnieniom Lacklanda - w jaki sposób tak płytka jednostka pływająca jak canoe mogła przewozić wagę, która w proporcji do jej rozmiarów była dużo większa od wagi, którą mogła przewieźć tratwa. Już teraz był głęboko pogrążony w snuciu planów budowy dużego statku - równie dużego jak *Bree*, a może większego - zbudowanego w oparciu o nowe zasady i będącego w stanie pomieścić zyski dziesięciu podróży morskich. Pesymizm Dondragmera nie był w stanie zakłócić jego marzeń; mat czuł, że musiała istnieć przyczyna, dla której ich własny naród nie używał takich łodzi, jednak nie był w stanie jej sprecyzować.

- Zobaczysz, że zaczniesz tonąć gdy tylko nabierzemy odpowiedniej wagi! - wykrzyknął. - Może być dobra dla istot mieszkających na Krańcu, ale tam, gdzie rzeczy są normalne, potrzebne są dobre, solidne tratwy.

- Latacz tak nie twierdzi - odpowiedział Barlennan. - Równie dobrze jak ja wiesz, że tu, blisko Krańca, *Bree* nie unosi się wyżej niż w naszych stronach. Latacz mówi, że to dlatego, że także metan waży tu mniej - brzmi to całkiem rozsądnie.

Dondragmer nie odpowiedział; z wyrazem twarzy, na którym malowało się niezbite przekonanie zerkał na twardą drewnianą wagę sprężynową oraz odważnik, które stanowiły jeden z głównych instrumentów nawigacji morskiej. Ponieważ odważnik zaczął opadać, był pewien, że wydarzy się coś, czego ani kapitan, ani z daleka patrzący na nich Latacz nie przewidywali. Nie wiedział co to będzie, ale był pewien, że coś się wydarzy.

Jednak canoe nadal utrzymywało się na powierzchni oceanu, mimo powolnego zwiększania się wagi. Oczywiście nie unosiło się tak wysoko nad powierzchnią, jakby miało to miejsce na Ziemi, ponieważ płynny metan ma o połowę mniejszą gęstość niż woda; linia „wody” na tak załadowanym canoe biegła mniej więcej pośrodku między kilem a burtą. Dolna część canoe, zanurzała się na cztery cale. W miarę upływu dni górna część, wystająca także na cztery cale nie malała i mat był niemal rozczarowany. Może, mimo wszystko, Barlennan i Latacz mieli rację.

Waga sprężynowa zaczęła pokazywać ledwo widoczne wahnięcia poniżej zera - oczywiście, została wyprodukowana tam, gdzie waga była dziesiątki czy setki razy większa niż na Ziemi - kiedy monotonia została przerwana. Faktyczna grawitacja wynosiła około siedmiu „g”. Połączenie z Toorey nieco się opóźniało i kapitan z matem zaczynali się zastanawiać, czy wszystkie pozostałe radia nie zawiodły, kiedy usłyszeli głos. Kontaktującym się nie był Lackland, ale meteorolog, którego Mesklinici zdążyli już dość dobrze poznać.

- Barl - specjalista od pogody zaczął bez wstępów - nie wiem jaki rodzaj burz uznajecie za zbyt okropny, by pozostać na morzu - myślę, że wasze normy są dość wysokie - ale wygląda na to, że nadchodzi taka burza, w której nie chciałbym się znaleźć podróżując na tratwie o wielkości czterdziestu stóp. To ostry cyklon, o sile, którą

nawet na Mesklinie nazwałbym huraganem. Obserwowałem go na odcinku tysiąca mil - był tak gwałtowny, że wstrząsał materiałem położonym w głębi i pozostawiał na morzu ślad o kontrastującej barwie.

- To mi wystarczy - odpowiedział Barlennan. - W jaki sposób mogę go uniknąć?

- Tu właśnie tkwi problem - nie jestem pewien. Nadal jest daleko od was i może przeciąć wam drogę, jeśli znajdziecie się w niewłaściwym miejscu. Wcześniej musi was minąć kilka zwykłych cyklonów, które zmienią wasz kurs, a zapewne wpłyną także na kierunek sztormu. Jakies pięćset mil na południowy wschód od was leży grupa dość dużych wysp i pomyślałem, że moglibyście tam popłynąć. Sztorm prawie na pewno w nie uderzy, ale istnieje tam kilka dobrych naturalnych przystani, gdzie wasz statek mógłby się schronić.

- W porządku. Jakie jest moje aktualne położenie?

Ziemianie dokładnie śledzili pozycję *Bree* przez radiowizjery, gdyż przez grubą atmosferę Mesklina nie dało się zobaczyć statku za pomocą żadnego teleskopu. Meteorolog bez problemu podał kapitanowi położenie. Odpowiednio nastawiono żagle i *Bree* ruszył nowym kursem.

Nadal było bezchmurnie, choć wiał silny wiatr. Dzień ga dniem słońce przemierzało horyzont i żaden czynnik atmosferyczny nie ulegał zmianie. Jednak stopniowo na wysokim pułapie pojawiła się mgiełka, która stawała się coraz gęstsza i zamieniła słońce ze złotego dysku w gwałtownie poruszającą się plamkę perlistego światła. Cienie stały się mniej wyraziste i w końcu znikły całkiem, gdy niebo stało się jedną, prawie jednolicie świecąca kopułą. Zmiana następowała powoli, w ciągu wielu dni, a w tym samym czasie tratwy *Bree* pokonywały kolejne mile.

Znajdowali się niecałe sto mil od wysp, kiedy nowa

sprawa oderwała myśli załogi od nadchodzącego sztormu. Morze znowu zmieniło swoją barwę, ale nikogo to nie zmartwiło; byli w równej mierze przyzwyczajeni do niebieskiego, jak i do czerwonego koloru morza. Nikt nie oczekiwał oznak lądu w takiej odległości, ponieważ na ogół prądy kierowały się w poprzek ich kursu, a ptaki, które były zwiastunami lądu dla Kolumba, nie istniały na Mesklinie. Być może wysoki cumulus, jak te, które często tworzą się nad wyspami, byłby widoczny na sto mil lub więcej; ale nie przez mgiełkę, która zakryła niebo. Barlennan żeglował kierując się bezużytecznymi obliczeniami i nadzieją, ponieważ Ziemianie ponad ich głowami stracili wyspy z oczu.

A jednak to na niebie miało miejsce dziwne zdarzenie.

Daleko przed dziobem *Bree*, poruszając się ruchem pikującym, absolutnie niezwykłym dla Mesklinitów, a doskonale znanym Ziemianom, pojawił się maleńki, ciemny punkt. Początkowo nikt go nie zauważył, a kiedy to nastąpiło, był zbyt blisko i zbyt wysoko by mógł znaleźć się w polu widzenia radiowizjerów. Pierwszy marynarz, który go spostrzegł, wydał zwykły gwizd zaskoczenia, który postawił na nogi dyżurnych na Toorey, choć w niczym nie mogli pomóc swoim sojusznikom na planecie.

Kiedy skupili uwagę na ekranach, mogli jedynie zobaczyć jak cała załoga *Bree* podnosi przednie części swoich gąsienicowatych ciał, obserwując niebo.

- Co się dzieje, Barl? - natychmiast zawołał Lackland.
- Nie wiem - odpowiedział kapitan. - Przez chwilę myślałem, że może to wasza rakietka leci w dół szukając wysp, żeby nas lepiej nakierować, ale to jest mniejsze i ma całkiem inny kształt.
- Ale to *lata*?
- Tak. Z tym że nie wydaje żadnego odgłosu, podobnego do hałasu waszej rakietki. Powiedziałbym, że to wiatr nim

kieruje, ale porusza się zbyt gładko i regularnie, a także w nieodpowiednim kierunku. Nie wiem jak go opisać; jest szerszy niż dłuższy, trochę podobny do masztu umieszczonego w poprzek na drzewcu. Nie mogę się bardziej zbliżyć, aby podać więcej szczegółów.

- Mógłbyś skierować jedno nasze „oko” w górę, żebyśmy mogli na niego popatrzeć?

- Spróbujemy.

Lackland natychmiast połączył się z jednym te z biologów na stacji.

- Lance, wygląda na to, że Barlennan napatoczył się na jakieś latające zwierzę. Próbujemy coś zrobić, żebyśmy mogli mu się przyjrzeć. Możesz przyjść tu i nam pomóc w ocenie tego, co widzimy?

- Zaraz tam będę.

Przy końcu zdania głos stał się mniej wyraźny - najwidoczniej był już przy drzwiach. Przyszedł zanim marynarze zdążyli ustawić wizjer, ale opadł w fotel bez zadawania pytań. Barlennan odezwał się znowu.

- Porusza się nad statkiem tam i z powrotem, czasem w linii prostej, czasem zataczając koła. Kiedy skręca, przechyla się, ale oprócz tego nic się nie zmienia. Wygląda na to, że w miejscu, gdzie schodzą się te dwa kije jest jego ciało...

Kontynuował opis, ale obiekt był ewidentnie zbyt odległy od jego normalnych doświadczeń, by dało się znaleźć odpowiednie porównania w obcym języku.

- Jeśli znajdzie się w polu widzenia, przygotuj się na zmruczenie oczu - przerwał głos człowieka z ekipy technicznej. - Śledzę ekran aparatem o dużej szybkości i będę musiał znacznie zwiększyć jasność, żeby uzyskać dobre naświetlenie.

- ...w poprzek większego kija znajdują się mniejsze i coś jak bardzo cienki żagiel rozciągnięty pomiędzy nimi.

Zawraca w naszą stronę, teraz leci bardzo nisko - myślę, że tym razem może znaleźć się w zasięgu waszego oka...

Obserwatorzy zeszywnieli, a ręka fotografa zastygła na dwubiegunowym przełączniku, którego zamknięcie uruchomiłoby aparat i przyspieszyłoby efekt na ekranie. Obiekt pojawił się w polu widzenia zanim fotograf zdążył zareagować. Wszyscy w pokoju dobrze mu się przyjrzeni, zanim jasne światło spowodowało, że bezwolnie zamknęli oczy. Widzieli wystarczająco dużo.

Nikt nie odezwał się słowem, kiedy fotograf uruchomił generator wywoływania, przewinął film i nacisnął przycisk projektora. Wszyscy mieli w głowach wystarczający mętlik, by milczeć przez piętnaście sekund, które zajęła ta czynność.

Projekcja zwolniła o połowę, wszyscy więc mogli patrzeć tak długo, jak tylko chcieli. Nic dziwnego, że Barlennan nie był w stanie opisać tego fenomenu; do chwili spotkania Lacklanda, a było to trzy miesiące temu, nie był w stanie wyobrazić sobie, że coś takiego jak latanie jest w ogóle możliwe. Jego język nie zawierał słów na oddanie znaczenia tego zjawiska, zwłaszcza takich jak „kadłub samolotu”, „skrzydła” i „usterzenie ogonowe”.

Zaobserwowany obiekt nie był zwierzęciem. Miał ciało - kadłub, jak myśleli o nim ludzie - długości około trzech stóp, połowy długości canoe, które zdobył Barlennan. Na samym końcu cienkiego pręta wystającego kilka stóp do tyłu znajdowało się usterzenie. Skrzydła miały pełne dwadzieścia stóp rozpiętości, a ich konstrukcję złożoną z pojedynczego głównego drzewca i licznych żeber można było z łatwością zobaczyć przez prawie przezroczysty materiał, który je pokrywał. Uwzględniając naturalne ograniczenia Barlennana, jego opis był świetny.

- Co go napędza? - zapytał nagle ktoś z ekipy. Nie widać śmigła ani silnika, a Barlennan powiedział, że nie wydaje

dźwięków.

- To żaglot - przemówił jeden z meteorologów. - Szybowiec, kierowany przez kogoś, kto posiada wszelkie umiejętności ziemskiej mewy związane z wykorzystywaniem prądów wstępujących z przodu fali. Z łatwością uniesie paru ludzi o rozmiarach Barlennana i może pozostać w powietrzu tak długo, jak będzie chciał.

Załoga *Bree* stawała się trochę nerwowa. Całkowita cisza wokół latającej maszyny oraz fakt, że nie mogli zobaczyć kto lub co w niej siedzi, kłopotowały ich; nikt nie lubi być obserwowany przez kogoś nieznanego. Szybowiec nie wykonał żadnego wrogiego manewru, ale doświadczenie ataku z powietrza było wystarczająco świeże, by sama obecność przybysza niepokoiła. Jeden, a może dwaj marynarze wyrazili pragnienie ćwiczenia nowo nabytej przez nich sztuki rzucania, używając do tego wszelkich twardych przedmiotów, które mogli znaleźć na pokładzie, ale Barlennan twardo im tego zabronił. Po prostu żeglowali dalej, zastanawiając się nad sytuacją, gdy mglista kopuła nieba przy kolejnym zachodzie słońca pociemniała. Kiedy następnego dnia nie zauważyli nawet śladu latającej maszyny, nikt nie wiedział, czy czuć ulgę, czy może się martwić. Wiatr był teraz mocniejszy, wiejąc prawie dokładnie w poprzek kursu *Bree*, z północnego wschodu; fale jeszcze nie przybrały tego kierunku i dlatego były teraz lekko wzburzone. Barlennan zauważył wtedy pierwszą wadę canoe; metan, który wiał lub pluskał na pokład, pozostawał w środku. Przed końcem dnia musiał wciągnąć małą łódkę na zewnętrzne tratwy i umieścić dwóch ludzi, by wybierali płyn - nie miał ani terminu na określenie tej czynności, ani odpowiedniego sprzętu do jej wykonania.

Pierwsza z wysp, którą zobaczyli, była dość wysoka, teren podnosił się stromo od morza i ginął w chmurach. Wiatr wiał w jej stronę i Barlennan po sprawdzeniu na

szkicu archipelagu, jaki zrobił na podstawie opisów Ziemi, nie zmienił kursu. Tak jak oczekiwał, zanim pierwsza wyspa znikła im z pola widzenia, wprost przed nimi ukazała się druga. Wtedy zmienił kurs, by minąć ją od zawietrznej. Według obserwacji z orbity, te wybrzeże było nieregularne, powinno mieć możliwe do wykorzystania przystanie. Barlennan nie miał także zamiaru zatrzymać się na kilka dni, których wymagały poszukiwania portu na brzegu od strony nawietrznej.

Ta wyspa również wyglądała na górzystą; nie tylko szczyty wzgórz sięgały chmur, ale wiatr uciszył się w dużym stopniu, gdy *Bree* wpłynął pod jej osłonę. Linie brzegową przecinały liczne fiordy; Barlennan zamierzał po prostu przepłynąć przez ujście każdego z nich, ale Dondragmer nalegał, by spenetrować je głębiej, daleko od otwartego morza. Stwierdził, że prawie każda wystarczająco szeroka plaża okaże się dobrym schronieniem. Barlennan był jednak pewny swego na tyle, by pokazać matowi jak bardzo się myli. Na nieszczęście dla tego zamierzenia pierwszy fiord, który sprawdzali zakręcał haczykowato pół mili od oceanu i otwierał się tworząc coś na kształt jeziora, prawie idealnie okrągłego, o średnicy około stu jardów. Poza przesmykiem, przez który wpłynął *Bree*, i mniejszym otworem znajdującym się kilka jardów od pierwszego w miejscu, gdzie strumień z głębi wyspy zasiliał jezioro, brzegi wznosiły się pionowo w górę i ginęły we mgle. Jedyna plaża znajdowała się pomiędzy tymi dwoma przesmykami.

Było jeszcze mnóstwo czasu, by zabezpieczyć statek i jego zawartość. Chmury należały do drugiego z dwóch słabych cyklonów, o których wspominali meteorolodzy, a nie do głównego sztormu. W ciągu kilku dni od przybycia *Bree* do portu, niebo się przejaśniło, mimo że nadal wiał ostry wiatr. Barlennan zauważył, że port znajdował się

faktycznie na samym dnie doliny o kształcie misy, której ściany miały niecałe sto stóp wysokości i nie były szczególnie strome. Dzięki szczelinie, którą płynęła rzeczka, można było sięgnąć wzrokiem daleko w głąb wyspy pod warunkiem, że ktoś wdrapałby się na ścianę. Kiedy Barlennan to zrobił, wkrótce po tym jak chwilowo się przejaśniło, dokonał niepokojącego odkrycia: wśród typowo roślinnej pokrywy, zbocze wzgórza pokrywała gruba warstwa muszli morskich, wodorostów oraz kości dość dużych zwierząt morskich. Po dalszych badaniach odkrył, że ciągnęła się ona dość jednorodnie dookoła doliny do wysokości trzydziestu stóp powyżej obecnego poziomu morza. Wiele szczątków było starych i niemal doszczętnie spróchniałych oraz częściowo zagrzebanych; można to było wytłumaczyć sezonowymi zmianami poziomu oceanu. Jednak inne były stosunkowo świeże. Odkrycie to miało jasną implikację - w pewnych sytuacjach morze podnosiło się wysoko powyżej obecnego poziomu; było więc możliwe, że *Bree* nie był teraz tak bezpieczny, jak sądziła załoga.

Jeden tylko czynnik powodował, że burze na Mesklinie bywały czasem uciążliwe dla żeglugi: opary metanu są dużo gęstsze od oparów wodoru. Na Ziemi para wodna jest lżejsza od powietrza, co w ogromnej mierze przyczynia się do rozprzestrzeniania się huraganu. Na Mesklinie metan wyrzucony w górę przez taki sztorm raczej w dość krótkim czasie kładzie koniec prądom wstępującym, które są odpowiedzialne za jego powstanie. Także ciepło, które emituje podczas kondensacji, gdy tworzy chmury burzowe, jest tylko o jedną czwartą większe niż ciepło oddane przez porównywalną ilość wody - to właśnie ciepło jest paliwem dla huraganów, gdy słońce wykonało początkowy zapłon.

Mimo tego ewenementu huragan na Mesklinie nie jest żartem. Barlennan, choć był Meskliniță, dowiedział się tego nagle. Na poważnie rozważał możliwość holowania *Bree* w

górze rzeki tak długo, jak tylko zezwoli na to czas, kiedy decyzja wymknęła mu się spod kontroli; woda w jeziorze cofnęła się z przerażającą szybkością i statek znalazł się całe dwadzieścia metrów od brzegu. Kilka chwil później wiatr zmienił kierunek o dziewięćdziesiąt stopni i tak przybrał na sile, że aby nie pożegnać się z życiem, marynarze musieli trzymać się kurczowo uchwytów na pokładzie, jeżeli akurat byli na statku, lub najbardziej do tego nadających się roślin, jeśli znaleźli się na łądzie. Ostry gwizd kapitana nakazujący marynarzom na brzegu powrót na statek nie dotarł do nich, choć znajdowali się wewnątrz doliny otoczonej niemal pełnym kręgiem ścian; ale nikt w takiej sytuacji nie czeka na rozkazy. Chwyając się kolejnych krzaków, wracali tam, gdzie ich koledzy zdążyli już przywiązać się najlepiej jak mogli do statku. *Bree* w każdej chwili groziło uniesienie przez wiatr. Deszcz, a właściwie spadająca mgiełka, która pokryła całą wyspę - uderzała w niego długie minuty. Później, jak za dotknięciem magicznej różdżki ustały, i mgiełka i wiatr. Nikt nie ośmielił się uwolnić od zabezpieczeń, ale ostatni marynarze w końcu dotarli na pokład. Przybyli w samą porę.

Obszar sztormu na poziomie morza miał zapewne ze trzy mile kwadratowe średnicy. Poruszał się z szybkością sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu mil na godzinę. Wiatr przestał wiać tylko tymczasowo - znaczyło to, że centrum cyklonu dotarło do doliny. Była to również strefa niskiego ciśnienia i gdy cyklon znalazł się u ujścia fiordu, poziom oceanu jął przybierać z narastającą szybkością. Metan trysnął w dolinę strumieniami. Wirował wokół ścian, podnosząc *Bree* na pierwszym kręgu, coraz, wyżej i wyżej, w miarę jak statek zmierzał do centrum wiru - piętnaście, potem dwadzieścia, a wreszcie dwadzieścia pięć stóp w górę, zanim wiatr nie uderzył ponownie.

Mimo iż drewno masztów było twarde, już dawno się

złamało. Dwóch ludzi znikło - prawdopodobnie zbyt niedbale przywiązali swoje cumy. Nowy wiatr schwycił pozbawiony masztów statek i cisnął nim w bok wiru; zarówno z powodu bezradności jak i wielkości statek wystrzelił niczym korek wraz ze strumieniem metanu, który parł teraz w górę rzeczki w stronę centrum wyspy. Wiatr znosił statek na brzeg strumienia i gdy ciśnienie ponownie wzrosło, przybór cofnął się równie gwałtownie co rozpoczął. Ale nie całkiem; część, która uniosła *Bree*, musiała ująć z powrotem przez rzeczkę, co zabrało trochę czasu. Gdyby dzień trwał dłużej, nawet przy obecnym stanie statku Barlennan byłby w stanie pokierować nim wzdłuż strumienia; ale słońce wybrało tę chwilę na zachód i w ciemności wpłynął na mieliznę. Kilku sekundowe opóźnienie wystarczyło; metan nadal się cofał i gdy słońce wzeszło, patrzyło na bezładny zbiór tratw znajdujący się jakieś dwadzieścia jardów od strumienia, teraz zbyt wąski i płytki, by popłynąć nim mogła jakakolwiek tratwa.

JEŹDŹCY WIATRU

Ludzie na Toorey widzieli większość tego, co zaszło. Radia, tak jak większość luźnych przedmiotów na pokładzie *Bree*, były przymocowane do tratw. Oczywiście, kiedy statek kręcił się w wirze, niewiele dało się zobaczyć, ale jego obecna sytuacja była boleśnie jasna. Nikt z ludzi w pokoju z ekranem nie był w stanie wymyślić nic pomocnego.

Także Mesklinicy niewiele mogli zdziałać. Byli przyzwyczajeni do statków na suchym lądzie, ponieważ dość często pod koniec lata i jesienią, gdy na ich własnej szerokości geograficznej morza się cofały, statki pozostawały na plaży; ale nie byli przyzwyczajeni do tego,

że zdarzy się to tak nagle i że pomiędzy nimi a oceanem znajdzie się tyle wysoko położonego łądu. Podsumowując sytuację Barlennan i mat stwierdzili, że niewiele atutów mają po swojej stronie. Nadal mieli mnóstwo jedzenia, choć to, które było w canoe, znikło. Dondragmer wykorzystał tę okazję, by zauważyć, że tratwy są lepsze, zapominając wspomnieć, że albo zapasy na canoe zostały niedbale przymocowane, albo wcale nie zostały, z powodu nadmiernego zaufania do wysokich burt łódki. Canoe nadal znajdowało się na końcu linii holującej i było nieuszkodzone. Drewno, z którego zostało zrobione zachowało sprężystość nisko rosnących roślin z większych szerokości geograficznych. *Bree*, zbudowany z podobnych materiałów, choć w dużo mniej korzystnej formie, także pozostał nietknięty, aczkolwiek mogło się wszystko skończyć inaczej, gdyby na zboczach doliny było więcej skał. Dzięki swojej budowie statek pozostał odwrócony na właściwą stronę - Barlennan przyznał to nie czekając na mata.

- Najlepiej byłoby rozłożyć go na części, tak jak wcześniej i przenieść przez wzgórza. Nie są za strome i nie ma tu tyle wagi, by przeszkodziła w wykonaniu zadania - zasugerował Barlennan po długim myśleniu.

- Zapewne masz rację, kapitanie, ale czy nie zaoszczędzilibyśmy czasu, gdybyśmy podzielili tratwy tylko wzdłuż i otrzymali w ten sposób rzędy długości całego statku? Moglibyśmy je przenieść lub przeciągnąć do strumienia i spławić zanim zejdziemy niżej - zasugerował Hars, który wrócił już do siebie po spotkaniu ze kamiennym pociskiem.

- To brzmi zachęcająco. Hars, może byś sprawdził, jak daleko na dół musielibyśmy dotrzeć? Reszta może zacząć odwiązywać tratwy w sposób, jaki zaproponował Hars i wyładowywać co trzeba. Obawiam się, że część ładunku

będzie przeszkadzała w spływie.

- Zastanawiam się, czy pogoda nadal jest zbyt niekorzystna dla tych latających maszyn? - zapytał Dondragmer nie zwracając się do nikogo. Barlennan spojrział w górę.

- Chmury są nisko, a wiatr mocny - powiedział. - Jeśli Latacze się nie mylą - a nie powinni - nadal jest zła widoczność. Ale nie zaszkodzi, jeśli od czasu do czasu spojrzymy w górę. Mam nadzieję, że jeszcze zobaczymy maszynę latającą.

- Sam chciałbym zobaczyć taką maszynę - odpowiedział sucho mat. - Myślę, że chcesz ją dołączyć do kolekcji - wskazał na łódkę. - W ekstremalnej sytuacji mógłbym wejść do canoe, ale dzień, w którym wdrapię się na jedną z tych latających maszyn, będzie spokojnym porankiem zimowym, kiedy oba słońca znajdują się na niebie.

Barlennan nie rozważał dotąd możliwości zdobycia latającej maszyny, ale pomysł przypadł mu do gustu. Jeśli chodzi o latanie nią - cóż, mimo zmian, jakie przeszedł, wszystko miało swoje granice.

Latacze powiadomili ich, że nadchodzą przejaśnienia i w ciągu kolejnych kilku dni chmury posłusznie przerzedziły się. Choć warunki pogodowe zaczęły sprzyjać lataniu, niewielu członków załogi myślało o tym, by patrzeć w niebo. Byli zbyt zajęci. Plan Harsa okazał się dobry - już kilkaset jardów w stronę morza strumień był wystarczająco głęboki, by spuścić na niego pojedyncze tratwy, a niewiele dalej mogło już po nim płynąć kilka z nich, połączonych cumami. Okazało się, że Barlennan nie miał racji twierdząc, że dodatkowa waga jest bez znaczenia, każdy element był dwukrotnie cięższy niż w miejscu, gdzie pożegnali się z Lacklandem, a marynarze nie byli przyzwyczajeni do podnoszenia *czegokolwiek*. Choć mieli dużo siły, nowa grawitacja wystawiła na próbę ich umiejętności podno-

szenia. Musieli rozładować tratwy, żeby częściowo nieść, a częściowo ciągnąć rzędy platform w kierunku strumienia. Gdy tratwy były już częściowo zanurzone, dużo łatwiej się szło, a kiedy brygada kopaczy poszerzyła brzegi strumienia do miejsca postoju *Bree*, praca stała się niemal prosta. Minęło zaledwie kilkadziesiąt dni, kiedy zaczęli holować do morza wąski łańcuch na nowo załadowanych tratw.

Maszyny latające pojawiły się tuż po tym, jak statek wpłynął na część strumienia o najbardziej stromych brzegach, tuż przed ujściem do jeziora. Pierwszy zobaczył ich Karondrasse; zajęty w tym momencie na pokładzie przygotowywaniem jedzenia. Inni ciągnęli liny, dlatego łatwiej mu było oderwać się od pracy. Alarmujący gwizd, jaki z siebie wydał, obudził zarówno Ziemian, jak i Mesklini-tów. Ziemianie, jak wcześniej, nie widzieli zbliżających się gości, ponieważ radiowizjery nie były wycelowane w górę.

Jednak Barlennan zobaczył wszystko aż nazbyt wyraźnie. Osiem szybowców leciało dość blisko siebie, ale nie stanowiły zwartej formacji. Leciały prosto na prądzie wstępującym po zawietrznej stronie dolinki aż do momentu, gdy znalazły się prawie dokładnie nad statkiem; wtedy zmieniły kurs i przeleciały tuż przed nim. Następnie każdy z nich zanurkował, wypuścił jakiś przedmiot, skręcił i skierował się z powrotem na zawietrzną, by nabrać wysokości.

Spadające przedmioty były dobrze widoczne; włącznie, bardzo podobne do tych, których używali mieszkańcy rzeki, ale z cięższymi zakończeniami. Przez chwilę wrodzony strach przed spadającymi przedmiotami niemal wpędził załogę w histerię; później zorientowali się, że pociski upadną przed statkiem. Kilka sekund później szybowce ponownie zanurkowały i marynarze skulili się oczekując, że tym razem napastnicy lepiej wycelują, ale włącznie upadły mniej więcej w tym samym miejscu. Za trzecim razem było

jasne, że miejsce wbicia strzał zostało wybrane celowo. Każdy pocisk wpadł do spokojnego strumienia, wbijając się na pół długości w twarde gliniane dno; po trzecim nalocie dwanaście słupów utworzonych z rękojeści włóczni całkiem zablokowało drogę w dół strumienia.

Gdy *Bree* zbliżył się do barykady, bombardowanie ustało. Barlennan sądził, że może będzie kontynuowane, żeby uniemożliwić im zbliżenie się i usunięcie przeszkód, ale gdy dotarli do nich odkryli, że niewiele da się zrobić. Włócznie były zakotwiczone na dobre; zostały spuszczone z doskonałą celnością z prawie stu stóp w grawitacji siedem „g” i nic oprócz maszyn o dużej mocy nie było w stanie ich ruszyć. Dowiodła tego zakończona niepowodzeniem pięciominutowa próba wyciągnięcia ich, której podjęli się Terblannen i Hars.

- Nie możecie ich obciąć? - zapytał Lackland z orbi ty. -
Wiem przecież, że wasze szczypce są bardzo mocne.

- To drzewo jest twarde jak metal - odpowiedział Barlennan. - Musielibyśmy mieć jedną z twoich twardych pił z metalu, które, jak twierdzisz, mogą przeciąć wszystko, chyba że masz jakieś urządzenie, żeby je wyciągnąć.

- Musicie mieć jakieś narzędzia do cięcia; w jaki sposób dokonujecie napraw statku? Tratwy na pewno nie urosły w tym kształcie.

- Nasze narzędzia do cięcia są zrobione z zębów zwierząt, umieszczonych w mocnych ramach. Większość z nich nie bardzo nadaje się do przenoszenia. Użyjemy tego, co mamy, ale wątpię czy napastnicy dadzą nam tyle czasu, ile potrzebujemy.

- Wydaje mi się, że możecie odparowywać ataki używając ognia.

- Tak, jeśli będziemy go mogli użyć od nawietrznej. Trudno mi sobie wyobrazić, by mogli być tak głupi.

Lackland zamilkł. Załoga zaczęła pracować nad palami,

używając wszystkich dostępnych im ostrych narzędzi. Ich osobiste noże były zrobione z twardego drewna i nie byłyby w stanie ruszyć włóczni, ale mieli kilka narzędzi do cięcia sporządzonych z kości i zaczęli nimi ciąć niewiarygodnie twarde drewno. Część załogi, której nie starczyło narzędzi, zaczęła kopać. Na zmianę nurkowali do dna potoku głębokiego na kilka cali i starali się spulchnić glinę tak, by jej cząsteczki rozmyły się w ospałym nurcie. Dondragmer przez jakiś czas obserwował pracujących, po czym zauważył, że łatwiej będzie wykopać kanał dookoła przeszkody niż wygrzebać dwanaście kijów z głębokości czterech stóp. Marynarze, którzy nie mieli nic do cięcia, przyjęli tą sugestię z entuzjazmem i praca zaczęła posuwać się szybko do przodu.

Szybowce nadal kołowały nad nimi; widocznie albo zostały w powietrzu na noc albo podczas dziesięciu minut ciemności zastąpiły je inne - nikt nie wiedział, jak naprawdę było. Barlennan uważnie przypatrywał się wzgórzom po obu stronach strumienia oczekując w każdej chwili pojawienia się tam sił naziemnych, ale przez długi czas jego załoga i szybowce stanowiły jedyne ruchome elementy scenarii. Załogi szybowców pozostawały niewidoczne; nikt nie był w stanie powiedzieć, ile istot i jakiego rodzaju znajdowało się w maszynach, choć zarówno Mesklinicy, jak i Ziemianie przyjęli za pewnik, że były to istoty rodzaju Barlennana. Nie okazywały żadnego niepokoju z powodu kopania, którego podjęli się marynarze, ale było jasne, że wykopy zostały zauważone. Wykonano trzy czwarte pracy, kiedy maszyny podjęły nową akcję: kolejna seria bombardujących włóczni odcięła nową drogę wodną równie skutecznie jak wcześniej. Nikt nie został ranny, najwyraźniej podjęto wysiłek, by nie trafić nikogo z członków załogi. Było to równie zniechęcające jak osobisty atak; stało się jasne, że kopanie nie miało sensu,

ponieważ w kilka minut można było zniweczyć pracę wielu dni. Należało przyjąć inną linię postępowania.

Za radą Ziemiann Barlennan dużo wcześniej rozkazał swoim ludziom, by nie gromadzili się w duże grupy; teraz ściągnął ich bliżej statku, tworząc luźny kordon równoległy do sznura tratw po obu stronach strumienia. Ludzie byli na tyle daleko od siebie, że nie stanowili kuszącego celu, a wystarczająco blisko, by udzielić sobie nawzajem wsparcia w przypadku ataku. W takim położeniu pozostali; kolejny ruch należał do szybujących. Ale przez kilka dni nie przedsięwzięli oni żadnego kroku.

Po tym czasie w oddali pojawił się tuzin nowych pojazdów latających. Zanurkowały nad głowami załogi, podzieliły się na dwie grupy i wylądowały na wzgórzach po obu stronach uwięzionego statku. Lądowanie odbyło się jak przepowiedział Latacz - do wiatru; maszyny zniżyły się lotem ślizgowym i zatrzymały kilka stóp od miejsca, w którym dotknęły ziemię. Z każdej wysiadły cztery istoty, skoczyły do skrzydeł i w pośpiechu przywiązały szybowce do ziemi używając rosnących tam krzaków jako kotwic. Przypuszczenia załogi i Ziemiann potwierdziły się - istoty te miały taki sam kształt, rozmiary i barwy jak marynarze *Bree*.

Gdy szybowce zostały zabezpieczone, ich załogi zaczęły ustawiać pod wiatr składaną konstrukcję i przymocowywać do niej sznury z hakami. Wydawało się, że dość dokładnie zmierzyły odległość od tego urządzenia do najbliższego szybowca. Dopiero po zakończeniu zadania, zaczęły zwracać uwagę na *Bree* i jego załogę. Pojedyncze, długie zawrodożenie dające się słyszeć pomiędzy wzgórzami było sygnałem oznaczającym zakończenie pracy.

Wtedy załogi szybowców od strony zawietrznego wzgórza zaczęły schodzić w dół. Tubylcy nie skakali jak przy czynnościach po wylądowaniu, ale pełzały niczym

gąsienice - był to jedyny sposób poruszania się znany ludziom Barlennana przed eksploracją Krańca. Mimo tego poruszały się z niezłą szybkością i przed zmierzchem znalazły się w odległości rzutu - jak ocenili niektórzy bardziej pesymistycznie nastawieni marynarze. Zatrzymawszy się w tym miejscu, czekały aż minie noc; księżycy rzucały wystarczająco dużo światła, by obie strony mogły obserwować się nawzajem. O wschodzie przeciwnicy ruszyli do przodu i zatrzymali się, kiedy jeden z nich znalazł się o jakiś jard od najbliższego marynarza, gdy tymczasem jego kompani pozostawiali kilka stóp w tyle. Wydawało się, że nikt z nich nie miał broni i Barlennan wyszedł im na spotkanie, po wcześniejszym wydaniu rozkazu by dwóch marynarzy przechyliło oko wizjera tak, by pokazywał bezpośrednio miejsce spotkania.

Pilot szybowca nie tracił czasu, ale gdy tylko Barlennan znalazł się przy nim, zaczął mówić. Kapitan nie zrozumiał ani słowa. Po kilku zdaniach mówca pojął to, przerwał i po chwili zaczął nieco wolniej. Nadal był to dialekt dla Barlennana zupełnie obcy. By zaoszczędzić czasu, który zabrałoby losowe sprawdzanie znanych im języków, Barlennan wyraził tym razem werbalnie swoje niezrozumienie. Mówca ponownie podjął mowę w innym języku i raczej zaskoczony Barlennan rozpoznał znajome słowa, wypowiedane powoli i ze złym akcentem, ale dość zrozumiale.

- Od dawna nie słyszałem nikogo, kto mówiłby twoim językiem - oznajmił mówca. - Mam nadzieję, że mimo to rozumiesz mnie, kiedy będę mówił. Rozumiesz mnie?

- Bardzo dobrze - odpowiedział Barlennan.

- Jestem Reejaaren, lingwista Marreni, Oficera Portów Zewnętrznych. Mam rozkaz dowiedzieć się, kim jesteście, skąd pochodzicie i w jakim celu żeglujecie po morzach koło wysp.

- Jesteśmy w trakcie podróży handlowej bez żadnego szczególnego celu. - Barlennan nie miał zamiaru mówić o swoich kontaktach z istotami z innego świata. - Nie wiedzieliśmy nawet, że te wyspy istnieją; po prostu płynęliśmy od Krańca, którego mieliśmy już dosyć. Jeżeli chcecie z nami handlować, chętnie na to przystaniemy; jeśli nie, prosimy o pozwolenie na kontynuowanie naszej podróży.

- Nasze statki i szybowce handlują na tutejszych morzach - nigdy nie widzieliśmy innych - odpowiedział Reejaaren. - Nie rozumiem jednej rzeczy. Kupiec z dalekiego południa, od którego nauczyłem się twojego języka, powiedział, że pochodzi z kraju na samym końcu morza po drugiej stronie kontynentu zachodniego. Wiemy, że nie ma żadnej cieśniny morskiej z tamtego oceanu do nas, ani od miejsca, gdzie jesteśmy, do lodu; ale wy płynęliście z północy, kiedy zobaczyliśmy was po raz pierwszy. To sugerowałoby, że pływaliście po morzach tam i z powrotem, celowo szukając łądu. Jak to się ma do twojej historii? Nie lubimy szpiegów.

- Przybyliśmy z północy. Najpierw przedostaliśmy się tam łądem znajdującym się pomiędzy naszym oceanem a waszym.

Barlennan nie miał czasu na wymyślenie przekonującego kłamstwa, choć zdawał sobie sprawę, że prawdzie trudno będzie uwierzyć. Wyras twarzy Reejaarena pokazał, że się nie mylił.

- Twój statek został z pewnością zbudowany przy pomocy dużych narzędzi, których tu nie widzę. Na pewno w stoczni, a na oceanie północnym nie ma żadnej. Chcesz żebym ci uwierzył, że rozebraliście go na części i przeciągnęliście przez taki szmat łądu?

- Tak - Barlennan poczuł, że znalazł wyjście z sytuacji.

- W jaki sposób?

- A w jaki sposób latacie? Niektórym byłoby znacznie

trudniej uwierzyć w latanie.

Sądząc po reakcji lingwisty, pytanie nie było tak dobre jak się Barlennanowi wydawało.

- Nie spodziewasz się chyba, że ci powiem? Jesteśmy w stanie tolerować przygodnych podróżnych, ale szpiegów traktujemy znacznie srożej.

- Nie oczekiwałem, że mi to zdradzisz. Po prostu próbowałem ci przekazać jak najtaktowniej, że nie powinienes mnie pytać o to, w jaki sposób pokonałem barierę lądową.

- Oo! Powiniennem i muszę. Chyba nie zdajesz sobie jeszcze sprawy ze swojej sytuacji, cudzoziemcze. Nieważne, co o mnie myślisz; liczy się to, co ja myślę o tobie. Mówiąc prościej, jeśli chcesz żebyśmy zostawili cię w spokoju, jak tego pragniesz, musisz mnie przekonać, że jesteś nieszkodliwy.

- Jaką szkodę może wam wyrządzić załoga pojedynczego statku? Dlaczego mielibyście się nas bać?

- Nie boimy się was! - padła ostra i stanowcza odpowiedź. - Szkoda, jaką możecie wyrządzić, jest oczywista - nawet jedna osoba może wykraść nam informacje, które chcemy zachować w tajemnicy. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że barbarzyńcy nie są w stanie nauczyć się sztuki latania, jeśli się im tego bardzo dokładnie nie wyjaśni; dlatego śmiałem się z twojego pytania. Powinienes być uważniejszy.

Barlennanowi nie było jednak wcale do śmiechu. Prawdopodobnie najlepszym posunięciem w tej sytuacji była półprawda, która mogła się wydać rezygnacją ze strony Barlennana.

- Otrzymaliśmy znaczną pomoc w przeciągnięciu statku przez ląd - powiedział z ponurą nutą w głosie.

- Od toczących kamienie i rzecznych ludzi? Posiadasz zatem bardzo dużą siłę perswazji. Nigdy nie otrzymaliśmy

od nich niczego prócz pocisków.

Na szczęście Reejaaren nie ciągnął dalej tego tematu. Wrócił do pilniejszych spraw.

- A więc skoro już tu jesteście, chcecie z nami handlować? Co macie do sprzedania? I pewnie chcielibyście się dostać do jednego z naszych miast? - Barlennan wyczuł pułapkę i stosownie odpowiedział.

- Będziemy handlować tu lub wszędzie tam, gdzie zechcecie, chociaż wolelibyśmy nie oddalać się od morza. Obecnie możemy sprzedać jedynie ładunek żywności z przesmyku, której macie z pewnością pod dostatkiem dzięki latającym maszynom.

- Żywność zawsze można sprzedać - odpowiedział tłumacz wymijająco. - Czy zechcecie handlować, zanim znajdziecie się bliżej morza?

- Jeśli będzie trzeba, to tak. Już to mówiłem. Ale nie widzę powodu, dla którego miałoby to być konieczne. Jeśli będziemy chcieli opuścić wybrzeże wcześniej niż tego zechcecie, wasze maszyny latające mogą nas złapać zanim odplyniemy. - Do tej chwili Reejaaren tracił na podejrzliwości, ale ostatnie pytanie w pełni przywróciło mu czujność.

- Może mogą, nie mnie o tym decydować. Zrobi to oczywiście Marreni, ale podejrzewam, że równie dobrze moglibyście zaplanować odciążenie waszego statku tutaj. Będziecie musieli oczywiście zapłacić opłaty portowe.

- Opłaty portowe? To nie jest port, a ja tu nie zacumowałem. Zostałem wyrzucony na brzeg.

- Mimo to zagraniczne statki muszą płacić opłaty portowe. Sumę wyznacza Oficer Zewnętrznych Portów, a wrażenie na wasz temat wyrobi sobie w dużej mierze dzięki mnie. Mógłbyś więc być trochę bardziej uprzejmy.

Barlennan z trudem pohamował swój temperament, ale głośno przyznał, że lingwista ma rację. Wyraził to w

obszernej mowie i najwyraźniej ułagodził nią częściowo tłumacza. W każdym razie ten odszedł bez gróźb.

Towarzyszyło mu dwóch ludzi; reszta została z tyłu. Załogi pozostałych szybowców w pośpiechu chwyciły dwie liny przymocowane do składanej ramy i pociągnęły. Liny rozciągnęły się wręcz niewiarygodnie, tak, że haki zostały w końcu przymocowane do końcówki na dziobie szybowca. Następnie uwolniono pojazd latający, a liny ze świstem wypchnęły go w powietrze. Barlennan momentalnie poczuł płynące z głębi serca pragnienie, by mieć kawałek takiej rozciągliwej liny. Powiedział to głośno, a Dondragmer zgodził się z nim. Słyszał rozmowę i miał te same odczucia co kapitan w stosunku do lingwisty Oficera Zewnętrznych Portów.

- Wiesz Barl, myślę, że moglibyśmy tego gościa przywołać do porządku. Może spróbujemy?

- Chciałbym, ale nie możemy sobie pozwolić na jego wściekłość, dopóki nie znajdziemy się daleko stąd. Nie chcę, żeby on i jego przyjaciele spuszczaali włócznie na *Bree*, teraz lub kiedykolwiek w przyszłości.

- Nie chcę go rozgniewać, ale chcę żeby zaczął się nas bać. Barbarzyńcy - zje to słowo, choćbym musiał osobiście mu je wepchnąć do gardła. Wszystko zależy od jednej rzeczy: czy Latacze wiedzą na jakiej zasadzie działają te latające maszyny, i czy nam to wyjaśnią?

- Pewnie wiedzą, chyba że mają te swoje rakiety tak długo, że już zapomnieli...

- Tym lepiej dla mojego zamysłu.

- ...ale nie jestem pewien, czy nam powiedzą. Chyba już się domyślasz, co chcę uzyskać podczas tej wyprawy; chcę nauczyć się wszystkiego, co tylko zdołam pojąć o nauce Lataczy. Dlatego chcę zdobyć tę ich rakietę blisko Centrum. Charles sam powiedział, że znajduje się w niej większa część najbardziej nowoczesnego sprzętu naukowego, jaki

mają. Kiedy nią zawładniemy, nie będzie pirata na morzu ani na lądzie, który mógłby tknąć *Bree*, a my nie będziemy już więcej płacić opłat portowych. Wtedy sami będziemy dyktować warunki innym.

- Tyle się domyśliłem.

- Dlatego zastanawiam się, czy powiedzą nam to, czego chcesz. Mogą zacząć coś podejrzewać.

- Myślę, że jesteś przewrażliwiony. Czy *poprosiłeś* kiedyś o którąś z tych naukowych informacji, które chcesz ukraść?

- Tak; Charles zawsze mówił, że byłyby zbyt trudne do wyjaśnienia.

- Może miał rację, a może sam ich nie zna. W każdym razie chcę zapytać któregoś z jego ludzi o te szybowce. Mam plan, który sprawi, że Reejaaren będzie się przed nami kajał.

PRZEJĘZCZENIE

Na szczęście Reejaaren nie wracał przez wiele dni. Jego ludzie trwali na posterunku; nad statkiem zawsze krążyło cztery do sześciu szybowców, a kilka innych osiadło na szczytach wzgórz obok swoich katapult. Liczba szybowców nie zmieniła się zauważalnie, ale osób na wzgórzach przybywało z dnia na dzień. Ziemianie z entuzjazmem, i jak podejrzewał Barlennan, z rozbawieniem, włączyli się do planu Dondragmera.

Na długo przed powrotem lingwisty plan był opracowany, próby przeprowadzone, a oficerowie z niecierpliwością czekali, kiedy będą mogli go wypróbować. W międzyczasie Dondragmer spędzał czas przy radiu, przygotowując kolejny projekt. Faktycznie, po kilku dniach kapitan wraz z matem udali się któregoś ranka na spacer w

górze wzgórza, ku zaparkowanym szybowcom, zdeterminowani by przetestować swój pomysł, chociaż żaden z nich nie zdradził swoich intencji. Wypogodziło się i na morzach Mesklina utrzymywał się stały wiatr, który mógł pomagać w szybowaniu lub je utrudniać. Najwyraźniej chciał pomagać; szybowce szarpały trzymające je kable niczym żywe istoty, a załogi stały przy bezpiecznie zakotwiczonych skrzydłach, ewidentnie w gotowości, by użyć ograniczających lin, gdyby było to konieczne.

Barlennan i Dondragmer szli w kierunku maszyn, kiedy wydano im ostry rozkaz zatrzymania się. Nie mieli pojęcia jaką rangę lub władzę miała osoba wydająca rozkazy, ponieważ nie nosiła żadnych odznak, ale ich plan nie obejmował kłótni na ten temat. Zatrzymali się i od niechcenia spojrzeli na maszyny z odległości trzydziestu czy czterdziestu jardów. Załogi szybowców taksowały ich wzrokiem raczej wojowniczo. Najwyraźniej podejrzliwość charakterystyczna dla Reejaarena nie była rzadką cechą wśród tego narodu.

- Barbarzyńcy, wyglądacie na zaskoczonych - zauważył jeden z członków załogi po krótkiej ciszy. - Gdybym sądził, że możecie dowiedzieć się czegokolwiek oglądając, nasze maszyny, musiałbym was zatrzymać. Mogę was jedynie zapewnić, że wyglądacie dziecinnie.

Odezwał się w języku Barlennana z nie gorszym akcentem od głównego lingwisty.

- Wygląda na to, że niewiele można się nauczyć podglądając wasze szybowce. Moglibyście zaoszczędzić sobie wielu kłopotów z wiatrem, gdybyście wygięli skrzydła lekko na dół; dlaczego zamiast to zrobić angażujecie tylu ludzi?

Użył angielskiego słowa na „skrzydła”, ponieważ w jego własnym języku ono nie istniało. Rozmówca zażądał wyjaśnienia, a gdy je uzyskał, wydawał się niezmiernie

zaskoczony.

- Widziałeś już szybowce? Gdzie?

- W życiu nie widziałem latających maszyn takich jak wasze - odpowiedział Barlennan. Słowa te były prawdziwe, jednak nacisk jaki na nie położył wprowadzał w błąd. - Nigdy wcześniej nie byłem tak blisko Krańca i wyobrażam sobie, że te liche konstrukcje zawałyłyby się od dodatkowej wagi, gdybyście polecieeli na nich bardziej na południe.

- Skąd...

Strażnik przerwał, zdając sobie sprawę, że nie zachowuje postawy cywilizowanej istoty w stosunku do barbarzyńcy. Przez chwilę bił się z myślami, jak się zachować, w końcu zdecydował, że przekaże ten problem wyższemu rangą.

- Kiedy Reejaaren wróci, niewątpliwie będzie zainteresowany wszelkimi drobnymi usprawnieniami, jakie będziecie mogli zasugerować. Może nawet zmniejszy waszą opłatę portową, jeśli uzna je za wartościowe. Myślę, że do tego momentu powinniście trzymać się z dala od szybowców; moglibyście zapamiętać niektóre z ich wartościowych cech i wtedy z przykrością musielibyśmy uznać was za szpiegów.

Barlennan z matem wrócili do *Bree* bez sprzeczek, w pełni usatysfakcjonowani wrażeniem, jakie wywarli i zdali Ziemiąom sprawozdanie z rozmowy.

- W jaki sposób zareagowali na sugestię, że macie szybowce, które mogą wznosić się na szerokościach geograficznych o grawitacji równej dwieście? zapytał Lackland. - Myślisz, że wam uwierzyli?

- Nie umiem ci odpowiedzieć; ten tubylec stwierdził, że albo mówi za dużo, albo słyszy za dużo, i do powrotu swojego szefa trzyma nas na dystans. Myślę jednak, że nakierowaliśmy ich we właściwą stronę.

Być może Barlennan miał rację, ale lingwista nie potwierdził tego po powrocie swoim zachowaniem.

Pomiędzy jego lądowaniem a zejściem ze wzgórza do *Bree* nastąpiło pewne opóźnienie i prawdopodobnie strażnik złożył mu raport z rozmowy. Tłumacz początkowo nie wspomniał o niej wcale.

- Oficer Zewnętrznych Portów tymczasowo zakłada, że wasze zamiary są nieszkodliwe - zaczął. - Oczywiście naruszyliście zasady pojawiając się na brzegu bez zezwolenia; uznał jednak, że zrobiliście to, bo mieliście problemy i jest skłonny potraktować was z pobłażaniem. Upoważnia mnie do skontrolowania waszego ładunku i wyznaczenia niezbędnej opłaty portowej oraz kary.

- Oficer nie zechce sam zobaczyć naszego ładunku i przyjąć jakiegoś dowodu naszej wdzięczności za swą łaskawość?

Barlennan siłą powstrzymał się od sarkazmu. Reejaaren okazał ekwiwalent uśmiechu.

- Twoja postawa jest godna pochwały, jestem pewien, że nasze stosunki się ułożą. Niestety oficer jest zajęty na jednej z pozostałych wysp i wróci dopiero za wiele dni. Jeśli nadal tu pozostaniecie, jestem pewien, że z przyjemnością skorzysta z waszej oferty. W międzyczasie możemy zająć się interesami.

Podczas sprawdzania ładunku *Bree* Reejaaren nie stracił nic ze swojej wyższości, ale przekazał Barlennanowi informacje, których świadomie by nie ujawnił nawet pod groźbą utraty życia. Oczywiście starał się pomniejszyć wartość wszystkiego, co zobaczył; bez końca nudził na temat „litości” swojego szefa Marreni, którego jak dotąd nie widzieli. Przywłaszczył sobie jednak jako grzywnę dość znaczną ilość „szyszek jodłowych”, które zdobyli podczas podróży przez przesmyk. Wydawało się, że z łatwością można je było tu nabyć, ponieważ odległość ta nie mogła być zbyt duża dla szybowców - rzeczywiście, lingwista zrobił kilka uwag wskazujących, że zna mieszkańców tych

regionów. To znaczyło, że jeśli Reejaaren uważał te owoce za wartościowe, „barbarzyńcy” z przesmyku byli zbyt dużym wyzwaniem dla ludzi wysokiej kultury reprezentowanych przez tłumacza. Widocznie nie byli tak bliscy zostania panami stworzenia, jak chcieli to innym zasugerować.

Kiedy grzywna została zapłacona, obserwujące ich tłumy zeszły ze wzgórz i wniosek na temat wartości owoców przypominających szyszki jodłowe został zdecydowanie potwierdzony. Barlennan początkowo odczuwał pewną niechęć, by sprzedać wszystkie, bo miał nadzieję, że w ojczystym kraju uzyska za nie naprawdę wysoką cenę, ale wracając do domu i tak będzie musiał mijać tereny, z których pochodziły owoce.

Wielu kupujących było profesjonalnymi kupcami i miało ze sobą zapasy towarów handlowych. Część z nich była jadalna, ale na rozkaz kapitana załoga nie przywiązywała do nich większej wagi. Kupcy przyjęli to naturalnie; takie towary nie miały zbyt dużej wartości dla zamorskiego kupca, który mógłby zaopatrywać się w żywność z oceanu, ale trudno by mu było konserwować ją przez dłuższy czas, by sprzedać we własnym kraju. „Przyprawy”, które raczej się nie psuły, były zasadniczym wyjątkiem od reguły, ale żaden z miejscowych handlowców ich nie oferował.

Jednak ten i ów miał ciekawe materiały. Ku zaskoczeniu Barlennana, sprzedawali zarówno sznury, jak i materiał, którymi był zainteresowany. Sam dobił targu z handlowcem, który posiadał zapas materiału. Kapitan długo dotykał jego niewiarygodnie przejrzystej i mocnej faktury, zanim przekonał się, że tego samego materiału użyto do budowy skrzydeł szybowca. Reejaaren nie odstępował go, przez co trzeba było zachować ostrożność. Dowiedział się od kupca, że tkanina powstała z włókna roślinnego - przebiegły sprzedawca nie chciał powiedzieć

nic więcej. Po utkaniu materiał impregnowano płynem, który po części rozpuszczał nici i wypełniał otwory po nich.

- A więc materiał jest wiatroszczelny? Myślę, że z łatwością mógłbym go sprzedać w naszym kraju. Nie jest wystarczająco mocny, by go użyć do celów praktycznych jak dach, ale z pewnością może być ozdobą, szczególnie w odmianie kolorowej. Muszę przyznać, że chociaż taka procedura zakupu nie podoba mi się, jest to najlepszy towar, jaki widziałem na tej wyspie.

- Niewystarczająco mocny? - to Reejaaren, a nie kupiec wyraził oburzenie. - Tego materiału nie wytwarza się w żadnym innym miejscu; jest jednocześnie mocny i wystarczająco lekki do budowy skrzydeł naszych szybowców. Jeśli go kupisz, będziemy musieli dać ci go w rolkach, zbyt małych, by je wykorzystać do tego celu. Tylko głupiec zaufały szwom na skrzydle.

- Oczywiście - zgodził się szybko Barlennan. - Myślę, że ten materiał nadaje się na skrzydła tu, gdzie waga jest mała. Zapewniam cię, że na większych szerokościach geograficznych byłby całkiem bezużyteczny; skrzydło wystarczająco duże by unieść człowieka podarłoby się w kawałki przy każdym wietrze, który byłby wystarczająco silny, by móc je podnieść.

Było to niemal dosłowne przytoczenie wypowiedzi jednego z jego przyjaciół Ziemi, który w ten sposób wyjaśniał, dlaczego w krajach dalekiego południa nigdy nie widziano szybowców.

- Naturalnie, na tutejszych szerokościach geograficznych szybowce wożą bardzo mały ładunek - zgodził się Reejaaren. - Nie ma powodu, by były mocniejsze niż to jest konieczne; byłyby wtedy o wiele cięższe.

Barlennan uznał, że jego taktyczny przeciwnik nie jest zbyt bystry.

- Jasne - zgodził się. - Podejrzewam, że przy tutejszych

sztormach wasze statki są mocniejsze. Czy zdarza się, że morze rzuca je w głąb lądu, tak jak mój? Nie widziałem nigdy, by morze podnosiło się w ten sposób.

- Naturalnie, kiedy nadchodzi sztorm, podejmujemy środki ostrożności. Na podstawie własnych obserwacji przypuszczam, że morze podnosi się tylko na szerokościach geograficznych o małej wadze. Nasze statki są podobne do waszego, ale zauważyłem, że mamy inne uzbrojenie. Nie znam waszego - niewątpliwe nasi filozofowie wojny stwierdzili, że nie nadaje się na sztormy na tutejszych szerokościach geograficznych. Czy bardzo ucierpiało podczas huraganu, który was przyniósł?

- Raczej tak - skłamał Barlennan. - Jak są uzbrojone wasze statki?

Przez sekundę sądził, że lingwista nie odpowie na to pytanie i wróci do poprzedniej wyniosłości, ale Reejaaren tym razem okazał się przyjazny i chętny do współpracy. Gwizdem dał sygnał ludziom na wzgórzu i jeden z nich posłusznie zszedł na miejsce przetargów z dziwacznym przedmiotem w odnóżach.

Barlennan nie widział dotąd kuszy ani innej broni z pociskami. Był pod wrażeniem, gdy Reejaaren wysłał z łomotem serię trzech strzał z końcówkami z kwarcu, długich na ponad trzy cale, w twardej pień rośliny oddalonej od nich o czterdzieści jardów. Jego zachwyty minął szybko; zanim przebyliby ćwierć drogi do domu, broń ta stałaby się zdecydowanie za ciężka. Bardziej dla przetestowania broni niż w jakimkolwiek innym celu Barlennan zaproponował, że kupi jedną kuszę; tłumacz wcisnął mu ją wraz z pękiem strzał jako prezent. To kapitanowi wystarczyło; jako kupiec cieszył się, gdy brano go za głupka. Zwykle przynosiło mu to korzyści.

Zapewnił sobie niewiarygodną ilość materiału na skrzydła - Reejaaren albo zapomniał upewnić się, że ma on

być w małych rolkach, albo uznać, że nie było to istotne - oraz sporo elastycznej liny i wystarczająco dużo miejscowych produktów, by zapłacić pokłady *Bree* oprócz przestrzeni roboczej i magazynu rezerwy żywności. Oprócz miotaczy ognia pozbył się wszystkich rzeczy nadających się na sprzedaż. Reejaaren nie wspominał o nich, ponieważ powiedziano mu, że zostały uszkodzone, chociaż rozpoznał w nich rodzaj broni. Barlennan chciał mu nawet dać jeden miotacz bez amunicji chlorowej, ale zdał sobie sprawę, że musiałby wyjaśnić jego działanie, a nawet je zademonstrować.

Kiedy zakończono handel, tłum miejscowych stopniał i w końcu pozostały tylko szybowce wraz z załogami. Część załóg została koło statku, część - przy maszynach na wzgórzach. Lingwista znalazł się, jak zwykle, w pierwszej grupie; spędził dużo czasu na swobodnej rozmowie z marynarzami. Zameldowali oni, że tak jak oczekiwali, podpytywał ich delikatnie na temat umiejętności latania ich narodu. Wypełnili swoją część gry wymijającymi odpowiedziami, które mimo wszystko „przypadkowo” wyjawiały znaczącą wiedzę z dziedziny aerodynamiki. Naturalnie, uważali by nie zdradzić od jak niedawna posiadają tę wiedzę, ani z jakiego źródła. Barlennan był prawie pewien, że wyspiarze, a przynajmniej ich oficjalny przedstawiciel, uwierzyli, że jego naród potrafi latać.

- Wygląda, że to już wszystko, co mogę wam sprzedać lub od was kupić - powiedział, kiedy udało mu się zwrócić na siebie uwagę Reejaarena. - Myślę, że uiszciliśmy wszystkie niezbędne opłaty. Czy macie coś przeciw temu, żebyśmy odplynęli?

- Nie. Możecie odplywać. Podczas podróży niewątpliwie zobaczycie naszych ludzi - ja sam czasem podróżuję na południe. Uważajcie na sztormy. - Lingwista, będący teraz wcieleniem uprzejmości, zwrócił się ku

wzgórzu. - Może zobaczymy się jeszcze na wybrzeżu - dodał oglądając się za siebie. - Zasugerowano, że fiord, gdzie wylądowaliście, może zostać podniesiony do statusu portu i chcę go skontrolować.

Podjął dalszą drogę w kierunku oczekujących go szybowców.

Barlennan odwrócił się do statku i już miał wydać rozkazy, by natychmiast kontynuować drogę w dół strumienia - towary zostały załadowane zaraz po ich zakupieniu - kiedy zdał sobie sprawę, że pale opuszczone przez szybowce nadal zagrażały im drogę. Przez chwilę chciał zawołać wyspiarza i żądać ich usunięcia, ale po namyśle zrezygnował. Reejaaren z pewnością zrobiłby się podejrzliwy. Załoga *Bree* powinna sama się wykaraskać z tarapatów.

Na pokładzie wydał więc odpowiedni rozkaz i marynarze podnieśli narzędzia tnące, ale przerwał im Dondragmer.

- Cieszę się, że moja praca nie poszła na marne - oświadczył.

- Co? - zapytał kapitan. - Wiem, że przez ostatnie czterdzieści czy pięćdziesiąt dni zajmowałeś się jakimś własnym pomysłem, ale byłem zbyt zajęty żeby się dowiedzieć, co to było. Udało nam się przeprowadzić transakcje handlowe. A co ty robisz?

- Ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy zostaliśmy uwięzieni po raz pierwszy. Powiedziałaś coś Lataczom o maszynie, która mogłaby wyciągnąć pale i to poddało mi myśl. Zapytałem ich później czy istnieje maszyna, która nie jest *zbyt* skomplikowana, byśmy ją zrozumieli i po chwili jeden z nich powiedział mi, że owszem. Powiedział mi jak ją skonstruować i nad tym właśnie pracowałem. Jeśli zmontujemy trójnog przy jednym z pali, zobaczą czy działa.

- Co to za maszyna? Myślałem, że wszystkie maszyny

Lataczy są z metalu, którego nie jesteśmy w stanie modelować, ponieważ do tego procesu potrzeba zbyt dużo ciepła.

Mat pokazał dwa przedmioty, nad którymi się trudził. Jednym z nich był bardzo prosty, dość szeroki blok z przymocowanym hakiem. Drugi przedmiot był podobny, ale podwójny i z kołkowatymi zębami wystającymi z obwodu dwóch kółek. Koła zostały wycięte z solidnego bloku twardego drewna i złożone razem. Jak pierwszy blok, tak i ten posiadał hak; dodatkowo przez osłony obu kół przewleczono skórzany pas z przebitymi w nim otworami, które odpowiadały zębom kół, oraz końcówkami spiętymi razem tak, że tworzyły nieprzerwaną podwójną pętlę. Całe to ustawienie wydało się Mesklinitom, włączając Dondragmera, bezsensowne. Nie wiedział jeszcze, dlaczego urządzenie ma działać. Postawił je naprzeciw oka wizjera.

- Czy jest dobrze zmontowane? - zapytał.

- Tak, jeżeli pas jest wystarczająco mocny, powinno działać - brzmiała odpowiedź. - Musisz przymocować hak pojedynczego bloku do pala, który chcesz wyciągnąć; jestem pewien, że zrobicie to za pomocą liny. Drugi blok musi być umocowany u góry trójnogu. A dalej postępuj według wcześniejszej instrukcji.

Załoga skierowała się do pierwszej grupy pali, ale Barlennan powstrzymał ich pełną zapału gotowość.

- W kanale, który kopaliśmy, nie ma aż tylu pali. Don, czy Latacz powiedział, jak długo będziemy wyciągać pale za pomocą tego urządzenia?

- Nie był pewien, ponieważ nie wiedział jak głęboko się wryły w dno, ani jak szybko opanujemy operowanie tą maszyną. Sądzi, że każdy zabierze nam koło dnia - mniej niż gdybyśmy musieli je przecinać.

- Ale nie na tyle szybko, byśmy nie mogli zyskać na czasie wysyłając część ludzi do kopania kanału, a tyłu, ilu ci

będzie trzeba, do wyciągnięcia pali. Tak nawiasem mówiąc, czy nazwał jakoś tę rzecz?

- Mówił na nią wielokrążek różnicowy. Pierwsze słowo jest wystarczająco jasne, ale nie wiem jak można przetłumaczyć drugie - to dla mnie tylko pusty dźwięk.

- Dla mnie też. A więc różnicowy. Zabierajmy się do roboty; ty pilnujesz wielokrążka, a ja kanału.

Załoga chętnie przyłożyła się do pracy. Najpierw skończyli kanał, ponieważ szybko stało się jasne, że większość załogi będzie mogła kopać; wystarczyło dwóch marynarzy zmieniających się przy podnośniku co kilka minut, by drzewca włócznie zaczęły powoli wysuwać się z twardego gruntu. Ku zadowoleniu Barlennana groty też wyciągnięto, więc po zakończeniu operacji miał osiem bardzo efektywnie wyglądających włócznie. W ocenie Barlennana kwarcowe zakończenia były bardzo cenne.

Po pokonaniu bariery odległość do jeziora była stosunkowo niewielka; zatrzymali się tam, by przywrócić *Bree* jego naturalną formę. Osiągnęli to szybko - stawali się ekspertami w tej dziedzinie - i statek znowu unosił się na stosunkowo głębokiej wodzie. Ziemianie na orbicie wydali okrzyk ulgi. Okazał się on jednak przedwczesny.

Podczas spływu szybowce nadal krążyły nad nimi. Jeśli ich załogi zostały zaskoczone sposobem przebycia przeszkody, nie okazały tego w żaden sposób. Barlennan miał oczywiście nadzieję, że dodali tę informację do listy osiągnięć jego narodu. Nie był zaskoczony, kiedy ujrzał tuzin szybowców na plaży blisko ujścia fiordu i wydał sternikowi rozkaz zwrócenia statku do brzegu. Może wyspiarze zauważą, że odzyskał włócznie w nienaruszonym stanie.

Gdy *Bree* zakotwiczył kilka jardów od brzegu, Reejaaren powitał ich jako pierwszy.

- Więc wasz statek znowu może pływać po morzu, hm?

Gdybym był wami, postarałbym się napotykać kolejne sztormy z dala od lądu.

- Racja - przyznał Barlennan. - Na morzu głównym problemem pozostaje jednak nawigacja. Może powiedział byś nam, jakie jest rozmieszczenie lądów na tym morzu? Może masz mapy, w które mógłbyś nas zaopatrzyć?

Powinienem być o to spytać wcześniej.

- To jasne, że nasze mapy wysp są tajne - odpowiedział tłumacz. - Znajdziecie się poza nimi za czterdzieści do pięćdziesięciu dni, a dalej nie napotkacie lądu przez kilka tysięcy dni żeglowania na południe. Nie wiem jaka jest szybkość waszego statku, więc nie potrafię określić, kiedy pokonacie tę odległość. Tamtejsze lądy zaczynają się w większości od wysp; następnie jest brzeg lądu, który przebyliście - zakręca na wschód i jakieś... - Gestem pokazał odczyt z wagi sprężynowej odpowiadający szerokości geograficznej o czterdziestu pięciu „g”. - Mógłbym opowiedzieć wam o wielu krajach leżących na wybrzeżu, ale zajęłoby to dużo czasu. Mogę jedynie podsumować, że tamtejsi mieszkańcy zapewne będą woleli handlować niż walczyć - choć niektórzy zrobią co tylko będzie w ich mocy, by nie zapłacić za to co dostaną.

- Czy ktoś z nich może przypuszczać, że jesteśmy szpiegami? - zapytał uprzejmie Barlennan.

- Naturalnie, istnieje takie ryzyko, choć niewiele tamtejszych krajów ma tajemnice warte wykradania. W rzeczy samej, prawdopodobnie będą chcieli ukraść wasze, jeśli będą podejrzewać, że takowe macie. Nie radziłbym wam dyskutować tam na temat latania.

- Nie planowaliśmy tego - zapewnił go Barlennan z radością, którą udało mu się ukryć. - Dziękujemy za radę i informacje.

Wydał rozkaz by podnieść kotwicę, a wtedy Reejaaren zauważył canoe, znowu holowane na końcu linki

holowniczej i wypełnione jedzeniem.

- Powiniennem zauważyć je wcześniej - powiedział tłumacz. - Wtedy nie wątpiłbym w waszą historię o tym, że przybywacie z południa. Jak zdobyliście je od tamtejszych ludzi?

Odpowiadając Barlennan popełnił pierwszy poważny błąd w stosunku do wyspiarza.

- Ach, przywieźliśmy je z nami; często wykorzystujemy je do przewożenia dodatkowych zapasów. Zauważyłeś pewno, że dzięki swojemu kształtowi jest łatwe do holowania.

Podstawowe pojęcia z dziedziny opływowych kształtów podchwycił od Lacklanda wkrótce po zdobyciu canoe.

- Ach, więc tę sztukę także opanowaliście w waszym kraju? - zapytał z ciekawością tłumacz. - To ciekawe; nigdy ich nie widziałem na południu. Mogę je obejrzeć? Sami nigdy ich nie używamy.

Barlennan zawahał się podejrzewając, że ostatnie zdanie jest dokładnie takim wybiegiem, jaki sam stosował, jednak nie widział żadnego powodu do odmowy, ponieważ po dokładnym obejrzeniu canoe Reejaaren nie mógł dowiedzieć się więcej niż wiedział teraz. Mimo wszystko to kształt canoe był ważny i wszyscy o tym wiedzieli. Pozwolił *Bree* podpłynąć bliżej brzegu, przyciągnął je liną holowniczą i pchnął w kierunku czekającego wyspiarza. Reejaaren zanurzył się w zatoce i podpłynął do maleńkiej łodzi, kiedy ta dotknęła dna. Przednia część jego ciała wygięła się w górę by zajrzeć do canoe; silnymi, zakończonymi szczypcami ramionami uchwycił boki. Były one wykonane ze zwykłego drewna i z elastycznością poddały się naciskowi; gdy tak się stało, wyspiarz wydał z siebie alarmujące wycie, które ściągnęło cztery szybowce unoszące się w powietrzu w kierunku *Bree*, a siły lądowe na nabrzeżu postawiło na równe nogi.

- Szpiedzy! - zapiszczał. - Barlennanie, jeśli takie jest twoje prawdziwe imię, natychmiast sprowadź statek na brzeg. Jesteś biegłym kłamcą, ale tym razem kłamstwa zaprowadzą cię do więzienia!

PROBLEM WYDRAŻONYCH ŁODZI

Wiele razy w dzieciństwie mówiono Barlennanowi, że któregoś dnia jego gadanie przysporzy mu więcej problemów niż korzyści. W różnych momentach jego kariery przewidywania te były alarmująco bliskie spełnienia i za każdym razem postanawiał, że następnym razem będzie ostrożniej używał języka. Teraz czuł to samo, dodatkowo urażony, ponieważ nie wiedział jeszcze, co takiego zdradziło wyspiarzowi jego obłudę. Nie miał jednak czasu na teoretyczne dociekania na ten temat; trzeba było podjąć jakieś działanie, i to jak najszybciej. Reejaaren gwizdem wydał rozkazy załogom szybowców, by przybiły *Bree* do dna, jeśli statek wykona ruch w stronę otwartego morza, a katapulty na wybrzeżu wystrzeliwały kolejne maszyny dla wzmocnienia znajdujących się teraz w powietrzu.

Wiatr od morza wiał wystarczająco silny, by szybowce zdążyły się unieść w górę. Barlennan dowiedział się od Ziemian, że pod naciskiem prądów wstępujących od strony oceanu prawdopodobnie nie byli w stanie wznieść się wystarczająco wysoko, by celnie opuścić pociski; ale statek był daleko od otwartego morza, gdzie byliby zależni od takich prądów. Raz już miał możliwość zaobserwowania ich dokładności i od razu odrzucił myśl o robieniu uników, by ocalić statek.

I tym razem, jak wielokrotnie wcześniej, gdy Barlennan rozmyślał nad najlepszym pociągnięciem, działanie podjął

jeden z członków załogi. Dondragmer schwycił kuszę Reejaarena, napiął strzałę i zarepetował broń z szybkością, która wskazywała, że nie był cały czas zajęty projektem podnośnika. Wymachując bronią w stronę brzegu oparł ją na podpórcie i wycelował w lingwistę.

- Stój, Reejaaren; idziesz w złym kierunku.

Wyspiarz, który wychodził właśnie z zatoki, zatrzymał się. Płyn służywał z jego długiego ciała. Odwrócił przednią połowę ciała w stronę statku, by zobaczyć, o co chodzi. Choć sytuacja nie pozostawiała wątpliwości, przez chwilę wyglądało na to, że nie jest zdecydowany, jak ma się zachować.

- Jeśli zakładasz, że nie trafię, bo nigdy nie miałem tego przyrządu w ręce, idź dalej. Sam chcę się o tym przekonać. Jeśli nie zaczniesz zaraz iść w naszą stronę, będzie tak, jakbyś zaczął uciekać. Ruszaj!

Ostatnie słowo wymówił takim głosem, który przełamał niezdecydowanie tłumacza. Ten najwyraźniej nie był wcale pewien niekompetencji mata; dokończył obrotu ciała, ponownie wszedł do zatoki i popłynął w kierunku *Bree*.

Wspiął się na pokład cały trzęsąc się ze strachu i wściekłości jednocześnie.

- Myślicie, że to was ocali? - zapytał. - Tylko pogorszyliście swoją sytuację. Jeśli tylko spróbujecie się ruszyć, szybowce zrzucają na was pociski, niezależnie od tego, czy będą na pokładzie, czy nie.

- Wydasz im rozkaz by tego nie robili.

- Nie będą posłuszni żadnym moim rozkazom, kiedy jest oczywiste, że znajduję się w waszych rękach. Powinniście to wiedzieć, jeśli macie jakiegokolwiek doświadczenie bitewne.

- Nie miałem za wiele do czynienia z żołnierzami - odpowiedział Barlennan. Przejął inicjatywę, co zwykle robił, kiedy sprawy zaczynały się toczyć w określonym

kierunku. - Musimy cię tu zatrzymać, aż dojdziemy do jakiegoś porozumienia w sprawie tych bzdur z naszym wyjściem na brzeg - chyba że w międzyczasie będziemy mogli zaopiekować się waszymi szybowcami. Szkoda, że nie przywieźliśmy ze sobą trochę nowocześniejszego sprzętu na te zacofane tereny.

- Przestań wygadywać brednie - odpowiedział jeniec. - Nie dysponujecie niczym więcej niż reszta dzikusów na południu. Przyznaję, że udało się wam nas nabrać, ale przed chwilę zdradziliście się.

- A co takiego powiedziałem, że wziąłeś nas za szpiegów?

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym ci to wyjawić. Fakt, że jeszcze tego nie pojąłeś, tylko mnie utwierdza w słuszności moich przypuszczeń. Lepiej gdybyście nas nie oszukali; bylibyśmy wtedy bardziej ostrożni w udzielaniu poufnych informacji, a wy nie dowiedzieli byście się tyle, byśmy musieli się was pozbyć.

- A ty, gdybyś nie wypowiedział ostatniej uwagi, może przekonałbyś nas do poddania się - wtrącił się Dondragmer. - Teraz jest to mało prawdopodobne. Kapitanie, powstaje pytanie, jak pozbyć się tych uprzykrzonych szybowców. Nie widzę żadnych sił naziemnych, których musielibyśmy się obawiać, a ludzie na brzegu mają jedynie kusze z szybowców, które pozostały na ziemi. Wydaje mi się, że na razie zostawiają sprawę lotnikom.

Tu przeszedł na angielski.

- Pamiętasz, czego dowiedzieliśmy się od Lataczy, co mogłoby nam pomóc pozbyć się tych maszyn?

Barlennan wspomniał, że prawdopodobnie mogą osiągać ograniczony pułap wysokości nad otwartym morzem, ale jaką korzyść mogliby mieć z tego w tej chwili?

- Możemy użyć przeciw nim kuszy - zasugerował Barlennan we własnym języku, na co Reejaaren otwarcie

prychnął. Krendoranic, oficer sprawujący na *Bree* pieczę nad uzbrojeniem uważnie słuchał wymiany zdań, nie był nastawiony tak pogardliwie.

- Zróbmy to - przerwał ostro. - Jest coś, co chciałem wypróbować od kiedy napotkaliśmy wioskę na rzece.

- Co takiego?

- Nie będę mówił o tym, kiedy nasz przyjaciel słucha. Możemy ci za to pokazać, jeżeli chcesz.

Barlennan chwilę się wahał, w końcu wyraził zgodę.

Był nieco zmartwiony, kiedy Krendoranic odblokował jedno z zamknięć broni ogniowej, ale oficer wiedział, co robi. Wziął małe zawiniątko, zapakowane w światłoszczelny materiał, dając w ten sposób dowód nad czym ślęczał po nocach, od czasu jak opuścili wioskę rzecznych ludzi.

Zawiniątko przymocował mocno do bełtu z kuszy, owinął je warstwą światłoszczelnego materiału i następnie umieścił pocisk w broni. Podczas krótkiej podróży w dół strumienia oraz składania *Bree* zapoznał się z nią, traktując to jako obowiązek, i nie wątpił w swoje zdolności trafienia z rozsądnej odległości w stabilny cel. Miał nieco obaw, czy uda mu się trafić w ruchomy cel, jakim był szybowiec, ale wbrew pozorom, ich kierunek lotu był łatwy do przewidzenia, a każdy gwałtowny unik był zwykle zapowiedziany ostrym przechyłem skrzydeł.

Na jego rozkaz jeden z marynarzy, z obsady miotaczy ognia, zbliżył się z urządzeniem iskrzącym i czekał w gotowości. Ku wielkiej irytacji obserwujących całą scenę Ziemian, podszedł do najbliższego radia i na nim ustawił podstawę kuszy, aby uzyskać stabilną pozycję do strzału w górę. W rezultacie Ziemianie stracili możliwość obserwowania tego, co się dzieje.

W tym czasie szybowce nadal krążyły dość nisko, jakies pięćdziesiąt stóp nad zatoką, i przelatowały bezpośrednio

nad *Bree* w takiej odległości, że można było je trafić natychmiast po wydaniu rozkazu; nie trzeba było do tego dobrego strzelca, jak oficer uzbrojenia. Na widok jednej z maszyn, wydał on komendę asystentowi i zaczął uważnie naprowadzać broń na cel. Gdy był pewny, że trafi, dał znak i asystent przyłożył zapłonnik do zawiniątka na strzale. Gdy materiał zapłonął, szczypcy *Krendoranica* zacisnęły się na spuście i linia dymu zaznaczyła ślad pocisku.

Krendoranic i jego asystent odchylił się gwałtownie, aby uniknąć dymu; marynarze na zawietrznej wystrzału odskoczyli. W tym samym czasie akcja w powietrzu była niemal zakończona.

O mały włos strzała chybiłaby całkowicie; strzelec nie docenił szybkości celu. Trafiła w tył głównego kadłuba maszyny, a zawiniątka ze sproszkowanym chlorem gwałtownie zapłonęło. Chmura ognia rozprzestrzeniła się ku tyłowi szybowca, ciągnąc za sobą ogon dymu, którego lecące za nim maszyny nie próbowały uniknąć. Załoga trafionej maszyny uniknęła oparów, ale w ciągu kilku sekund tylne usterzenie maszyny spłonęło. Nos szybowca opadł i z trzepotem wyrznął w płazę; pilot i załoga zdążyli wyskoczyć tuż przed zderzeniem z ziemią. Załogi dwóch szybowców, które nieopatrznie wleciały w smugę dymu, także straciły nad nimi kontrolę, obozwładnione przez chlorowodór; obie maszyny osiadły w zatoce. Ogólnie mówiąc, był to jeden ze wspanialszych strzałów przeciwlotniczych w historii.

Barlennan nie czekał, aż ostatni szybowiec się rozbije, wydając rozkaz postawienia żagli. Wiatr raczej mu nie sprzyjał, ale głębokość była wystarczająca i zaczął halsować z fiordu. Przez chwilę wyglądało na to, że personel nabrzeżny skieruje swoje kusze na statek, ale *Krendoranic* załadował kolejny przerażający pocisk i wycelował w stronę płazy. Sama groźba spowodowała, że wszyscy

czmychnęli w poszukiwaniu kryjówek - dobrze to świadczyło o ich rozsądku.

Reejaaren obserwował starcie w milczeniu, lecz reakcje jego ciała mówiły za niego. Szybowce nadal znajdowały się w powietrzu, niektóre wznosiły się w górę, jakby chciały spróbować bombardowania z większej wysokości. Wiedział doskonale, że *Bree* będzie bezpieczny wobec takich prób, mimo że jego ludzie doskonale celowali. Jeden z szybowców faktycznie spróbował zbombardować statek z wysokości trzystu stóp, ale kolejna smuga dymu, która śmignęła tuż obok, spowodowała, że nie trafił. Po tym epizodzie nie podjęto kolejnych prób. Kiedy *Bree* posuwał się wzdłuż fiordu ku morzu, maszyny zataczały szerokie kręgi daleko poza polem rażenia.

- Barl, co się tam się dzieje, u diabła? - Lackland nie był w stanie dłużej milczeć. Zdecydował, że może się odezwać, ponieważ brzeg znikł już w oddali. - Nie wtrącałem się z obawy, że zepsuję wasze plany, ale proszę, powiedz nam, co się dzieje?

Barlennan krótko streścił wydarzenia z ostatnich kilkuset dni, uzupełniając je o treść rozmów, których podsłuchujący ich Ziemiańskie nie rozumieli. Sprawozdanie ciągnęło się przez nocne minuty i o wschodzie słońca statek był już prawie u ujścia fiordu. Lingwista słuchał rozmowy pomiędzy kapitanem a radiem w szoku i niepokoju; doszedł do wniosku, że Barlennan składa raport swoim przełożonym z akcji szpiegowskiej, choć nie był sobie w stanie wyobrazić, jakim sposobem. Z nastaniem dnia tonem, jakiego dotąd jeszcze nie użył, poprosił o wysadzenie go na ląd; Barlennan litując się nad istotą, która prawdopodobnie nigdy w swoim życiu nie prosiła o przysługę, pozwolił mu wydostać się za burtę pięćdziesiąt jardów od plaży. Lackland widział, jak wyspiarz z ulgą zanurkował w morzu; znał Barlennana dość dobrze, ale nie

był pewien jego działań w zaistniałych okolicznościach.

- Barl - powiedział po kilku chwilach ciszy - czy mógłbyś unikać kłopotów przez kilka tygodni, aż my tu na górze uspokoimy nerwy? Za każdym razem, kiedy *Bree* jest zatrzymywany, starzejemy się o dziesięć lat.

- A kto wpędził mnie w te kłopoty?- odpowiedział Mesklinita. - Gdyby nie doradzono mi schronienia się przed sztormem, który, jak się okazało, zniósłbym lepiej na otwartym morzu, z pewnością nigdy nie spotkałbym wyspiarzy. To dobrze, że zobaczyliśmy szybowce; dużo się nauczyłem i wiem, że przynajmniej część twoich przyjaciół za nic w świecie nie chciałyby stracić takiego przedstawienia. Z mojego punktu widzenia do tej pory podróż była raczej nudna; te kilka spotkań, jakie mieliśmy po drodze, zakończyło się bardzo grzecznie i z zaskakująco dużym zyskiem.

- Powiedz co wolisz: przygody czy pieniądze?

- Mhm, nie jestem pewien. Co jakiś czas pakuję się w coś, bo wygląda to interesująco; ale jestem bardziej zadowolony, jeżeli w końcu coś z tego mam.

- Dlatego, proszę, skoncentruj się na tym, co zarobisz na tej podróży. Jeśli chcecie, zbierzemy ładunek wielkości stu tysięcy statków tych przypraw, których się właśnie pozbyliście, i przechowamy je dla was w miejscu, gdzie zimował *Bree*. Nam się to opłaci, jeśli uzyskacie informacje, których potrzebujemy.

- Dzięki. Myślę, że osiągniemy wystarczający zysk. Zabralibyście nam całą radość życia.

- Bałem się, że tak to odczujesz. Dobra, nie mogę tobą komenderować, ale pamiętaj, ile to dla nas znaczy.

Barlennan zgodził się, mniej lub bardziej szczerze, i skierował statek na południe. Przez wiele dni wyspa, którą zostawili za sobą, była nadal widoczna, często musieli też zmieniać kurs, by ominąć inne wyspy archipelagu. Kilka

razy widzieli szybowce pomiędzy wyspami, ale omijały statek szerokim łukiem. Było jasne, że wiadomości rozchodzą się tu szybko. W końcu ostatni kawałek lądu znikł za horyzontem i Ziemianie powiedzieli, że archipelag jest za nimi. Przy obecnej dobrej pogodzie mogli ponownie uzyskać dobre namiary ich pozycji.

Na szerokości geograficznej czterdziestu grawitacji skierowali statek bardziej na południowy wschód w celu ominięcia masy lądu, który, jak powiedział Reejaaren, ciągnął się daleko na wschód.

Po drodze wydarzył się im wypadek. Przy około sześćdziesięciu „g” canoe, uwiązane nadal na końcu sznura holującego, zaczęło się zauważalnie zanurzać. Kiedy Dondragmer w milczeniu obnosił się z miną „a nie mówiłem”, łódkę przyciągnięto do rufy statku i zbadano. Na dnie było sporo metanu, ale gdy ją rozładowano i wciągnięto na pokład, nie znaleziono przecieku. Barlennan stwierdził, że płyn był znacznie przejrzystszy od oceanu. Spuścił canoe do morza i z powrotem ułożył ładunek, ale wyznaczył marynarza, który miał je sprawdzić co kilka dni i wybierać metan, gdyby to było konieczne.

Sytuacja osiągnęła punkt kulminacyjny przy około dwustu „g”, kiedy mieli za sobą więcej niż trzecią część podróży. Wraz z nastaniem wiosny i oddalaniem się Mesklina od słońca dzień trwał dłużej, a załoga była coraz bardziej rozluźniona. Dlatego marynarz odpowiedzialny za wylewanie płynu nie był zbyt przewidujący, kiedy podciągnął canoe do tratwy rufowej i wdrapał się na jego burzę. Oczywiście canoe nieco osiadło, kiedy do niego wszedł, a sprężyste drewno na bokach trochę się ugięło. Kiedy burty prawie złożyły się, canoe osiadło jeszcze bardziej.

Jak każda reakcja łańcuchowa, i ta zakończyła się bardzo szybko. Marynarz prawie nie poczuł jak łódka zanurza się. Wystarczająco duża część ładunku była gęstsza od metanu i

nagle okazało się że marynarz musi sam ratować życie, zamiast płynąć na łódce. Canoe osiadło na końcu linki holowniczej; *Bree* zwolnił z szarpnięciem, które postawiło załogę w stan gotowości.

Marynarz wdrapał się na *Bree* wyjaśniając, co zaszło. Szybko wciągnięto linę z zatopionym na jej końcu canoe. Łódź i część umocowanego ładunku doholowano na pokład; pokazano ją poprzez wizjer Ziemianom. Nie uzyskano zbyt wielu informacji; sprężystość drewna spowodowała, że całkowicie odzyskało dawne kształty - nawet jego spłaszczenie znikło - nadal bez przecieków. Ten ostatni fakt stwierdzono po rozładowaniu canoe. Lackland przyglądając się temu kiwał głową, nie znajdując żadnego wyjaśnienia.

- Powiedz mi, co się stało? - zapytał. - Coście zaobserwowali?

Mesklinicy zastosowali się do jego żądania. Barlennan przetłumaczył opowieści marynarzy zaangażowanych w akcję i innych, którzy widzieli szczegóły wydarzenia.

- Wielkie nieba! - wymamrotał półgłosem Lackland. - Jakie są korzyści z wiedzy zdobytej w szkole średniej, jeżeli nie można przypomnieć jej sobie, kiedy jest potrzebna? Ciśnienie cieczy odpowiada jej wadze ponad danym punktem - a przy grawitacji równej kilkaset „g” słup metanu wywiera spory nacisk. To drewno jest niewiele grubsze od papieru; dziwne, że tyle wytrzymało.

Barlennan przerwał niezrozumiały monolog, prosząc Lacklanda o jasną informację.

Najważniejsze było, że część przedmiotu zanurzonego w cieczy musiała znaleźć się pod powierzchnią i wcześniej czy później musiała zostać zgnieciona, jeśli była wydrążona. Kiedy w rozmowie z Lacklandem doszli do tego wniosku, Barlennan unikał wzroku Dondragmera. Nie poczuł ulgi, gdy mat zauważył, że niewątpliwie w tym miejscu Barlennan zdradził się w rozmowie z Reejaarenem. Jego

naród używał wydrażonych łodzi, dobre sobie! Z pewnością dawno temu wypiarze doświadczyli daremności korzystania z nich na dalekim południu.

Ładunek złożono na pokładzie statku i podróż trwała dalej. Barlennan nie mógł rozstać się z niepotrzebną teraz małą łódką, mimo że zajmowała dużo miejsca. Próbował pakować do niej zapasy żywności, których nie można było ułożyć w tak wysokie sterty na pokładach tratw, a wysokie burty canoe je podtrzymywały. Dondragmer zauważył, że zajmując długość dwóch tratw, zmniejszało elastyczność statku, ale kapitan nie dał się zmartwić tym faktem.

Czas mijał jak dawniej - najpierw setki, później tysiące dni. Dla Mesklinitów, z natury długowiecznych, mijanie czasu nie miało wielkiego znaczenia; dla Ziemiaków podróż stopniowo stała się nudną częścią codziennej rutyny. Obserwowali i rozmawiali z kapitanem, kiedy linia pokonanej przez *Bree* trasy wydłużała się; mierzyli ją i liczyli, by określić jego pozycję oraz najlepszy kurs, kiedy kapitan ich o to prosił; uczyli Mesklinitów angielskiego albo próbowali uczyć się języka marynarzy, którzy też zaczęli się nudzić. Krótko mówiąc, czekali, pracowali, jeśli było to możliwe, i zabijali czas, podczas gdy mijały cztery ziemskie miesiące - ponad dziewięć tysięcy czterysta dni na Mesklinie. Grawitacja zwiększyła się ze stu dziewięćdziesięciu „g” na szerokości geograficznej, gdzie zatoneło canoe, do sześciuset „G” i więcej, jak wskazywała drewniana waga sprężynowa, wskazująca na *Bree* szerokość geograficzną. Dni stawały się dłuższe, a noce krótsze, aż w końcu słońce zataczało pełne kręgi na horyzoncie bez stykania się z nim, chociaż nachylało się ku niemu na południu. Ludziom, którzy przyzwyczaili się do widoku słońca podczas krótkiego okresu mijania perihelionu Mesklina, wydało się teraz skurczone. Horyzont widziany z pokładu *Bree* poprzez radiowizjery znajdował

się dookoła *ponad* statkiem, jak Barlennan wyjaśniał Lacklandowi cierpliwie kilka miesięcy temu. Słuchał z pobłażaniem, kiedy Ziemianie zapewniali go, że była to iluzja optyczna. Łąd, który w końcu pojawił się przed nimi, był najwyraźniej także u góry; jak iluzja mogła zmienić się we właściwy obraz? Przecież znajdował się tam faktycznie. Uzyskali dowód, kiedy dotarli do ujścia dużej zatoki, która rozciągała się na południe na obszarze dwóch tysięcy mil, w połowie drogi do rakiety. Żeglowali w górę zatoki, coraz wolniej w miarę jak zawężała się do rozmiarów normalnego ujścia i zamiast szukać przy pomocy Latacza sprzyjających im wiatrów musieli halsować. Potem posuwali się w górę rzeki, żeglując jedynie w rzadko nadarżających się sprzyjających chwilach; działo się tak ponieważ tratwy płynęły pod prąd, silniejszy niż moc żagli, a rzeka wciąż była szeroka. Zamiast tego kolejne wachty holowały statek z ładu na linach; nawet przy takiej grawitacji pojedynczy Mesklinita posiadał znaczną siłę. Podczas kolejnych tygodni Ziemianie przestali się nudzić i na stacji Toorey zaczęło rosnąć napięcie. Cel był prawie w zasięgu wzroku, a nadzieje znacznie wzrosły.

I zostały pogrzebane, tak jak zdarzyło się to miesiące temu, kiedy czołg Lacklanda dotarł do końca swej podróży. Przyczyna była w dużej mierze taka sama; tym razem *Bree* wraz z załogą znalazł się u podnóża klifu, zamiast na jego szczycie. Sam klif miał trzysta, a nie sześćdziesiąt stóp wysokości, a przy siedmiuset „g” wspinanie się, skakanie i inne gwałtowne sposoby podróżowania, którym oddawano się z taką łatwością na odległym Krańcu, były czystą niemożliwością dla silnych Mesklinitów.

Rakieta leżała pięćdziesiąt mil od miejsca ich pobytu w linii prostej. Wertykalnie odległość ta była tym samym, co dla istoty ludzkiej wspinaczka po pionowej ścianie skalnej o długości prawie trzydziestu pięciu mil.

PŁASKOWYŻ

Zmiana przekonań, której uległa załoga *Bree*, nie była tymczasowa - niedorzeczny, uwarunkowany genetycznie lęk wysokości, który rozwijał się od dnia narodzin, znikł. Ale ludzie ci zachowali zdolność normalnego rozumowania; a w tej części świata upadek z wysokości równej połowie długości ciała kończył się śmiercią, nawet w przypadku Mesklinity.

Obserwatorzy z Ziemi próbowali bezskutecznie wymyślić sposób pokonania bariery. Żadna z raket ekspedycji, nie była w stanie unieść się nawet przy setnej części grawitacji panującej na biegunie Mesklina; jedyna rakietą, którą zbudowano do pokonania taką grawitacji, ugrzęzła na dobre na planecie. Nawet gdyby sprzęt uporał się z siłą ciężenia, żaden człowiek, nawet wykwalifikowany pilot, nie przeżyłby takich przeciążeń. Jedyne istoty żyjące w tych warunkach, mogły nauczyć się pilotować raketę równie łatwo jak Buszmen z dżungli.

- Po prostu koniec podróży nie jest tak blisko, jak myśleliśmy - szybko zanalizował sytuację Rosten wezwany do sterowni. - Powinien istnieć jakiś sposób, by dostać się na płaskowyż lub kolejne zbocze. Przyznaję, że wygląda na to, że nie ma sposobu, który pozwoliłby Barlennanowi i jego ludziom wdrapać się na górę, ale chyba nic nie powstrzymuje ich przed obejściem tej przeszkody.

Lackland przekazał sugestię Rostena kapitanowi.

- To prawda - odpowiedział Mesklinita. - Ale wiąże się z tym sporo trudności. Już teraz mamy kłopoty ze zdobywaniem żywności z rzeki; jesteśmy bardzo daleko od morza. Nie wiemy też, jak długo będziemy musieli podróżować, więc planowanie zaopatrzenia w żywność i

uwzględnianie innych czynników jest prawie niemożliwe. Czy możecie przygotować szczegółowe mapy, byśmy mogli optymalnie zaplanować naszą trasę?

- Dobra uwaga. Zobaczę co da się zrobić.

Odwracając się od mikrofonu Lackland napotkał zatroskany wzrok kolegów, spoglądających nań spod zmarszczonych brwi.

- Co się dzieje? Nie da się zrobić fotograficznej mapy, jak w rejonach równika?

- Oczywiście, można - odpowiedział Rosten. - Da się sporządzić mapę, prawdopodobnie z wieloma szczegółami, ale nie będzie to łatwe. W okolicach równika statek może utrzymywać się na orbicie stacjonarnej jakieś sześćset mil nad powierzchnią planety - tuż przy wewnętrznej krawędzi pierścienia. Tu orbita kołowa nie wystarczy. Aby zrobić zdjęcia małych obszarów musielibyśmy wykorzystać jakąś orbitę hiperboliczną; to oznaczałoby szybkości względem powierzchni rzędu kilkuset mil na sekundę. Sam wiesz, jak to wpłynie na zdjęcia. Myślę, że trzeba je będzie robić obiektywem o dużej ogniskowej, o wyjątkowym zoomie. I możemy jedynie mieć nadzieję, że uzyskamy szczegóły, wystarczające dla potrzeb Barlennana.

Lackland streścił rozmowę Barlennanowi, który zadeklarował, że pozostanie na miejscu aż do uzyskania potrzebnych informacji.

- Mógłbym podążać w górę strumienia obchodząc klif na prawo albo udać się lewo, zostawiając statek i rzekę. Ponieważ nie wiem jaki wariant wybrać, poczekamy. Oczywiście, wolałbym płynąć w górę strumienia, bo przeniesienie radia i żywności nie będzie dla nas łatwe.

- W porządku. Jak tam z żywnością? Mówiłeś, że trudno ją zdobyć, kiedy jesteście tak daleko od oceanu.

- Jest jej mniej, ale to nie całkowite pustkowienie. Damy sobie radę, przynajmniej przez jakiś czas. Ale jeśli

wyruszymy drogą lądową, będzie nam brakować ciebie i twojego działa. Przez dziewięćdziesiąt procent wyprawy kusza była dla nas przedmiotem bezużytecznym.

- To dlaczego ją trzymasz?

- Właśnie z tego powodu - jako ciekawostkę. W naszej ojczyźnie nikt nie tylko nie widział, ale i nie marzył o broni, która działa na zasadzie wyrzucanych pocisków. Nie mógłbyś nam oddać jednego z waszych dział? Nie musi być sprawne.

Lackland roześmiał się. - Niestety, nie. Mamy tylko jedno. Nie sądzimy, że będzie nam potrzebne, ale nie wiem jak moglibyśmy uzasadnić dowództwu przekazanie go wam.

Barlennan wykonał gest znaczący tyle co kiwnięcie głową ze zrozumieniem i wrócił do swoich obowiązków. Musiał wprowadzić wiele aktualizacji w misie, która była jego odpowiednikiem globusa. Przez całą podróż Ziemianie podawali mu pozycje oraz odległości do lądu we wszystkich kierunkach, toteż większość linii brzegowej dwóch mórz, które przepłynął, mógł nanieść na mapę wklęsłą.

Trzeba też było zająć się kwestią żywności. Jak powiedział Lacklandowi, nie był to naglący problem, ale musieli odtąd więcej czasu poświęcać pracy z sieciami. W samej rzece, szerokiej teraz na jakieś dwieście jardów, ryb starczało na ich bieżące potrzeby, ale ląd był mniej obiecujący. Kamienisty i nagi, biegł kilka jardów od jednego brzegu strumienia i kończył się gwałtownie u podnóża skały; z drugiego brzegu na kilka mil widać było serię niskich wzgórz, które zapewne ciągnęły się poza horyzont. Ściana skalna była gładka jak szkło, co czasami się zdarza nawet na Ziemi, kiedy skały znajdują się na wysuniętej krawędzi uskoku. Wspinanie się po niej wymagałoby sprzętu i wagi muszej (na Mesklinie mucha ważyłaby za dużo). Były tu rośliny, ale niezbyt dużo i w ciągu pierwszych pięćdziesięciu dni pobytu w tym miejscu nikt z

załogi *Bree* nie zauważył żadnych śladów życia zwierzęcego na lądzie.

Dla Ziemiaków czas ten upłynął bardziej aktywnie. Czterech członków ekspedycji, w tym Lackland, utworzyło załogę statku, który ruszył w stronę planety z księżycą. Z miejsca startu świat ten przypominał formę na ciasto z lekkim wybrzuszeniem pośrodku; pierścień był zwykłą linią światła, ale wyróżniał się na tle usianej gwiazdami czerni, podkreślając spłaszczenie gigantycznej planety.

Kiedy silniki zniwelowały prędkość orbitalną księżycy i statek wydostał się z płaszczyzny równika, obraz uległ zmianie. Pierścień wyglądał jak w rzeczywistości, ale nawet fakt, że dzielił się na dwie części, nie przyczynił się do powstania podobieństwa pomiędzy tym systemem Mesklina a Saturnem. Spłaszczenie Mesklina było zbyt duże, by mógł on przypominać cokolwiek poza sobą - trzeba samemu zobaczyć jak wygląda horyzont na biegunie o średnicy poniżej dwudziestu tysięcy mil w porównaniu z sytuacją na równiku o średnicy czterdziestu ośmiu tysięcy mil. Wszyscy biorący udział w ekspedycji widzieli ten obraz wystarczająco często, ale nadal ich fascynował. Zejście z orbity księżycy nadało statkowi ogromną szybkość, ale jak powiedział Rosten, nie wystarczająco dużą. Trzeba było użyć dodatkowej mocy; chociaż lot nad biegunem odbył się na wysokości kilku tysięcy mil, fotograf musiał pracować bardzo szybko. Wykonano trzy okrążenia, podczas każdego fotografowanie zajmowało dwie, trzy minuty. Upewnili się, że za każdym razem słońce padało pod innym kątem, dzięki czemu mogli sprawdzić wysokość klifu mierząc cienie na wszystkich slajdach.

Jak zwykle w przypadku Mesklina wyniki były interesujące, a nawet trochę zaskakujące. W tym rejonie zaskoczyły ich rozmiary płaskowyżu, który wyglądał na górę wyciętą z jednego bloku. Jego kształt przypominał

Grenlandię, miał trzy tysiące pięćset mil długości i czubek wsunięty niemal do morza, z którego nadpłynął *Bree*. Rzeka, która ku niemu prowadziła tworzyła wielkie zawijasy i stykała się z jego brzegiem prawie na drugim końcu, w środku szerokiego zakończenia klina. Wysokość ściany na końcach była jednolita; pomiar cienia sugerował, że mogła być nieco wyższa w punkcie końcowym niż w obecnym miejscu postoju *Bree*. Nie zauważono żadnych cieni w kształcie piły, które mogły oznaczać przerwy w ścianie.

Poza jednym punktem. Jedno zdjęcie, tylko jedno, pokazywało rozmycie klina, jakieś osiemset mil od miejsca postoju statku. Punkt ten znajdował się w górze strumienia, a rzeka przywierała do samej podstawy klifu. Zakręcała na zewnątrz w miejscu wyłomu, w cieniu, jak gdyby okrążając kolumnę gruzu ze zwałonego zbocza, co wyglądało bardzo obiecująco. Znaczyło to, że Barlennan miałby do pokonania tysiąc sześćset lub siedemset mil, a nie pięć tysięcy, z czego połowę po lądzie; ale nawet część lądowa podróży nie wyglądała na bardzo trudną. Lackland przekazał to głośno i w odpowiedzi otrzymał sugestię, by przeprowadził dokładniejszą analizę powierzchni, po której Mesklinici będą musieli podróżować. Odłożył ją jednak do powrotu statku na Toorey, ponieważ w bazie mieli lepsze przyrządy do tych celów.

Na miejscu okazało się, że pomiary zawodowych kartografów dały mniej zachęcające rezultaty - powierzchnia płaskowyżu była dość nierówna. Nie było śladu rzek lub innych szczególnych przyczyn powstania wyłomu, który wykrył Lackland; ale znaleziono wystarczające dowody na jego istnienie. Centrum regionu było niższe niż obrzeże, a więc płaskowyż okazał się gigantyczną, ale płytką misą. Jej głębokości nie zmierzono dokładnie, ponieważ w wewnętrznej części nie występowały wyraźne

punkty odniesienia, jak choćby cienie. Analitycy byli jednak zgodni, że najgłębsza część misy znajdowała się powyżej terenu poza klifami.

Rosten spojrział na końcowe rezultaty pracy i pociągnął nosem.

- Obawiam się, że to wszystko, co możemy dla niego zrobić - powiedział w końcu. - Osobiście nie stawiałbym na ten kraj, nawet gdybym mógł tam mieszkać. Charlie, może udzielisz im wsparcia moralnego; skoro nie można im pomóc fizycznie.

- Cały czas robię, co w mojej mocy. Okropne, że ta rzecz pojawia się tak blisko celu. Mam nadzieję, że Barlennan nie zrezygnuje tuż przed metą. Dobrze wiecie, że nadal nie wierzy w nic, co mówimy. Chciałbym żeby ktoś wyjaśnił tę iluzję wysokiego horyzontu ku jego i mojemu zadowoleniu; to może zburzyć w nim przekonanie, że jego świat jest misą. Nasze twierdzenie, że pochodzimy z innej misy, jest co najmniej w pięćdziesięciu procentach zabobonem.

- To znaczy, że nie rozumiesz, dlaczego wydaje się, że horyzont leży wyżej? - krzyknął jeden z meteorologów.

- Niedokładnie, mimo że zdaję sobie sprawę, że gęstość powietrza ma z tym coś wspólnego.

- Ale to jest wystarczająco proste...

- Nie dla mnie.

- To jasne dla każdego. Warstwa gorącego powietrza tuż nad powierzchnią podczas słonecznego dnia załamuje światło słoneczne z powrotem w górę pod niewielkim kątem, ponieważ gorące powietrze ma mniejszą gęstość i światło szybciej się w nim przemieszcza; widzisz odbicie nieba, a wydaje ci się, że jest to woda. Większe miraży zdarzają się nawet na Ziemi, ale wszystkie opierają się o tę samą zasadę - „soczewka” lub „pryzmat” zimniejszego lub cieplejszego powietrza załamuje światło. To samo dzieje się tutaj, poza tym, że za tutejsze zjawisko odpowiedzialna jest

gravitacja. Nawet gęstość wodoru zmniejsza się gwałtownie im wyżej od powierzchni Mesklina. Oczywiście, pomaga w tym niska temperatura.

- W porządku, skoro tak mówisz... - Lackland nie dokończył, gdyż Rosten wtrącił się gwałtownie do dyskusji.

- A jak szybko zmniejsza się gęstość wraz z wysokością?

Meteorolog wyjął z kieszeni kalkulator i przez chwilę bez słowa liczył.

- W dużym przybliżeniu, zakładając, że średnia temperatura to minus sto sześćdziesiąt stopni, na wysokości tysiąca pięciuset, tysiąca sześciuset stóp zmniejszy się do około jednego procenta gęstości jej powierzchni.

Po tych słowach oszołomieni naukowcy zamilkli.

- A jak bardzo zmniejszyłaby się przy, powiedzmy, *trzystu stopach*? - Rostenowi udało się w końcu wypowiedzieć to pytanie.

- Znowu, w bardzo dużym przybliżeniu, siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt procent, raczej więcej niż mniej.

Przez minutę lub dwie Rosten bębnił palcami po stole, a jego oczy wędrowały za ruchem palców; następnie spojrzał na twarze innych. Wszyscy milczeli.

- Podejrzewam, że nikt nie jest w stanie znaleźć mądrego wyjścia z tej sytuacji. Czy ktoś naprawdę ma nadzieję, że ludzie Barlennana mogą żyć i pracować przy ciśnieniu powietrza, które ma się tak do ich normalnego ciśnienia jak ciśnienie na wysokości czterdziestu czy pięćdziesięciu tysięcy stóp ma się do naszego?

- Nie jestem pewien - Lackland zmarszczył brwi koncentrując się i Rosten rozchmurzył się trochę. - Dawno temu padła wzmianka w rozmowie, że przebywał on dość długo pod wodą, przepraszam, pod metanem, i płynął na dość dużą odległość. Pamiętajcie, że ci mieszkańcy rzeki

zapewne w ten sposób przesunęli *Bree*. Jeśli jest to odpowiednikiem powstrzymania oddechu lub systemu magazynowania tlenu, jakim dysponują nasze wieloryby, na nic nam się to nie przyda. Ale jeśli może on pobrać znaczną część potrzebnego mu wodoru z tego co jest rozpuszczone w rzekach i morzach Mesklina, istnieje je jakaś nadzieja.

Rosten myślał jeszcze chwilę.

- Dobra. Skontaktuj się przez radio z twoim małym przyjacielem i dowiedz się wszystkiego, co wie o sobie i swoich możliwościach. Rick, sprawdź albo dowiedz się jakoś, jaka jest rozpuszczalność wodoru w metanie pod ciśnieniem ośmiu atmosfer i przy temperaturze od minus stu czterdziestu pięciu do stu osiemdziesięciu pięciu stopni Celsjusza. Dave, weź kalkulator i uzyskaj na tyle precyzyjną wartość gęstości wodoru na szczycie tej skały, na ile pozwoli ci fizyka, chemia, matematyka i bogowie szczęściarzy. Nawiasem mówiąc, czy nie informowałeś nas przypadkiem, że w centrum niektórych huraganów tropikalnych ciśnienie spada nawet o trzy atmosfery? Charlie, dowiedz się od Barlennana, czy on i jego ludzie to odczuli i jak bardzo. Do roboty.

Konferencja zakończyła się, a jej uczestnicy rozeszli się do zadań. Rosten został z Lacklandem w sterowni, przysłuchując się jego rozmowie z Mesklinitą.

Barlennan przyznał, że może pływać pod powierzchnią metanu przez dłuższy czas bez żadnych problemów; nie miał pojęcia, w jaki sposób mu się to udaje.

W żaden sposób nie oddychał i nie miał żadnych odczuć, które można by porównać do duszenia się, jakiego doznawali ludzie w zanurzeniu.

- W samym sercu najgorszych sztormów, jakie przeżyłem, nie czuliśmy żadnych niedogodności, jakie sugerujesz - kontynuował kapitan. - Z pewnością nikt nie poczuł się zbyt słaby podczas sztormu, który wyrzucił nas

na wyspę szybowców... chociaż byliśmy w jego centrum tylko przez dwie albo trzy minuty. Czym się martwicie? Nie rozumiem, do czego zmierzają te wszystkie pytania.

Lackland spojrział na swojego przełożonego w oczekiwaniu jego akceptacji - nieme kiwnięcie głową oznaczało zgodę.

- Odkryliśmy, że powietrze na szczycie klifu, gdzie stoi nasz satelita badawczy, jest dużo rzadsze niż na dole. Mamy poważne wątpliwości, czy jego gęstość pozwoli wam kontynuować podróż.

- Ale to tylko trzysta stóp; dlaczego miałyby zmienić się tak bardzo na tak krótkim odcinku?

- To ta wasza grawitacja; obawiam się, że tłumaczenie zabrałoby za dużo czasu. W każdym świecie powietrze rozrzedza się wraz z wysokością i im większa grawitacja, tym szybciej się to dzieje. W waszym świecie panują dość ekstremalne warunki.

- A gdzie jest powietrze, które nazwalibyście normalnym dla Mesklina?

- Zakładamy, że na poziomie morza; wszystkie nasze pomiary są zazwyczaj robione od tego punktu odniesienia.

Barlennan zamyślił się.

- To głupie; Wydaje mi się, że potrzebny byłby stały poziom, w stosunku do którego można by wykonywać pomiary. Nasze morza podnoszą się i opadają na wysokość setek stóp w ciągu roku i nie zauważyłem nigdy żadnych szczególnych zmian w powietrzu.

- Nie sądzę, że mógłbyś to zauważyć. Podstawowy powód jest taki, że jeśli znajdowałbyś się na pokładzie *Bree* byłbyś na poziomie morza, a zatem na dnie atmosfery. Być może będzie ci łatwiej pomyśleć o tym, jaką wagę ma powietrze nad tobą, a jaką pod tobą.

- Nawet wtedy w rozumowaniu jest słaby punkt - odpowiedział kapitan. - Nasze miasta nie opadają wraz z

morzami; zazwyczaj znajdują się na brzegu morza wiosną i jakieś dwieście do dwóch tysięcy mil w głąb lądu jesienią. Nachylenie lądu jest bardzo łagodne, ale jestem pewien, że w tym czasie znajdują się one trzysta stóp nad poziomem morza.

Lackland i Rosten patrzyli na siebie przez chwilę, po czym odezwał się Rosten.

- Ale w twoim kraju jesteście dużo dalej od bieguna. Nawet gdyby grawitacja wynosiła jedną trzecią grawitacji biegunowej, musielibyście odczuć ogromne zmiany ciśnienia. Być może chcemy przedsięwziąć środki ostrożności dla gwiazdy nowej, a mamy do czynienia z czerwonym karłem. - Przerwał na chwilę, ale Mesklinita nie odpowiedział, najwyraźniej nie zrozumiał ani słowa z przemowy. - Barlennanie, czy zechciałbyś przynajmniej spróbować dostać się na płaskowyż? Z pewnością nie będziemy nalegać byś kontynuował podróż, jeśli okaże się to zbyt trudne dla was. Wiecie już, ile ona dla nas znaczy.

- Oczywiście, że spróbuję; dotarliśmy tak daleko i nie mamy podstaw podejrzewać, że to, co nadejdzie, będzie gorsze od tego, co już przeszliśmy. Chciałbym też... - Przerwał na moment i zaczął w innym duchu. - Znaleźliście już sposób, żeby się dostać na górę, czy też wasze pytanie nadal jest hipotetyczne?

Lackland podjął rozmowę.

- Znaleźliśmy coś, co wygląda jak przejście, ale znajduje się osiemset mil w górę strumienia od miejsca, gdzie zakotwiczyliście. Nie jesteśmy pewni, czy będziecie mogli się tamtędy wspinać; przypomina osypisko skalne o bardzo małym nachyleniu, ale z orbity nie jesteśmy w stanie określić wielkości tych skał. Albo wejdziecie tamtędy, albo wcale. Wygląda na to, że poza tym jednym miejscem klif jest pionowy dookoła całego płaskowyżu.

- Bardzo dobrze, popłyniemy w górę strumienia. Nie

bardzo podoba mi się pomysł wspinania się tu nawet na bardzo małe skały, ale zrobimy co się da. Może nam coś doradzicie, kiedy zobaczycie drogę przez wizjery.

- Obawiam się, że dotarcie tam zabierze wam dużo czasu.

- Nie tak dużo; z jakiegoś powodu wzdłuż klifu dmie wiatr w kierunku przez nas pożądanym. Jego kierunek i siła nie zmieniły się od kiedy przyплыliśmy tu kilkadziesiąt dni temu. Nie jest tak silny jak normalny wiatr morski, ale z pewnością będzie pchał *Bree* pod prąd - jeśli rzeka nie zrobi się bystrzejsza.

- Do miejsca, gdzie płyniecie, rzeka nie zwęży się na pewno. Jeśli nurt będzie szybszy, przyczyną może być mniejsza głębokość. Możemy jedynie powiedzieć, że na żadnym ze zdjęć nie zauważyliśmy progów rzecznych.

- Doskonale, Charles. Wyruszymy, kiedy myśliwi wrócą.

Grupy myśliwych kolejno powracały na statek, wszystkie z żywnością, ale żadna nie miała nic ciekawego do zakomunikowania. Pagórkowaty teren ciągnął się we wszystkie strony, jak daleko dotarli. Tutejsze zwierzęta były małe, strumieni niewiele, a roślinność uboga. Morale załogi wzrosło, gdy marynarze usłyszeli wiadomość, że *Bree* ma wyruszyć w dalszą podróż. Kilka rzeczy, które wyładowano wcześniej, wniesiono szybko na tratwy i statek wepchnięto do strumienia. Zanim nie podniesiono żagli, dryfował w kierunku morza; później żagle wydał dziwnie stabilny wiatr i łódź popłynęła pod prąd, powoli, ale systematycznie wkraczając na nowe obszary największej planety, jaką ludzie usiłowali dotąd zbadać.

DOLINA WIATRU

Barlennan oczekiwał, że brzegi rzeki będą coraz bardziej

jałowe w miarę posuwania się statku w górę strumienia, ale stało się dokładnie na odwrót. Kępki rozrastających się, ośmiornicowatych narośli pokrywały oba brzegi rzeki - oprócz miejsca, gdzie klif z lewej burty statku, położony zbyt blisko rzeki, nie zostawiał wolnego miejsca florze. Po pierwszych stu milach od miejsca postoju do głównego strumienia uchodziło kilka mniejszych; wielu marynarzy przysięgłoby, że widzieli przemykające między roślinami zwierzęta. Kapitana kusiło by wysłać na ląd grupę myśliwych i poczekać na ich powrót, ale dwie sprawy zdecydowały o tym, że zrezygnował. Jedną był wiatr, który ciągle wiał w odpowiednim kierunku; drugim było pragnienie dotarcia do celu podróży oraz zbadania cudownej maszyny, którą Latacze stracili na pustkowiach tego świata.

Wraz z postępowaniem podróży kapitan był coraz bardziej zaskoczony wiatrem. Nigdy wcześniej nie zaobserwował, by wiał on miarowo w jednym kierunku przez więcej niż kilkaset dni. Teraz nie tylko utrzymywał kierunek, ale trzymał się zakrzywienia skały, tak że praktycznie cały czas wiał od rufy.

Jak zapowiedzieli Latacze, rzeka wciąż miała tę samą szerokość. Także wcześniejsze zapowiedzi, że stanie się płytsza i bardziej bystra, spełniły się. Spowolniło to szybkość *Bree*, ale nie na tyle, na ile można by sądzić, ponieważ wiatr również przybrał na sile. Mijały mile i dni i meteorolodzy oszaleli. Słońce stopniowo zataczało coraz wyżej kręgi na niebie, ale zbyt wolno, by naukowcy obarczali je odpowiedzialnością za zwiększoną siłę wiatru. Dla Ziemiaków i Mesklinitów stało się oczywiste, że coś w miejscowej fizjografii powodowało to zjawisko. W końcu Barlennan poczuł się na tyle pewnie, by zatrzymać wyprawę i wysłać na ląd grupę badawczą oraz myśliwych, mając pewność, że gdy podejmą podróż, wiatr utrzyma się.

Faktycznie tak było i pod tratwami *Bree* uciekały kolejne mile. Osiemset mil - powiedzieli Latacze. W końcu pojawił się w oddali zapowiadany wyłom w ścianie skalnej.

Przez jakiś czas rzeka płynęła od wyłomu i mogli zobaczyć go z profilu - prawie prosty stok, nachylony pod kątem około dwudziestu stopni, wystający znad dolnej części skały na wysokości pięćdziesięciu stóp.

Kiedy zbliżyli się, strumień zakręcił i przekonali się, że stok był wachlarzowatym usypiskiem skał, które wysypały się ze szczeliny skalnej o szerokości mniejszej niż pięćdziesiąt jardów. Stok stawał się bardziej stromy we wcięciu, ale być może dalej łagodniał; nikt nie był w stanie tego określić, zanim nie zbliżyli się na tyle, by stwierdzić, z jakich odłamków składało się osuwisko. Pierwsze wrażenie było zachęcające; w miejscu, gdzie rzeka dotykała podnóża zbocza, usypisko składało się z kamyków, małych nawet według standardów załogi *Bree*. Jeśli nie okazałyby się zbyt luźne, wspinaczka powinna być prosta.

Teraz obracali się dookoła bezpośrednio przed wyłomem, i w czasie tego manewru wiatr zaczął się w końcu zmieniać. Zakręcił na zewnątrz od klifu i jego szybkość wzrosła niewiarygodnie. Nagły podmuch uderzył w statek grożąc porwaniem wytrzymałego materiału żagli i odepchnął go w poprzek strumienia od ściany skalnej. W tej samej chwili natężenie dźwięku wzrosło niemal do wybuchu, w ciągu niecałej minuty targał nimi sztorm silniejszy od wszystkich burz, jakie znieśli podczas podróży z równika. Trwał tylko parę chwil; żagle były podniesione by złapać idący baksztagiem wiatr, udało im się nabrać wystarczająco duży impet, by pociągnąć statek przez największy wiatr w górę strumienia zanim zdążył osiąść na mieliźnie. Kiedy wydostali się spod jego wpływu, Barlennan w pośpiechu zrobił zwrot na sterburtę i poprowadził *Bree* przez niewielki odcinek dzielący ich od brzegu, zbierając

jednocześnie myśli do kupy. Po zakończeniu operacji zrobił to, co zwykle robił w nowych sytuacjach - skontaktował się z Ziemianami i poprosił o wyjaśnienie. Nie rozczarował się; odpowiedział mu jeden ze speców od pogody, a w jego głosie dały się słyszeć tony, które kapitan nauczył się kojarzyć z ludzkim zadowoleniem.

- Wszystko jasne, Barl! To kształt misy, który przyjął płaskowyz. Powiedziałbym, że będzie ci łatwiej dostać się na górę, niż sądziliśmy. Nie rozumiem, dlaczego o tym wcześniej nie pomyśleliśmy!

- O czym? - Mesklinita nie warczał, ale jego zakłopotanie było jasne dla członków załogi.

- Pomyśl tylko, co takie miejsce może wywołać przy waszej grawitacji, klimacie i atmosferze. Słuchaj: zima na części Mesklina, którą znasz - na półkuli południowej - zbiega się z przejściem świata przez punkt, w którym jest najbliższe słońca. Na północy jest wtedy lato i pokrywa lodowa paruje - dlatego o tej porze roku macie takie okropne i nieustające burze. Wiedzieliśmy o tym wcześniej. Kondensująca się wilgoć - metan, jakkolwiek go nazwiecie - oddaje ciepło i ogrzewa powietrze na waszej półkuli, mimo że nie widzicie słońca przez trzy lub cztery miesiące. Temperatura wzrasta prawdopodobnie do temperatury wrzenia metanu - jakichś minus stu czterdziestu pięciu przy waszym ciśnieniu powierzchniowym. Czy nie tak mają się sprawy? Nie jest u was dużo ciepłej zimą?

- Tak - przyznał Barlennan.

- No właśnie. Wysoka temperatura oznacza, że wasze powietrze nie rozrzedza się tak gwałtownie wraz z wysokością - można by powiedzieć, że cała atmosfera rozszerza się. Rozszerza się i przelewa przez krawędź do misy, przy której właśnie jesteście, jak woda do tonącej miski. Potem następuje wiosenne zrównanie dnia z nocą, sztormy cichną i Mesklin zaczyna oddalać się od słońca.

Robi się chłodniej, prawda? - i atmosfera ponownie się kurczy; ale w środku misy jest jej dużo, ciśnienie powierzchniowe jest wtedy wyższe niż na tym samym poziomie poza misą. Oczywiście, dużo wylewa się na zewnątrz i ma tendencję do wypływania ze skały u jej podstawy, ale jest odpierane przez ruch obrotowy planety. To w większości wiatr, który pomógł wam w podróży. Reszta to dziki podmuch, przez który właśnie przepłynęliście; wydostaje się z misy w jedynym miejscu w którym jest to możliwe, tworząc po obu stronach szczeliny częściową próżnię. Dlatego wiatr wieje do niej z boków. To proste!

- Czy pomyślałeś o tym wszystkim, kiedy przepływałem przez pas wiatru? - zapytał sucho Barlennan.

- Oczywiście, przyszło mi to momentalnie do głowy. Dlatego jestem pewien, że powietrze na górze jest gęstsze niż się tego spodziewaliśmy. Rozumiesz?

- Szczerze mówiąc, nie. Ale, jeśli cię to zadowoli, zaakceptuję ten fakt. Stopniowo zaczynam ufać waszej wiedzy, Latacze. Ale, teoria czy nie, co oznacza dla nas w praktyce? Wspinanie się po zboczu w szponach tego wiatru nie będzie zabawą.

- Obawiam się, że będziecie musieli to zrobić. Wiatr ucichnie w końcu, ale myślę, że minie kilka miesięcy zanim misa się opróżni - może kilka lat ziemskich. Myślę, że jeśli to w ogóle możliwe, warto by spróbować wspiąć się, nie czekając dłużej.

Barlennan zastanowił się. Na Krańcu taki huragan podrzuciłby ciało Mesklinity i wyrzucił poza zasięg wzroku w kilka sekund, ale na Krańcu taki wiatr nie powstałby nigdy, ponieważ powietrze uwięzione w misie miałoby tylko ułamek jego obecnej wagi. Tyle nawet Barlennan rozumiał po wyjaśnieniach meteorologa.

- Pójdziemy teraz - powiedział nagle przez radio i

odwrócił się, by wydać rozkazy załodze.

Bree został skierowany w poprzek strumienia - Barlennan zostawił statek na brzegu przeciwnym do płaskowyżu. Wyciągnięto go z rzeki, a liny przymocowano do słupków - w pobliżu usypiska nie było roślin, które mogłyby utrzymać taki ciężar. Pięciu marynarzy miało pozostać na statku; reszta nałożyła uprzęże, przymocowała do nich liny trałowe i od razu wyruszyła na zbocze. Przez jakiś czas wiatr ich nie nękał; Barlennan wyruszył oczywiście z boku osypiska. Najdalsze części zbocza, co zaobserwowali już wcześniej, składały się z dość małych kamyków i piasku; w miarę wspinania się głazy stawały się coraz większe. Wszyscy rozumieli przyczynę tego zjawiska; wiatr unosił najmniejsze kamyki najdalej i wszyscy zaczęli się martwić, po jak wielkich skałach będą musieli się wdrapać na krawędzi misy.

Dotarcie do rozstępu w ścianie zabrało im tylko kilka dni. W tym miejscu wiatr był odrobinę słabszy; kilka jardów dalej wydostawał się zza rogu z rykiem, który powodował, że trudno było rozmawiać. Od czasu do czasu natrafiali na zawirowania, które dawały przedsmak tego, co miało nastąpić, ale Barlennan zatrzymał się tylko na chwilę. Upewniwszy się, że jego bagaż był tuż za nim, bezpiecznie przymocowany do uprzęży, zebrał się w garść i wczołgał w miejsce, gdzie wiatr dął z całą siłą. Inni bez wahania poszli w jego ślady.

Ich najgorsze obawy nie potwierdziły się; nie trzeba było uprawiać wspinaczki po pojedynczych głazach. Leżały to ogromne fragmenty skał, ale od strony zbocza pokrywał je drobniejszy materiał wymieciony przez wiatr na relatywnie osłonięty obszar. Tam, gdzie nie miało to miejsca, zawsze mogli posuwać się bokiem do wiatru. Droga była zawiła, ale powoli przemieszczali się w górę.

Musieli zmienić początkowe przekonanie, że wiatr nie

jest dla nich groźny. Jeden z marynarzy zgłodniał, zatrzymał się w miejscu, które wydało mu się dobrze osłonięte, i spróbował wyjąć coś do zjedzenia ze swojej paczki; zawirowanie wokół osłaniającej go skały, prawdopodobnie spowodowane jego obecnością, która zakłóciła równowagę opływu, wyrwało otwarty pojemnik. Zadziałał on jak spadochron - wyciągnął nieszczęsnego właściciela ze schronienia i pociągnął w dół zbocza. W kilka chwil zniknął z pola widzenia w chmurze dopiero co wzburzonego piasku, a jego kompani odwrócili wzrok. Przy tutejszej grawitacji upadek z wysokości sześciu cali mógł zabić; ich towarzysz przed stoczeniem się na sam dół musiał zaliczyć wiele takich upadków. Pozostali marynarze mocniej zagrzebali stopy i porzucili wszelką myśl o posiłku przed dotarciem na szczyt.

Raz za razem słońce przebiegało po niebie przed nimi, oświetlając szczelinę, by wkrótce pojawić się z tyłu, buchając płomieniem w otwór z przeciwnej strony. Gdy skały dookoła nich jaśniały pod jego wpływem, oni byli coraz bliżej szczytu wzgórza; w końcu zaczęli odczuwać, że wiatr wiejący wzdłuż ich długich ciał osłabł. Szczelina stała się szersza, a stok łagodniejszy. Otwierała się przed nimi we wszystkie strony; w końcu droga przed nimi stała się praktycznie pozioma i zobaczyli szeroko rozciągający się płaskowyż. Wiatr był nadal silny, ale już nie śmiertelny; gdy Barlennan poprowadził grupę w lewo, zmniejszył się nadal. Inaczej niż na dole, tu nie miał zdecydowanie określonego kierunku. Wiał do szczeliny ze wszystkich stron, ale z tej przyczyny ustał gwałtownie, gdy zostawili ją za sobą. W końcu poczuli się na tyle bezpieczni, by się zatrzymać. Natychmiast otworzyli paczki i rozkoszowali się jedzeniem po raz pierwszy od trzystu dni - nawet dla Mesklinitów był to długi okres postu.

Kiedy zaspokoiли głód, Barlennan zaczął rozglądać się po

terenie. Zatrzymał grupę po jednej stronie wcięcia, niemal na brzegu płaskowyżu, teren opadał dookoła prawie półkuliście. Wyglądał zniechęcająco. Skąły były większe, powstawała konieczność omijania ich - wspinanie się było nie do pomyślenia. Nawet posuwanie się między nimi było niemożliwe; kiedy otoczyły ich głązy, nikt nie był w stanie widzieć dalej niż kilka jardów, a słońce stało się jako przewodnik całkowicie bezużyteczne. Musieli więc trzymać się blisko krawędzi (ale nie za blisko; Barlennan stłumił wewnętrzny dreszcz). Problem odnalezienia rakiety zostanie rozwiązany na miejscu, kiedy znajdą się w jej pobliżu; Latacze na pewno pomogą im przy tym zadaniu.

Kolejnym problemem była żywność. W paczkach mieli jej na wystarczająco długi czas - prawdopodobnie na całe osiemset mil drogi aż do miejsca powyżej poprzedniego postoju *Bree*; ale musieliby znaleźć sposób uzupełniania zapasów, ponieważ nie wystarczyłyby one na całą drogę do celu i z powrotem, plus wyżywienie przy rakiemie przez pewien czas. Barlennan nie wiedział, w jaki sposób wybrnąć z tej kabały, ale powoli rozwiązanie nasunęło się samo. Przemyślał je pod każdym kątem i w końcu ocenił, że był to najlepszy sposób. Kiedy opracował go szczegółowo, zawołał Dondragmera.

Mat zamykał pochód nie narzekając na piasek, obsuwający się spod nóg poprzedników, a który wiatr ciskał wprost w niego. Przez to utrudnienie nie czuł się gorzej; dorównywał wielkiemu Harsowi, jeśli nie pod względem siły, to w wytrwałości. Słuchał rozkazów kapitana nie okazując żadnych emocji, choć z pewnością był nimi rozczarowany co najmniej z jednego powodu. Kiedy poznał swe obowiązki, zwołał towarzyszy ze swojej warty i dodał do nich połowę marynarzy z warty kapitana. Ponownie rozdzielono paczki; mała grupa, która została z Barlennanem, otrzymała całą żywność oraz wszystkie liny

poza jedną, wystarczająco długą, by objąć wszystkich towarzyszy Dondragmera. Nauczyło ich tego doświadczenie, którego nie chcieli powtórzyć.

Po tych wstępnych działaniach mat nie tracił czasu; odwrócił się i poprowadził grupę w kierunku zbocza, po którym dopiero co wdrapali się z takim trudem, i wkrótce koniec powiązanej liną procesji znikł w nachyleniu prowadzącym do szczeliny. Barlennan zwrócił się do pozostałych.

- Od tej chwili będziemy musieli ściśle racjonować żywność. Nie będziemy podróżować szybko; nic by nam to nie dało. *Bree* powinien znaleźć się w poprzednim miejscu postoju długo przed nami, ale zanim załoga nas wesprze, będzie się musiała przygotować. Wy dwaj z radiami, nie pozwólcie żeby coś im się stało. To jedyne rzeczy, które pozwolą nam określić, w którym momencie będziemy blisko statku - chyba że ktoś zgodzi się na ochotnika wyglądać za krawędź co jakiś czas. Nawiasem mówiąc, i tak może zaistnieć taka konieczność - wtedy ja to zrobię.

- Czy wyruszamy od razu, kapitanie?

- Nie. Poczekamy aż będziemy pewni, że Dondragmer jest z powrotem na statku. Jeśli wpadnie w tarapaty, będziemy musieli wymyślić inny plan i prawdopodobnie zejść na dół. W takim wypadku przemierzenie jakiegokolwiek odległości byłoby stratą czasu i zbędnym wysiłkiem oraz kosztowałoby nas czas, cenny podczas powrotu.

W międzyczasie Dondragmer i jego grupa dotarli do zbocza bez problemów. Zatrzymali się, by mat mógł sprawdzić, czy wszystkie uprząże były bezpiecznie umocowane w regularnych odstępach wzdłuż liny; wreszcie na końcu przymocował własną i wydał rozkaz zejścia.

Pomysł z liną się sprawdził; nawet posiadającym kilka par stóp Mesklinitom trudniej było utrzymać przyczepność

idąc w dół niż pod górę. Tym razem nie wyglądało na to, że wiatr kogoś zwieje, ale i tak szło się nieporadnie. Tak jak poprzednio, wszyscy stracili poczucie czasu i poczuli ulgę, kiedy droga przed nimi otwarła się i wyszli spod nieprzerwanego nacisku wiatru. Nadal patrzyli w dół, co szarpało nerwy Mesklinity, ale najgorsza część drogi w dół była już za nimi. W trzy albo cztery dni pokonali pozostałą część trasy i znaleźli się na pokładzie statku. Marynarze na *Bree* wystarczająco wcześniej dojrzeliby schodzących, by stworzyć wiele teorii, w większości tragicznych, na temat losu pozostałych. Szybko zostali uspokojeni i mat złożył raport Ziemianom na Toorey, by mogli przekazać informację Barlennanowi na płaskowyżu. Następnie marynarze zepchnęli statek do rzeki. Było to nie lada zadanie, ponieważ jednej czwartej załogi brakowało, a grawitacja bieguna przyciągała tratwy do plaży, ale w końcu robotę wykonano. Dwa razy tratwa zawisła na kamieniach i musiano wykorzystać wielokrążek różnicowy. Kiedy *Bree* ponownie popłynął, Dondragmer poświęcił dużo czasu na zbadanie podnośnika. Wystarczająco dobrze poznał zasady jego budowy, by zmontować takie urządzenie bez niczyjej pomocy, ale nie mógł zrozumieć zasady jego działania. Kilku Ziemiian patrzyło na niego z rozbawieniem, ale żaden nie był na tyle niegrzeczny, by to okazać - i żaden nie chciał odebrać Mesklinicie szansy rozwiązania tego problemu samodzielnie.

Bardzo dokładnie ustalili pozycję uwięzionej rakiety; margines błędu zawierał się w sześciu milach. Jej przekaźniki telemetryczne - nie wszystkie instrumenty zapisywały wyniki w systemie ciągłym - nadal działały, już rok ziemski po tym jak rakieta nie odpowiedziała na sygnał do startu; w tym czasie astronomiczną ilość razy ustalano lokalizację przekaźników. Atmosfera Mesklina nie tłumiała fal radiowych.

Za pomocą radia można było również zlokalizować *Bree* oraz grupę Barlennana. Zadanie Ziemiaków polegało na kierowaniu tymi dwiema grupami i doprowadzenie ich do uwięzionego pocisku badawczego. Problem tkwił w tym, że z Toorey trudno było ustalać pozycję; gdy patrzyło się z księżycą, wszystkie cele znajdowały się na skraju dysku. Co gorsza, kształt planety powodował, że mały błąd w określeniu kierunku sygnału mógł oznaczać rozbieżność kilku tysięcy mil na powierzchni; linia anten niemal muskała najbardziej płaską część planety. Aby to zniwelować jeszcze raz wysłano raketę, która wykonała wcześniej zdjęcia Mesklina. Krążyła ona po orbicie kołowej, która przecinała bieguny w regularnych odstępach czasu.

Z tej orbity można było dość precyzyjnie ustalać pozycje przekaźników, które Mesklini nieśli ze sobą.

Problem uprościł się, kiedy Dondragmer doprowadził *Bree* do poprzedniego miejsca postoju i rozbił tam obóz. Teraz na planecie znajdował się stały przekaźnik; dzięki temu w ciągu minuty lub dwóch od chwili zadania pytania dowiadywał się, ile jeszcze drogi przed nim. Jeszcze raz podróż stała się rutyną - dla patrzących z góry.

WINDA

Barlennanowi nie bardzo przypominała ona rutynę. Górna część płaskowyżu była taka, jak wyglądała od samego początku: jałowa, kamienista, bez życia, wprawiająca w zakłopotanie. Nie odważył się oddalić bardziej od krawędzi; gdyby znaleźli się pomiędzy głazami, nie wiedzieliby, w którą stronę iść. Nie było żadnych pagórków mogących służyć jako punkty orientacyjne, przynajmniej takich, które można by zobaczyć z ziemi. Skały przestaniały wszystko na odległość powyżej kilku

jardów. Wznosiły się na linii wzroku we wszystkie strony poza krawędzią klifu.

Sama podróż nie była trudna. Pomiędzy kamieniami ziemia była równa; po prostu trzeba było ich unikać. Osiemset mil to długi odcinek dla człowieka, a jeszcze dłuższy dla istoty, która ma tylko piętnaście cali długości i musi brnąć do przodu niczym gąsienica. Niekończące się obejścia powodowały, że odległość do pokonania wydłużała się.

Barlennan i jego ekipa przemieszczali się dość szybko, biorą pod uwagę okoliczności i utrudnienia. Kapitan zaczął się martwić o żywność, której mogło zabraknąć przed końcem podróży. Czuł, że gdy decydował się na to przedsięwzięcie, zostawił duży margines bezpieczeństwa; należało jednak wprowadzić zdecydowane poprawki. Wielokrotnie z obawą pytał Ziemian, ile jeszcze drogi przed nimi; czasem otrzymywał odpowiedź - zawsze zniechęcającą - a czasem satelita znajdował się właśnie po drugiej stronie planety i z Tooreya odpowiadano mu, że musi poczekać na ustalenie pozycji. Stacje przekaznikowe nadal działały, ale nie można było ich wykorzystać do odczytu na jego radioodbiorniku.

Kiedy w końcu dotarli do miejsca, gdzie Ziemianie nie widzieli znaczącej różnicy pozycji, nadal zostało im trochę jedzenia, ale nie za dużo. Teoretycznie pierwszą rzeczą do zrobienia było uzupełnienie zapasu żywności. Wcześniej musieli zdecydować się na poważne posunięcie. Barlennan wspominał o nim przed rozpoczęciem marszu, ale nikt poważnie nie pomyślał o tej sprawie. Teraz musieli zmierzyć się z nią oko w oko.

Ziemianie powiedzieli im, że znajdują się tak blisko *Bree* jak tylko jest to możliwe. To znaczyło, że żywność znajdowała się tylko kilkaset metrów poniżej; ale aby je zdobyć, ktoś - prawdopodobnie nawet kilka osób - musiało

spojrzeć w dół znad krawędzi. Muszą określić własne położenie w stosunku do statku. Muszą szybko zbudować dźwig, za pomocą którego wciągną jedzenie; jednym słowem muszą spojrzeć całe trzysta stóp prosto w dół - a perspektywa głębi była zatrważająca.

Mimo wszystko, trzeba to było zrobić i w końcu Barlennan, jak przystało na dowódcę, dał przykład.

Podszedł - trzeba przyznać, że nie spiesząc się - do krawędzi grani szerokiej na trzy stopy i utkwiał wzrok w niskich pagórkach, które było widać pomiędzy nim a odległym horyzontem. Powoli jego spojrzenie zaczęło przesuwać się w dół, coraz bliżej, aż w końcu spoczęło na krawędzi skały. Bez pośpiechu wodził wzrokiem w jedną i drugą stronę, przyzwyczajając się do patrzenia na rzeczy, które, jak wiedział, były pod nim. Następnie prawie niezauważalnie przesunął się do przodu, by zobaczyć jak największą część krajobrazu blisko podstawy klifu. Przez długi czas wszystko wyglądało podobnie, aż udało mu się skoncentrować uwagę na nowych szczegółach, które widział, a nie na przerażającej czynności, którą wykonywał. W końcu jednak dojrzał rzekę i prawie gwałtownie posunął się do przodu. Widział jej przeciwległy brzeg, gdzie myśliwi wylądowali po przepłynięciu na drugą stronę. Z góry zobaczył nawet ich rozgałęziające i łączące się ponownie ślady - nie sądził dotąd, że takie szczegóły można w ogóle dostrzec z góry.

Teraz ukazał się także bliższy brzeg rzeki oraz znak w miejscu, gdzie wcześniej zatrzymał się *Bree*; trochę dalej cumował *Bree*, taki sam jak przedtem, część marynarzy odpoczywała na tratwach, a reszta poruszała się na brzegu nieopodal. Przez chwilę Barlennan zapomniał o wysokości i wysunął się jeszcze bardziej do przodu, by do nich krzyknąć. W tym momencie jego głowa znalazła się poza krawędzią.

Kiedy został podniesiony na dach czołgu, w pierwszej chwili wydało mu się, że doświadczył najokropniejszego wydarzenia w swoim życiu. Teraz był pewien, że wysunięcie poza krawędź klifu było jeszcze gorsze. Barlennan nie wiedział, w jaki sposób wycofał się znad przepaści, nie spytał też swoich ludzi, czy udzielili mu pomocy. Kiedy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, znajdował się dobre dwa jardy, bezpieczne dwa jardy od grani. Nadal trząśł się i nie czuł pewnie. Minęło kilka długich chwil, zanim doszedł do siebie i był w stanie normalnie myśleć.

Ostatecznie zdecydował, co mogą i muszą zrobić. Patrząc na statek czuł się dobrze; problemy zaczęły się, gdy jego oczy podążyły ku odległym poziomom na dole. Ziemianie zasugerowali, że patrzenie w dół było przyczyną jego strachu i po chwili refleksji Barlennan przyznał im rację. Znaczyło to, że można było podjąć konieczne działania. Jeżeli nie będą patrzeć bezpośrednio na klif w dole, wyślą sygnał do marynarzy na dole i zaczną wyciągać liny z ładunkiem. Sposobem na zachowanie zdrowia psychicznego - i życia - było trzymanie głowy kilka cali od krawędzi.

Dondragmer nie dostrzegł głowy kapitana podczas tej króciutkiej chwili, kiedy pojawiła się nad klifem, ale wiedział, że grupa dotarła już do szczytu nad nimi. Latacze informowali go cały czas o ruchach grupy Barlennana. Teraz jego ekipa zaczęła bardzo ostrożnie badać brzeg ściany skalnej nad nimi. W tym momencie na górze wypchnięto poza krawędź tyczkę z umocowaną na końcu paczką. Dostrzeżono ją na dole; była prawie dokładnie nad statkiem. Zanim Barlennan poczuł zawroty głowy, zauważył, że nie byli dokładnie na właściwym miejscu i teraz naprawili błąd, sygnalizując pozycję paczką.

- Dobra, mamy was - zawołał Dondragmer po angielsku

i informacja została przekazana przez jednego z ludzi w rakiecie.

Marynarz na górze z wdzięcznością przestał machać pustą paczką. Ustawił ją tak, że odrobinę wystawała za krawędź - w ten sposób ci na dole mogli ją widzieć - i wycofał się na bezpieczną odległość od krawędzi. W międzyczasie podzielono linę, którą marynarze przynieśli ze sobą. Jeden koniec okręcono mocno dookoła głazu - Barlennan włożył dużo wysiłku w tę operację. Było niemal pewne, że gdyby stracili linę, umarliby z głodu.

Kiedy w końcu zadanie wykonano, kazał przenieść drugi koniec liny bliżej krawędzi. Dwóch marynarzy zaczęło ostrożnie wysuwać ją na drugą stronę. Dondragmer został poinformowany o ich działaniu, ale nie postawił nikogo na dole w celu uchwycenia zsuwającego się końca liny. Gdyby w górze ktoś się potknął i cały zwój spadł na dół, miejsce pod nią było śmiertelnie niebezpieczne. Zaczekał aż Barlennan zameldował, że cała lina została spuszczonej; wtedy wraz z resztą załogi udał się do podnóża klifu, by ją odnaleźć.

Była za długa, Dondragmer najpierw odciął niepotrzebną ilość liny, wyprostował i zmierzył. Wyrobił sobie zdanie na temat dokładnej wysokości klifu, ponieważ podczas oczekiwania miał czas na bardzo precyzyjne sprawdzenie długości cieni.

Koniec liny nie był wystarczająco długi, by sięgnąć szczytu klifu; dlatego też mat wziął nową linę ze statku, upewnił się o jej długości, przywiązał do liny zwisającej z góry i poinformował Ziemię, że Barlennan może zacząć ciągnąć.

Zadanie było trudne, ale nie za trudne dla silnych Mesklinitów, toteż w stosunkowo krótkim czasie druga lina znalazła się na górze i najgorsze obawy kapitana osłabły. Gdyby teraz jedna lina spadła, mogli polegać na zapasowej.

Drugi ładunek było znacznie trudniej wciągnąć - była to paczka pełna żywności, o wadze jednego marynarza. Normalnie pojedynczy Mesklinita nie mógłby podnieść takiego ciężaru w tej części planety, nieliczna drużyna Barlennana ledwo mogła sprostać pracy. Wreszcie udało im się wciągnąć linę na górę i wyciągnąć ją ponad krawędź dzięki zastosowaniu następującej metody: owijali ją dookoła głazu, często przy tym odpoczywając. Po wykonaniu zadania okazało się, że lina w wielu miejscach została przetarta - spowodował to kontakt z gładem oraz z krawędzią klifu. Trzeba było coś przedsięwziąć, toteż kiedy cała grupa celebrowała zakończenie ostrego racjonowania żywności, Barlennan podjął decyzję. Po zakończeniu uczyty wydał matowi rozkazy.

Zgodnie z instrukcjami Barlennana kolejnych kilka ładunków zawierało maszty i drzewce, więcej lin oraz kilka bloczków, takich jak te, które wcześniej wykorzystali do spuszczenia *Bree* z klifu na dalekim równiku. Wykorzystali je do budowy trójnoga oraz podnośnika, podobnych do tych, które stosowali poprzednio - zrobili to bardzo ostrożnie, ponieważ musieli podnieść elementy do pozycji, w której mogli je przywiązać i stare uprzedzenie do przedmiotów znajdujących się ponad głową odżyło w nich z całą mocą. Ponieważ Mesklinici w żaden sposób nie mogli unosić się teraz w górę, większość prac związanych z wiązaniem wykonano, kiedy elementy leżały płasko na ziemi; następnie konstrukcja została podniesiona za pomocą pozostałych drzewców, użytych jako dźwignie oraz gładów, które z mozołem przetoczono w odpowiednie miejsca. Wykorzystano je jako punkty podparcia. W normalnych warunkach taka grupa wykonałaby tę czynność w ciągu godziny; Mesklinikom potrzebne było wielokrotnie więcej czasu i nikt z obserwujących ich Ziemian nie miał o to żadnych pretensji.

Trójnóg złożono i ustawiono w pewnej odległości od krawędzi, następnie powoli przesunięto tak blisko krawędzi, jak tylko było to możliwe. Nogi trójnoga podparto mniejszymi głazami - Ziemianie, którzy przyglądali się akcji nazwaliby je raczej kamyczkami. Najcięższy z bloczków został przywiązany solidnie z całej siły do końca masztu, przełożono przez niego linę, a maszt podniesiono w górę tak, by jedna czwarta jego długości wystawała nad przepaścią poza wspierający go trójnóg. Jego wewnętrzny koniec także obciążono kamieniami. Praca zajęła dużo czasu, ale była tego warta. Początkowo użyli tylko jednej dźwigni, toteż ciągnąca linę załoga nadal musiała walczyć z całym ciężarem ładunku; ale w dużej mierze wyeliminowano tarcie. Zacisk przymocowany do wewnętrznej części masztu ułatwił problem z trzymaniem ładunku, gdy załoga odpoczywała.

Na górę wędrowały kolejne pakunki, a załoga na dole polowała i łowiła ryby, by zapewnić ciągłość dostaw.

Do dyspozycji mieli już więcej zapasów niż jedna osoba byłaby w stanie udźwignąć, Barlennan planował jednak rozmieścić zapasy żywności wzdłuż drogi do rakiety. Spodziewali się, że podróż nie będzie tak długa jak od szczeliny skalnej, którą się tu wspięli, ale ich pobyt przy unieruchomionej maszynie zapowiadał się na długi i należało podjąć starania, by był bezpieczny. Tak naprawdę, Barlennan wolałby, żeby było z nim na płaskowyżu kilka osób więcej, dzięki czemu mógłby zostawić kogoś przy dźwigni, a resztę zabrać ze sobą, ale łączyło się z tym kilka praktycznych trudności. Gdyby kolejna grupa miała wspiąć się do szczeliny, a potem dalej do góry i wrócić na ich obecne miejsce, trwałoby to zbyt długo; nikt nie chciał myśleć o żadnych alternatywach. Oczywiście Barlennan pomyślał o jednej, ale eksperyment jednego z członków załogi spowodował, że ciężko było ją zaakceptować.

Marynarz, po uzyskaniu zgody kapitana, czego ten zresztą później żałował - i ostrzeżeniu ludzi na dole by się odsunęli, wypchnął na krawędź kamyk wielkości kuli i rzucił go w dół. Wynik był ciekawy zarówno dla Mesklinitów, jak i dla Ziemiaków. Co prawda Ziemiaki nic nie widzieli, ponieważ jedyny wizjer jaki znajdował się u podnóża skały nadal był na pokładzie statku i za daleko od miejsca wydarzeń, ale słyszeli równie wyraźnie jak Meskliniacy. Nawet dla nich kamyk po prostu znikł. Gdy rozciął powietrze, dał się słyszeć króciutki dźwięk jak pęknięcie struny w skrzypcach. Ułamek sekundy później nastąpił gwałtowny huk, w wyniku zderzenia z ziemią.

Na szczęście wylądował na twardym, lekko wilgotnym gruncie, a nie na drugim kamieniu; istniało duże prawdopodobieństwo, że gdyby tak się stało, odłamki mogłyby kogoś zabić. Przy szybkości około mili na sekundę siła uderzenia spowodowała, że podłoże wyprysło na zewnątrz ruchem zbyt szybkim, by oko mogło go zarejestrować, ale po ułamku sekundy zamarzyło pozostawiając krater, który otaczał głęboką dziurę, jaką pocisk wydrążył w glebie. Marynarze zebrali się dookoła przypatrując lekko parującej ziemi; następnie jednocześnie odsunęli się kilka jardów od podstawy klifu. Minęło trochę czasu zanim otrząsnęli się z nastroju, w jaki wprowadził ich eksperyment.

Mimo wszystko Barlennan chciał mieć więcej ludzi na górze, a nie rezygnował ze swoich zamierzeń ze strachu, że się nie powiodą. Któregoś dnia wyszedł z propozycją windy i choć spotkała się ona z oczekiwaną ciszą, podczas postępu prac, w regularnych odstępach wracał do tematu. Lackland zauważył już dużo wcześniej, że kapitan potrafi być przekonujący. Szkoda, że przekonywał w swoim ojczystym języku, ponieważ Ziemiaki z wielką przyjemnością posłuchaliby różnorodnych, oryginalnych metod

Barlennana i zobaczyliby, jak jego słuchacze przechodzą od całkowitej odmowy do rozważenia tematu, poprzez obojętne słuchanie do niechętniej zgody. I choć nie stali się entuzjastycznymi zwolennikami jego idei, Barlennan nie oczekiwał cudu. Właściwie odniósł sukces nie tylko dzięki własnym wysiłkom. Dondragmer bardzo chciał znaleźć się w grupie, która dotrze do rakiety; był ogromnie nieszczęśliwy z powodu rozkazu zejścia na dół i powrotu na statek, chociaż zakorzeniona w nim niechęć do ludzi, którzy nie zgadzali się z rozkazami spowodowała, że nie okazał swoich uczuć na zewnątrz. Teraz, gdy zaistniała szansa przyłączenia się do aktywnej grupy, rozważając sprawę wyperswadował sobie, że pomysł z wciąganiem marynarzy na końcu liny nie był taki zły. Pomyślał, że jeśli lina się zerwie, nie będzie nawet o tym wiedział. Dlatego stał się orędownikiem pomysłu kapitana wśród marynarzy pod klifem; kiedy zdali sobie sprawę z tego, że ich starszy oficer zamierza pójść jako pierwszy i wygląda na to, że *chce* iść, duża część ich naturalnego oporu ustąpiła. Przekażniki automatyczne zaczęły działać i Barlennan mógł bezpośrednio argumentować wobec drugiej grupy, dzięki czemu oddziaływał także siłą swojej osobowości.

W rezultacie zbudowano małą, drewnianą platformę z niską, solidną barierką - był to pomysł Dondragmera - który powodował, że osoba znajdująca się wewnątrz nie mogła widzieć niczego wokół. Całość wspierała się na nosidełku z liny, które utrzymywało ją w pozycji pionowej; był to wynik poprzednich doświadczeń blisko równika.

Platformę oraz wszystkie liny i węzły, które dokładnie przetestowano podczas zawodów przeciągania liny, co bardzo zainteresowało obserwujących Ziemiaków, przeciągnięto pod dźwignię i zamocowano do głównej liny. Na prośbę mata poluzowano trochę linę z góry i ostatni węzeł został przetestowany w ten sam sposób co pozostałe.

Dondragmer, zadowolony, że wszystko wygląda bezpiecznie, szybko wdrapał się na platformę, umieścił ostatnią część barierek na swoim miejscu i dał sygnał w stronę dźwigni. Wcześniej marynarze przyciągnęli radio ze statku i Barlennan bezpośrednio mógł usłyszeć mata. Przyłączył się do swojej grupy przy linie.

Nie było praktycznie żadnego huśtania. Dondragmer pamiętał, że poprzedni pobyt w takim urządzeniu był bardziej nieprzyjemny. I mimo że tutaj wiatr nadal wiał niemiarkowo wzdłuż klifu, nie był w stanie zauważalnie poruszyć wahadłem, którego częścią stał się Dondragmer. Sznur był za wąski, a waga samego wahadła zbyt wielka, by prądy powietrzne mogły nimi huścić. Taki układ był bardzo pomyslny nie tylko ze względu na wygodę; gdyby konstrukcja zaczęła balansować, okres wahań trwałby na początku około pół sekundy, malejąc wraz z podnoszeniem się do wartości prawie wibracji dźwięku i cała konstrukcja na górze runęłaby wraz z jej podstawą.

W końcu platforma pojawiła ponad krawędzią klifu, a nosidełko sięgnęło dźwigni uniemożliwiając dalsze unoszenie. Koniec windy znajdował się tylko jakiś cal od klifu; była ona długa i wąska - w ten sposób odpowiadała kształtom Mesklinity - i pchnięcie drzewcem na jednym końcu spowodowało, że drugi zakołysał się nad stałym gruntem. Dondragmer otworzył oczy usłyszawszy głosy towarzyszy i z wdzięcznością wyczołgał się z windy.

Obserwujący akcję Lackland przekazał czekającym na dole marynarzom, że mata jest bezpieczny. Słowa te zostały natychmiast przetłumaczone przez marynarza, który znał trochę angielski. Delikatnie mówiąc marynarze poczuli ulgę; widzieli jak platforma dociera do celu, ale nie wiedzieli, w jakim stanie jest jej pasażer. Barlennan wykorzystał ich entuzjazm wysyłając natychmiast windę na dół, by wciągnąć następnego pasażera.

Cała operacja została ukończona bez wypadku. Kiedy winda wykonała dziesięć kursów, Barlennan zdecydował, że więcej ludzi z dołu nie potrzeba, bo straci na tym zaopatrzenie w żywność. Napięcie opadło i uczucie, że znajdują się w końcowej fazie misji ogarnęło zarówno Ziemiaków, jak i Mesklinitów.

- Barl, jeśli poczekaś ze dwie minuty - Lackland przekazał informację podaną przez jeden z komputerów - słońce znajdzie się dokładnie na przedłużeniu kierunku, w którym powinniście iść. Ostrzegaliśmy, że nie jesteśmy w stanie namierzyć rakiety z większą dokładnością niż sześć mil; pokierujemy was do środka obszaru, w którym na pewno się znajduje i z tego miejsca sami będziecie musieli zacząć szukać. Obawiam się, że jeżeli tamtejszy teren choć trochę przypomina miejsce, w którym się właśnie znajdujecie, będzie to dosyć trudne.

- Chyba macz rację, Charles; nie mamy doświadczenia w takich sprawach. Ale jestem pewien, że damy sobie radę; udało nam się jak dotąd przewyciężyć wszystkie inne - przyznaję, że często przy twojej pomocy. Czy słońce jest już na linii?

- Jeszcze chwilę - teraz! Jest tam jakiś punkt orientacyjny, nawet odległy, który możecie wykorzystać do trzymania się tej linii, aż słońce znowu wróci w to miejsce?

- Chyba nie. Będziemy musieli robić co się da i codziennie dokonywać poprawek z twoją pomocą.

- To trochę jak obliczanie drogi w oparciu o przebytą odległość, nie znając siły wiatrów ani prądów, ale musi nam to wystarczyć. Będziemy poprawiać nasze dane za każdym razem, kiedy namierzemy waszą pozycję. Powodzenia!

BUDOWNICZOWIE KOPCÓW

Kierunek był problemem - odkryli to natychmiast wszyscy zainteresowani. Podróżowanie w linii prostej okazało się fizyczną niemożliwością; co kilka jardów grupa musiała okrążyć głaz, za wysoki by spojrzeć ponad nim lub się na niego wspiąć. Budowa anatomiczna Mesklinitów jeszcze pogarszała sytuację, ponieważ ich oczy znajdowały się tak blisko ziemi. Barlennan próbował zbaczać z trasy na zmianę to w jedną, to w drugą stronę, ale nie mógł w żaden sposób sprawdzić odchylenia od linii marszu. Niewiele było dni, kiedy kontrola kierunku z rakiety pokazywała oddalenie mniejsze niż dwadzieścia, trzydzieści stopni.

Co pięćdziesiąt dni sprawdzano pozycję przekaźnika - obecnie mieli tylko jeden; drugi pozostawiono grupie przy windzie - i obliczano nowy kierunek. Potrzebowali bardzo precyzyjnych wyników, czasami wkradały się wątpliwości co do dokładności pomiaru pozycji. Kiedy miało to miejsce, Ziemiańskie zawsze ostrzegali Barlennana i pozostawiali mu wolną rękę. Jeśli Ziemiańskie nie mieli zbyt dużo wątpliwości, szedł dalej; kiedy indziej czekał kilka dni, by lepiej obliczyli pozycję. Podczas oczekiwania redystrybuował ładunek paczek i zmieniał racje żywności, jeśli było to konieczne. Jeszcze przed wymarszem wpadł na pomysł znakowania szlaku i teraz linia kamyków znaczyła ich drogę od krawędzi. Chciał też oczyścić ścieżkę z kamieni i ułożyć je w stosy po obu stronach, tworząc regularną drogę; ale na to będzie czas później, kiedy podróże pomiędzy uwięzioną rakieta a bazą zaopatrzeniową staną się regularne.

Mesklinici powoli pokonywali ten pięćdziesięciomilowy odcinek, ale w końcu pokonali. Jak powiedział Lackland, Ziemiańskie zrobili co było w ich mocy; według ich pomiarów Barlennan powinien teraz stać przy unieruchomionej maszynie. Ale i radiowizjer, i głos kapitana jasno informowały Lacklanda, że rakiety nie widać, co wcale go nie zaskoczyło.

- To wszystko, co możemy zrobić, Barl. Znając naszych matematyków mogę ci przysiąc, że jesteście w odległości sześciu mil od urzędnika, a zapewne dużo mniejszej. Możesz zorganizować swoich ludzi lepiej niż ja bym to zrobił, by zacząć poszukiwania. Na pewno zrobimy wszystko, co tylko możemy, ale naprawdę nie wiem, jak ci pomóc. Co masz zamiar przedsięwziąć?

Barlennan chwilę pomilczał, zanim dał odpowiedź. Koło o średnicy sześciu mil to olbrzymi obszar na poszukiwania, kiedy średnia widoczność wynosi trzy albo cztery jardy. Oczywiście, mógł bardzo szybko przeczesać obszar, rozdzielając swoich ludzi. Ale w takim wypadku istniało prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że część z nich może zginąć. Powiedział to Lacklandowi.

- Rakieta ma jakieś dwadzieścia stóp wysokości - zauważył człowiek. - Dlatego od razu wasz zasięg widzenia jest większy niż twierdzisz. Gdybyś był w stanie wdrapać się na któryś z tych wielkich głazów, prawdopodobnie od razu zobaczyłbyś statek - i to właśnie jest irytujące.

- Oczywiście, ale nie możemy tego zrobić. Duże skały mają wysokość sześciu do ośmiu waszych stóp. Nawet jeśli moglibyśmy wdrapać się po ich prawie pionowych bokach, to ja z pewnością nigdy więcej nie spojrzę w dół z tej wysokości i nie będę kazał robić tego moim ludziom.

- Ale wspięliście się tą szczeliną na płaskowyż.

- To co innego. W żadnym momencie nie znaleźliśmy się nad przepaścią.

- To znaczy, że gdyby osobny stok prowadził na jeden z tych głazów, nie miałbyś nic przeciw temu, by znaleźć się osiem stóp nad ziemią?

- Nie, ale, mhm... Myślę, że wiem, o co ci chodzi. Chwileczkę. - Kapitan uważniej rozejrzał się po otoczeniu. Kilka wielkich skał znajdowało się w pobliżu; najwyższa, jak powiedział, wznosiła się na jakieś sześć stóp. Dookoła i

pomiędzy nimi leżały wszędobylskie kamyki. Gdyby Barlennan kiedykolwiek zetknął się z geometrią przestrzenną, uniknąłby decyzji, którą teraz podjął; nie zdając sobie sprawy z objętości materiału budowlanego, jaki mu będzie potrzebny, uznał pomysł Lacklanda za rozsądny.

- Zrobimy to, Charles. Wystarczy małych skał i ziemi na zbudowanie rampy. - Odwrócił się od radia i nakreślił plan marynarzom.

Prace postępowaly powoli, ale nieprzerwanie. Zabrało to tyle czasu, że w pewnym momencie część grupy wyruszyła oznaczonym szlakiem po żywność - nie było to potrzebne podczas ośmiuset milowej drogi ze szczeliny. Płaskowyz poczuł stąpanie małych stóp prawdopodobnie po raz pierwszy od czasu, kiedy wewnętrzne procesy Mesklina wypchnęły go z trzewi planety na obecny poziom. Rampa ciągnęła się w dół we wszystkie strony od punktu wejścia; nikt nie podchodził do głazu od strony, gdzie ściana opadała gładko w dół.

Przewidywania Lacklanda sprawdziły się - po miesiącach podróży i niebezpieczeństw cel ekspedycji był widoczny z nowego punktu obserwacyjnego. Barlennan kazał nawet wnieść wizjer na rampę, by Ziemiannin mógł też coś zobaczyć. Po raz pierwszy od ponad roku twarz Rostena utraciła swój zwykły ponury wyraz. Niewiele było do oglądania; być może jedna z piramid egipskich, pokryta metalem i umieszczona odpowiednio daleko przypominałaby trochę tępy stożek, wznoszący się ponad leżące dookoła kamienie. Nie przypominała rakiety, którą Barlennan widział wcześniej - tak naprawdę nie bardzo przypominała jakąkolwiek rakietę zbudowaną w ciągu ostatnich dwudziestu lat na Ziemi. Było jednak oczywiste, że nie jest to część normalnego krajobrazu Mesklina i nawet ci członkowie ekspedycji, którzy nie spędzili

miesiący na powierzchni monsturalnej planety, czuli jak kamień spada im z piersi.

Mimo że Barlennan był zadowolony, nie czuł uniesienia, jakie panowało na Toorey. Jego intensywność była bliska celebracji. Mógł ocenić lepiej, co znajdowało się między jego obecną pozycją a rakieta. Wydawało mu się, że nie jest to gorsze od tego, z czym dali sobie już radę, ale z pewnością nie lepsze. Nie będzie już wskazówek Ziemiaków i nawet z obecnego punktu widokowego nie wyobrażał sobie, w jaki sposób mogą utrzymać linię marszu przez półtorej mili, które musieli pokonać. Ziemiaki nie znali teraz kierunku, więc ich metoda nie była skuteczna - a może była? Może *im powiedzieć*, kiedy słońce będzie znajdowało się we właściwym kierunku; wtedy mogliby kontaktować się z nim za każdym razem, gdy będzie się znajdowało w tym położeniu. Jeden marynarz mógł tu zostać i przekazywać te same informacje nie kłopotząc Lataczy - ale teraz miał tylko jedno radio. Nie można mieć go w dwóch miejscach na raz. Po raz pierwszy Barlennanowi naprawdę zabrakło radia, które zostawił u mieszkańców rzeki.

Później przyszło mu do głowy, że może radio wcale nie będzie potrzebne. To prawda, powietrze nie niosło tu głosów tak dobrze - był to jedyny efekt cieńszej atmosfery płaskowyzu, spostrzeżony przez marynarzy - ale głos Mesklinity, jak zauważył Lackland, trzeba było usłyszeć, żeby weń uwierzyć. Kapitan zdecydował, że spróbuje wykorzystać głos. Zostawi jednego człowieka na platformie widokowej; jego obowiązkiem będzie gwizdać z całych sił, za każdym razem kiedy słońce znajdzie się na wprost błyszczącego stożka, który jest ich celem. Szlak będzie oznakowany jak wcześniej, więc osoba ta będzie mogła dołączyć do pozostałych, gdy znajdą się na miejscu.

Barlennan przedstawił swój pomysł grupie. Dondragmer

zauważył, bazując na wcześniejszym doświadczeniu, że może się okazać, iż pójdą za daleko z jednej strony, ponieważ nie da się ustalić pozycji, jak to robili wcześniej Ziemianie. Głos obserwatora może zostać zakłócony tu, gdzie powstaje tyle odbić i ech. Przyznał jednak, że jak dotąd był to najlepszy pomysł i dawał dużą szansę na doprowadzenie ich do rakiety. Dlatego wyznaczono marynarza na punkt obserwacyjny i podjęto podróż w nowym kierunku.

Nawet teraz żaden z nich nie uważał się za wystarczająco doświadczonego w podróży lądowej, by dokładnie ocenić, jaki dystans pokonali. Wszyscy przyzwyczaili się, że osiągają cel później niż mieli nadzieję na początku; grupa była mile zaskoczona, kiedy w końcu monotonię kamiennej pustyni zakłóciła zmiana krajobrazu. Nie była to zmiana, której oczekiwali, a mimo to skupiła uwagę wszystkich.

Fenomen pojawił się bezpośrednio przed nimi i przez chwilę część grupy zastanawiała się, czy w jakiś niezrozumiały sposób nie zatoczyli koła. Między głazami ukazało się długi wał zbudowany z mieszaniny ziemi i błota. Był prawie tak wysoki jak rampa, którą zbudowali do obserwacji; lecz gdy zbliżyli się, zauważyli, że ciągnął się znacznie dalej w każdą stronę - tak daleko, jak tylko sięgali wzrokiem. Otaczał wielkie głazy niczym fala oceaniczna, zamrznięta w ruchu; nawet Mesklinicy, całkowicie nieprzyzwyczajeni do eksplozji i kraterów po meteorytach, zauważyli, że materiał został wyrzucony na zewnątrz z jakiegoś punktu za ziemnym wałem. Barlennan widział kilkakrotnie lądowania raket z Toorey i miał swoje, całkiem trafne zdanie na temat tego, co zobaczą, jeszcze zanim ekipa znalazła się na wzniesieniu. Miał rację, jeśli nie w szczegółach, to w ogólnym sensie.

Rakieta stała pośrodku wgłębienia w kształcie misy,

które powstało w wyniku podmuchu gazów z jej dysz pomocniczych. Barlennan pamiętał, w jaki sposób śnieg zniknął, kiedy rakieta z ładunkiem wylądowała blisko „wzgórza” Lacklanda. Zdawał sobie sprawę, że siła nośna musiała tu być dużo potężniejsza, aby unieść maszynę. W pobliżu rakiety nie było dużych głazów, chociaż kilka znalazło się blisko ścian misy. Gleba była wyczyszczona tak, że rakieta o wysokości dwudziestu stóp wystawała tylko na cztery, pięć stóp ponad skały pokrywające równinę.

Jej średnica u podstawy była niemal równa wysokości i nie zmieniała się przez jedną trzecią wysokości. W tej części znajdował się napęd, wyjaśnił Lackland, kiedy wizjer ustawiono tak, by pokazywał wewnątrz powstałego krateru.

Górna część maszyny gwałtownie się zwężała do tępego zakończenia - tam znajdowała się aparatura, która kosztowała tak ogromną ilość czasu, wysiłku intelektualnego oraz pieniędzy wielu światów. W tej części ziało kilka otworów, ponieważ komory nie były hermetycznie zamknięte. Aparatura, której funkcjonowanie wymagało próżni lub specjalnej atmosfery, została uszczelniona indywidualnie.

- Kiedy eksplozja na twoim czołgu całkowicie go zniszczyła, powiedziałeś, że coś podobnego mogło zdarzyć się tutaj - stwierdził Barlennan. - Nie widzę oznak zniszczenia ani eksplozji. W jaki sposób mogło tam nadal być wystarczająco dużo tlenu, by spowodować eksplozję? Mówiłeś, że poza i pomiędzy światami nie ma powietrza, a to co było wydostałoby się przez każdy otwór.

Zanim Lackland zdążył odpowiedzieć wtrącił się Rosten. Wraz z resztą grupy badał rakiety na innym ekranie.

- Barl ma rację. Cokolwiek spowodowało problem, nie był to wybuch tlenu. Nie wiem co to było. Po prostu musimy mieć oczy szeroko otwarte, kiedy wejdziemy do środka starając się znaleźć przyczynę. Będzie to ważne dla

budowniczych rakiety. Powiedziałbym, że możemy brać się do roboty. Mam na karku hordę fizyków, którzy aż kwiczą, by otrzymać informacje.

- Wasi naukowcy będą musieli jeszcze trochę poczekać - przerwał Barlennan. - Wydaje się, że coś pominęliście.

- Co takiego?

- Żaden z instrumentów, na które mam skierować wzrok nie znajduje się w odległości siedmiu stóp od ziemi. Wszystkie znajdują się za metalowymi ścianami, które jak podejrzewam, ciężko nam będzie otworzyć, mimo że wasze metale są dość delikatne.

- Do licha, masz oczywiście rację. Druga część jest łatwa; większa część powłoki składa się z łatwych do usunięcia płyt. Możemy wam pokazać, w jaki sposób je zdemontować bez większego problemu. Co do reszty - hm. Nie macie nic, co by przypominało drabiny, a nawet gdybyście je mieli, nie moglibyście ich wykorzystać. Wasza winda ma niewielką wadę - na górze potrzebny jest zespół, żeby można ją było zainstalować. Od ręki nie jestem w stanie nic wymyślić. Ale coś na to poradzimy. Za daleko doszliśmy, żeby się teraz zatrzymać.

- Proponuję byście pomyśleli nad tym, kiedy mój marynarz dotrze tu z punktu obserwacyjnego. Jeśli do tego czasu nie wpadniecie na lepszy pomysł, wykorzystamy mój.

- Co? Masz jakiś pomysł?

- No pewnie. Weszliśmy na szczyt głazu z którego zobaczyliśmy raketę; czemu nie zastosować tej metody tutaj?

Rosten nie odezwał się przez całe pół minuty; Lackland podejrzewał, że w tym czasie karmił się w myślach za krótkowzroczność.

- Widzę tylko jedną słabą stronę takiego rozwiązania - powiedział w końcu. - Będziecie mieli dużo więcej pracy przy usypywaniu stosu kamieni. Rakieta jest ponad trzy

razy wyższa od głazu, do którego zbudowaliście rampę, a podejrzewam, że będziecie musieli zbudować ją dookoła, a nie tylko po jednej stronie.

- Dlaczego po prostu nie zbudować rampy po jednej stronie do najniższego poziomu, gdzie znajdują się maszyny, którymi jesteście zainteresowani? Wtedy można by wejść na górę wewnątrz, tak jak w innych raketach.

- Z dwóch podstawowych przyczyn. Najważniejsza jest taka, że nie będziecie mogli wspiąć się w środku; Rakieta została zbudowana w innym celu i nie służyła do przewożenia żywych załóg - pomiędzy poszczególnymi pokładami nie ma połączeń. Całą maszynię zainstalowano tak, by można się do niej dostać z zewnętrznego kadłuba na odpowiedniej wysokości. Druga przyczyna jest taka, że nie można zacząć demontażu od niższych poziomów. Jeśli raz zdejmiecie płyty, wątpię czy będziecie w stanie podnieść je i umieścić z powrotem na miejscu; kiedy skończycie penetrować dany odcinek. Gdyby pokrywy dookoła całego kadłuba zostały zdjęte zanim dojdziecie do następnego poziomu; na dole nie zostałoby dość metalu do podpierania części górnej. Ta część stożka zawaliłaby się albo mogłaby się zawalić. Porty dostępu zajmują większą część pokrywy i są wystarczająco grube, by unieść duży ładunek pionowy. Może projekt rakiety był zły, ale pamiętajcie, że zamierzaliśmy otwierać ją tylko w przestrzeni kosmicznej, gdzie nie istnieje problem wagi.

- Obawiam się, że będziecie musieli zakopać raketę całkowicie do najwyższego poziomu na którym znajduje się aparatura, a następnie kopać w dół do kolejnych poziomów. Może nawet dobrze byłoby usunąć urządzenia z każdego segmentu, z którym się uporacie; w ten sposób uzyskamy minimalne obciążenie. Po zdjęciu tych wszystkich płyt zostanie delikatny szkielec i nie chcę wyobrażać sobie, co się stanie przy pełnym obciążeniu sprzętem.

- Rozumiem - odezwał się Barlennan, gdy jego rozmówca umilkł. - Nie możecie wymyślić alternatywnego planu? Wymaga on, jak już powiedzieliście, dużo pracy.

- Jak dotąd nie. Pójdziemy za twoją sugestią i będziemy debatować do czasu, kiedy twój człowiek przybędzie z punktu obserwacyjnego. Pracujemy w wyjątkowo niekorzystnych warunkach - jest mało prawdopodobne, że znajdziemy rozwiązanie nie wymagające maszyn, których nie możemy ci dostarczyć.

Słońce nadal obiegało niebo rzucając cień zmieniający się o ponad dwadzieścia stopni na minutę. Wołanie do rampy obserwacyjnej, które miało powiadomić przewodnika, że jego praca została wykonana, dawno przebrzmiało echem. Przypuszczalnie był już w drodze. Marynarze odpoczywali i bawili się; każdy z nich zszedł łagodnym zboczem do dołu utworzonego przez podmuch, by z bliska przyjrzeć się rakiecie. Wszyscy byli zbyt inteligentni, by przypisywać jej magiczne działanie, ale mimo to napawała ich respektem. Nie mieli pojęcia o zasadach jej działania, chociaż można to było z łatwością wyjaśnić, gdyby Lackland przestał się dziwić, w jaki sposób rasa, która nie oddycha, może głośno mówić. Mesklinicy mieli dobrze rozwinięte organy, podobne do syfonów ziemskich głowonogów, które ich ziemnowodni przodkowie wykorzystywali do szybkiego pływania. Tu używano ich jak miechów do całkiem ziemskich strun głosowych, ale nadal można było wykorzystywać ich pierwotną funkcję. Byli odpowiednio obdarzeni przez naturę, by w mig zrozumieć zasadę działania rakiety.

Szacunek marynarzy wynikał nie tylko z braku zrozumienia. Ich rasa budowała miasta i sami uważali się dobrych konstruktorów, ale najwyższe mury, jakie wzniesli, sięgały może trzech cali od ziemi. Wielopiętrowe budynki, nawet dachy nie będące pokrywami z płacht materiału, za

bardzo kłóciły się z ich niemal instynktownym strachem przed posiadaniem nad głową jakichkolwiek przedmiotów. Doświadczenia grupy spowodowały, że ich nawyki zmieniły się: bezmyślny strach ustąpił miejsca inteligentnemu respektowi wobec wagi. Wysokość rakiety była jakies osiemdziesiąt razy większa niż jakakolwiek sztuczna konstrukcja, którą ich rasa kiedykolwiek zbudowała; respekt na jej widok był rzeczą nieuchronną.

Po przybyciu obserwatora Barlennan wrócił do radia; ale nikt nadal nie miał lepszego pomysłu niż jego własny. Wcale go to nie zaskoczyło. Pomiął milczeniem przeprosiny Rostena i razem z załogą zabrał się do pracy. Nawet wtedy żadna z osób obserwujących ich z orbity nie pomyślała, że ich agent może mieć własne plany dotyczące rakiety.

Co dziwne, praca nie była ani tak ciężka, ani nie trwała tak długo jak oczekiwali. Z prostej przyczyny: skały i ziemia, które roztopiły dysze, były materiałem relatywnie luźnym, ponieważ w rzadkim powietrzu płaskowyżu nie zaistniała pogoda, która zbiła by je z powrotem. Istota ludzka, oczywiście mając na sobie niwelator grawitacji, który naukowcy mieli nadzieję opracować na bazie wiedzy ukrytej w rakiecie, nie wepchnęłaby w ten grunt łopaty; był luźny jedynie według standardów Mesklinitów. Mnóstwo ziemi zepchnięto łagodnym, wewnętrznym zboczem dołu na rosnący stos wokół statku. Małe kamyki wybierano z ziemi i toczono w to samo miejsce, wydając wcześniej ostrzegawcze gwizdy. Kiedy kamienie zaczynały się toczyć, poruszały się tak szybko, że ludzkie oko nie mogło za nimi nadążyć i zwykle zakopywały się całkowicie w stosie świeżo przyniesionej ziemi.

Nawet najwięksi pesymiści wśród obserwatorów czuli, że nie nastąpią już żadne komplikacje. Przyglądali się z rosnącą radością, jak lśniący metal sondy badawczej

zanurzał się coraz głębiej w stercie skał oraz ziemi i w końcu całkowicie znikł w stożku o wysokości jednej stopy, który oznaczał najwyższy poziom, gdzie zainstalowano urządzenia.

W tym miejscu Mesklinici przerwali pracę i większość z nich wycofała się z kopca. Wniesiono wizjer i nakierowano go w kierunku wystającej końcówki sondy, na której cienka kreska wskazywała port dostępu. Barlennan wyciągnął się sam przed wejściem, czekając na instrukcje, w jaki sposób je otworzyć. Rosten przyglądając się z takim samym napięciem co pozostali, udzielił wyjaśnień. Trapezoidalna płyta posiadała cztery zamki, po jednym w każdym rogu. Dwa górne były mniej więcej na poziomie oczu Barlennana, pozostałe - jakieś sześć cali poniżej obecnego poziomu kopca. Normalnie otwierało się je przyciskając i obracając o dziewięćdziesiąt stopni szerokim śrubokrętem; było prawdopodobne, że odnóża Mesklinity spełnią tę samą funkcję. Odwracając się w kierunku płyty Barlennan sprawdził, że tak było w istocie. Szerokie główki z otworami poruszyły się z pewnym trudem i odskoczyły na zewnątrz, ale płyta ani drgnęła.

- Lepiej przywiąż liny do jednej albo do obu główek, żebyście mogli pociągnąć płytę na zewnątrz z bezpiecznej odległości - zauważył Rosten. - Nie chcesz przecież, żeby ten kawałek żelastwa spadł na kogokolwiek; ma ćwierć cala grubości. Dodam, że dolne są dużo grubsze.

Sugestia została zaakceptowana i szybko odkryto dolną krawędź płyty. Dolne zapięcia nie były trudniejsze do otwarcenia niż górne i chwilę później mocne szarpnięcie lin wyrwało płytę z powłoki rakiety. Widać ją było przez pierwszy ułamek cala ruchu na zewnątrz; potem gwałtownie znikła i pojawiła się znowu leżąc poziomo, jednocześnie do uszu obserwatorów doszedł huk przypominający wystrzał. Słońce świecąc do otwartego

kadłuba oświetlało wyraźnie pojedyncze urządzenie wewnątrz. W sterowni rozległy się owacje.

- Udało się, Barl! Zawdzięczamy ci więcej niż jesteśmy w stanie wyrazić. Jeżeli staniesz z tyłu i pozwolisz nam sfotografować je w takim stanie, zaczniemy dawać ci wskazówki jak wyjąć zapisy i przenieść je do soczewki.

Barlennan nie odpowiedział od razu. Za to jego czyny zaczęły mówić dobitniej niż on.

Nie usunął się sprzed oka wizjera. Zamiast tego podpełzł bliżej i pchnął kamerę tak, że nie obejmowała już sondy.

- Są sprawy, które musimy wcześniej omówić - powiedział cicho.

NOWA UMOWA

W sali z ekranem zapanowała głucha cisza. Cały ekran wypełniła głowa maleńkiego Mesklinity, ale nikt nie wiedział co znaczy wyraz tej całkowicie Nieludzkiej „twarzy”. Nikt nie wiedział o co chodzi. Pytanie Barlennana, co przez to rozumie, byłoby marnowaniem słów; najwyraźniej i tak zamierzał wyłuszczyć swoje racje. Czekał kilka długich chwil zanim podjął monolog; mówił po angielsku lepiej niż Lackland mógłby się tego spodziewać.

- Doktorze Rosten, kilka chwil temu powiedziałaś, że zawdzięczasz nam więcej niż byłbyś w stanie odpłacić. Zdaję sobie sprawę, że twoje słowa były całkowicie szczere - nie wątpię w prawdziwość waszej wdzięczności ani przez chwilę - ale były też tylko retoryczne. Nie miałeś zamiaru dać nam nic więcej ponad to, co zgodziłeś się dostarczyć - informacje o pogodzie, kierowanie po nowych morzach, być może pomoc materialną, o której Charles wspomniął jakiś czas temu - chodzi mi o zebranie przypraw. W pełni zdaję sobie sprawę, że według waszego kodeksu moralnego nie

mam prawa do niczego więcej. Zawarłem umowę i powinienem jej dotrzymać, szczególnie, że wy waszej części umowy dotrzymaliście.

Jestem kupcem, jak dobrze wiecie, zainteresowanym przede wszystkim wymianą towarów z takim zyskiem, jaki jestem w stanie osiągnąć. Zdaliście sobie z tego sprawę oferując mi wszystkie materiały, jakie wam przysły do głowy, w zamian za moją pomoc. To nie wasza wina, że żaden z nich nie był dla mnie użyteczny. Wasze maszyny, jak sami powiedzieliście, nie działałyby przy grawitacji i ciśnieniu mojego świata; nie mogę użyć waszych metali, a nawet gdybym mógł, nie potrzebowałbym ich; leżą luzem na powierzchni w wielu częściach Mesklina. Niektórzy wykorzystują je na ozdoby; ale z rozmowy z Charlesem wiem, że bez wielkich maszyn albo większej ilości ciepła niż jesteśmy w stanie wytworzyć, nie można ich modelować, tworząc naprawdę skomplikowane formy. Znamy rzecz, którą nazywacie ogniem, nawiasem mówiąc, korzystamy z niego w lepszy sposób niż chmura ogniowa. Przykro mi, że w tej sprawie szukałem Charlesa, ale wtedy wydało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

Wracając do tematu; z rzeczy, które chcieliście nam dać, odmówiłem wszystkiego oprócz porad i informacji o pogodzie. Myślałem, że może to wzbudzić podejrzenia niektórych z was, ale w waszych słowach nie usłyszałem żadnych oznak podejrzliwości. Niemniej jednak, zgodziłem się wypłynąć w dłuższą podróż niż jakakolwiek odnotowana dotąd w historii, aby pomóc wam rozwiązać wasz problem. Powiedzieliście mi jak bardzo potrzebna wam jest ta wiedza; nikt z was nawet nie pomyślał, że ja mogę chcieć tego samego. O to właśnie prosiłem od czasu do czasu, kiedy widziałem którąś z waszych maszyn. Odmawialiście odpowiedzi na te pytania, za każdym razem wymawiając się w ten sam sposób. Dlatego poczułem, że

każdy sposób w jaki będę mógł zdobyć trochę wiedzy od was, ludzi, jest uzasadniony. Mówiliście dużo na temat wartości tego, co nazywacie „nauką” i zawsze dawano nam do zrozumienia, że moi ludzie jej nie posiadają. Jeśli jest dobra i wartościowa dla was, to nie wiem, z jakiej przyczyny nie byłaby użyteczna dla nas.

Dlatego proponuję wam nową umowę. Zdaję sobie sprawę, że fakt, iż nie wypełniłem starej może sprawić, że nie będziecie chętni do jej zawarcia. Byłoby to bardzo złe. Nie ukrywam jednak, że nie macie innego wyjścia. Was tu nie ma; nie możecie tu przylecieć; zakładam, że co najwyżej w gniewie moglibyście zrzucić na dół jakieś materiały wybuchowe. Nie zrobicie tego tak długo, jak długo będę znajdował się blisko waszej maszyny. Umowa jest prosta: wiedza za wiedzę. Wy będziecie uczyć mnie, Dondragmera czy kogokolwiek innego z załogi, kto ma czas i zdolności, kiedy będziemy pracować przy rozbieraniu waszej sondy i przekazywać wiedzę, którą zawiera.

- Tylko...

- Moment, szefie - Lackland przerwał ripostę Rostena. - Znam Barla lepiej niż ty. Pozwól mi mówić.

On i Rosten widzieli się nawzajem na ekranach i przez chwilę szef ekspedycji po prostu spoglądał z wściekłością. Później zdał sobie sprawę z sytuacji i ustąpił.

- Dobrze, Charlie. Wyjaśnij mu.

- Barł, w twoim głosie zabrzmiała chyba nuta pogardy, kiedy wspomniałeś o wymówce, której użyliśmy by nie wytłumaczyć ci działania naszych maszyn. Wierz mi, nie chcieliśmy cię nabrać. One są skomplikowane; tak skomplikowane, że ludzie, którzy je projektują i budują, spędzają najpierw prawie połowę swojego życia ucząc się praw, które sprawiają, że one działają oraz sztuki ich wykonania. Nie chcieliśmy też ograniczać wiedzy twoich ludzi. To prawda, że wiemy więcej, ale tylko dlatego, że

dłużej się uczymy.

Teraz, jak rozumiem, chcesz się nauczyć czegoś o maszynach w tej rakiecie, kiedy będziesz ją demontował. Proszę, Barl, przyjmij moje słowo jako najszczerzą prawdę, że ja sam nie mógłbym tego zrobić, ponieważ po pierwsze nie rozumiem ani jednej z nich, a po drugie gdybyś je zrozumiał, żadna nie przyniosłaby ci pożytku. Maszyny te służą do mierzenia rzeczy, których nie można zobaczyć, usłyszeć, poczuć czy spróbować - rzeczy, które musiałbyś widzieć w działaniu w inny sposób przez długi czas, zanim byłbyś w stanie je pojąć. Nie jest to zamierzona obelga. Mówię to, co jest prawie tak samo prawdziwe dla mnie, a ja od dziecka wychowałem się w otoczeniu tych sił, a nawet z nich korzystam. Nie rozumiem ich. Nie podejrzewam, że zacznę je rozumieć zanim umrę; nauka, którą posiadamy, obejmuje tyle wiedzy, że żaden pojedynczy człowiek nie może nawet zacząć uczyć się wszystkiego. Ja sam muszę zadowolić się jedną dziedziną, którą znam - i być może dodać do niej tę odrobinę, którą może dodać jeden człowiek w ciągu swojego życia. Nie możemy zawrzeć takiej umowy, Barl, ponieważ spełnienie przez nas warunków takiej umowy jest fizycznie niemożliwe.

Barlennan nie był w stanie uśmiechnąć się w ludzkim rozumieniu tego słowa i bacznie powstrzymywał się przed pokazaniem własnej wersji uśmiechu. Odpowiedział równie poważnie jak Lackland.

- Możecie zrealizować waszą część, Charles, chociaż sami tego nie wiecie. Kiedy wyruszyłem w tę podróż, wszystko co właśnie powiedziałeś, było prawdą, a nawet więcej. Zamierzałem znaleźć z twoją pomocą tę raketę, a później umieścić radia w miejscu, gdzie nie moglibyście nic zobaczyć i rozłożyć całą maszynię, poznając w trakcie tej czynności tajniki waszej wiedzy.

Stopniowo zdałem sobie sprawę, że wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą. Kiedy uczyłeś nas tak szybko i uważnie praw oraz technik stosowanych przez budowniczych szybowców na wyspie, zrozumiałem, że *nie* ukrywasz wiedzy przede mną celowo. Upewniłem się w tym przekonaniu, kiedy pomagałeś Dondragmerowi w skonstruowaniu wielokrażka różnicowego. Myślałem, że wykorzystasz te sprawy w swojej mowie; dlaczego tego nie zrobiłeś? To dobre argumenty.

Tak naprawdę dopiero kiedy uczyłeś nas o szybowcach, zacząłem zyskiwać niewielkie zrozumienie znaczenia waszego terminu „nauka”. Przed końcem tego epizodu zdałem sobie sprawę, że tak proste urządzenie, którego wy, ludzie, dawno temu przestaliście używać, wymaga zrozumienia takiej ilości praw wszechświata, że żaden z moich ludzi nie sądził, że jest ich aż tyle. W którymś momencie powiedziałaś, przepraszając za brak dokładnych informacji, że szybowce tego rodzaju były wykorzystywane przez was ponad dwieście lat temu. Domyślam się, ile więcej wiecie teraz - domyślam się wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę z tego, czego nie mogę wiedzieć.

Ale mimo wszystko możecie spełnić moje marzenie. Już trochę zrobiliście pokazując nam wielokrażek różnicowy. Nie rozumiem go, nie rozumie też Dondragmer, który spędził z nim dużo więcej czasu; ale obaj jesteście pewni, że jest to jakiś krewny dźwigni, które wykorzystujemy przez całe życie. Chcemy zacząć *od początku*, zdając sobie sprawę, że podczas naszego życia nie możemy nauczyć się wszystkiego, co wiecie. Chcę wiedzieć dlaczego *Bree* unosi się na metanie i dlaczego canoe też unosiło się - przez jakiś czas. Chcę wiedzieć, co zmiądzżyło canoe. Chcę wiedzieć, dlaczego wiatr wieje cały czas w dół szczeliny skalnej - nie zrozumiałem waszego wyjaśnienia. Chcę wiedzieć, dlaczego najcieplej jest zimą, kiedy najdłużej nie widzimy słońca.

Chcę wiedzieć, dlaczego ogień się żarzy i dlaczego pył z płomienia zabija. Chcę żeby moje dzieci, albo ich dzieci, jeśli będą je kiedyś miał, wiedziały, dzięki czemu to radio działa, dzięki czemu działa wasz czołg, a pewnego dnia - ta rakietka. Chcę wiedzieć dużo - bez wątpienia więcej niż jestem się w stanie nauczyć. Ale jeśli spowoduję, że moi ludzie będą się uczyć dla siebie, tak jak zapewne robiliście to wy - cóż, chętnie przestanę handlować z zyskiem.

Przez długą chwilę ani Lackland ani Rosten nie wiedzieli co powiedzieć. Rosten pierwszy przerwał ciszę.

- Barlennan, jeśli nauczysz się tego, czego chcesz i zaczniesz uczyć swoich ludzi, czy powiesz im skąd pochodzi ta wiedza? Czy myślisz, że byłoby dobrze gdyby wiedzieli?

- Owszem. Chcielibyśmy wiedzieć o innych światach i o ludziach, którzy wykorzystali tę samą drogę do wiedzy, kiedy zaczęli. Nie wszyscy będą tego chcieli - cóż, jest wielu Mesklinitów, którzy pozwalają, by reszta ciągnęła za nich ten wóz. Nie chcieliby się niczego nauczyć dla siebie; po prostu zapytaliby o jakąś konkretną rzecz - tak jak robiłem to na początku. I nigdy nie zdaliby sobie sprawy, że nie powiedziałeś im, bo nie byłeś w stanie. Myśleliby, że próbujesz ich oszukać. Gdybym to ja powiedział o waszej wiedzy komukolwiek - cóż, podejrzewam, że najlepiej byłoby pozwolić im myśleć, że jestem geniuszem. Albo Don. Jest bardziej prawdopodobne, że uwierzyliby, gdyby usłyszeli to od niego.

Odpowiedź Rostena była krótka.

- Umowa stoi.

LOT „BREE”

Błyszczący szkielec z metalu wznosił się na wysokość ośmiu stóp nad płasko zakończonym kopcem ze skał i

ziemi. Mesklinicy pracowicie atakowali kolejny rząd płyt, których górne zapięcia właśnie odsłonięto. Inni spychali świeżo usuniętą ziemię i kamyki na koniec kopca. Jeszcze inni poruszali się tam i z powrotem wzdłuż dobrze oznaczonej drogi prowadzącej na pustynię. Ci, którzy zbliżali się, ciągnęli płaskie wózki na kółkach załadowane prowiantem; ci, którzy wyruszali, zazwyczaj ciągnęli podobne wózki, ale puste. Panował jeden wielki ruch. Wyglądało na to, że praktycznie wszyscy mieli wyznaczone zadania. Teraz było widać dwa radiowizjery - jeden na kopcu, gdzie Ziemię kierował demontażem z orbitalnego punktu obserwacyjnego, oraz drugi - kawałek dalej.

Siedział przy nim Dondragmer i prowadził ożywioną rozmowę z odległą osobą, której nie mógł widzieć. Słońce powoli, stopniowo obniżało się i bardzo, bardzo wolno powiększało swoje rozmiary.

- Obawiam się - powiedział mat - że będziemy mieli poważne problemy ze sprawdzeniem tego, co nam mówisz na temat załamania światła. Rozumiem odbicie; lustra, które zrobiłem z metalowych płytek z waszej rakiety wyraźnie mi to uzmysłowiły. Szkoda, że urządzenie, z którego kazałeś nam wziąć soczewkę, zostało upuszczone podczas tej czynności; obawiam się, że nie mamy nic podobnego do waszego szkła.

- Nawet dość duży kawałek soczewki wystarczy, Don - przemówił głośnik. Nie był to głos Lacklanda. Chociaż odkrył w sobie nauczycielskie powołanie, czasem oddawał mikrofon specjalście. - Każdy kawałek załamie światło i nawet stworzy obraz, ale nie spiesz się - na to przyjdzie czas później. Spróbuj znaleźć jakąś część z tego kawałka szkła, Don, jeśli wasza grawitacja nie starła go na proszek, kiedy urządzenie uderzyło o ziemię.

Dondragmer odwrócił się od radia wyrażając zgodę, ale zaraz powrócił, już w innej sprawie.

- Może mógłbyś powiedzieć, z czego składa się „szkło” i czy wymaga dużo ciepła? Wiecie, że mamy dobry, gorący ogień. Jest też stężały materiał nad Misą - lód, tak chyba nazwał go Charles. Czy to wystarczy?

- Tak. Wiem, że macie ogień, chociaż niech mnie λίγο weźmie, jeśli rozumiem, w jaki sposób spalacie rośliny w wodorowej atmosferze. Lód powinien wystarczyć, jeśli dasz radę go znaleźć. Nie wiem, z czego składa się piasek w waszych rzekach, ale możesz spróbować go stopić na jednym z waszych najgorętszych ogni i zobaczymy co z tego wyjdzie. Niczego nie gwarantuję. Po prostu na Ziemi i na pozostałych światach, które znam, zwykły piasek daje jakiś rodzaj szkła, które można później znacznie ulepszyć stosując pewne składniki. Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, jak ci je opisać albo zasugerować, gdzie je można u was znaleźć.

- Dzięki. Każę komuś spróbować z ogniem i piaskiem. W międzyczasie poszukam kawałka soczewki, chociaż obawiam się, że po uderzeniu niewiele zostało. Żle zrobiliśmy, że próbowaliśmy rozłożyć urządzenie na kawałki blisko brzegu kopca. Rzecz którą nazwałeś „beczką” toczyła się bardzo szybko.

Mat ponownie odszedł od radia i natychmiast spotkał Barlennana.

- Już czas, by twoja wachta weszła na płyty - powiedział kapitan. - Wybieram się na dół do rzeki. Czy potrzeba wam czegoś?

Dondragmer wspomniał o piasku.

- Mam nadzieję, że możesz wziąć na górę tę odrobinę, której potrzebuję. A może zaplanowałeś pełny ładunek innych rzeczy?

- Żadnych planów. Udaję się głównie dla zabawy. Teraz, gdy wiosenny wiatr ucichł i pojawiają się bryzy ze wszystkich kierunków, trochę praktyki w nawigacji może

się przydać. Do czego nadaje się kapitan, który nie umie sterować swoim statkiem?

- Święta racja. Czy Latacze powiedzieli ci, po co jest pokład z maszynami?

- Powiedzieli, ale gdybym był naprawdę przekonany do tej sprawy z wyginaniem się przestrzeni, łatwiej bym to przełknął. Skończyli starą śpiewką o tym, że słowa nie wystarczą by to opisać. Co jeszcze oprócz słów możesz użyć, w imię Słońca?

- Sam się zastanawiałem. Myślę, że jest to kolejny aspekt tego kodu ilościowego zwanego matematyką. Najbardziej lubię mechanikę. Od początku można ją jakoś wykorzystać. - Ruchem ramienia wskazał jeden z wozów, a drugim miejsce, gdzie leżał wielokrążek różnicowy. - W istocie tak to wygląda. Będziemy mieć dużo rzeczy do zabrania do domu i sądzę, że nie powinniśmy się zbytnio spieszyć z rozpowszechnianiem niektórych z nich.

Gestem Barlennan pokazał, co ma na myśli i mat przyznał mu rację.

- Ale nic nas nie powstrzymuje od bawienia się tym teraz.

Kapitan poszedł w swoją stronę, a Dondragmer popatrzył za nim z mieszaniną powagi i rozbawienia. Chciałby, żeby Reejaaren był gdzieś blisko. Nigdy nie lubił wyspiarza, który być może byłby teraz trochę mniej przekonany, że załoga *Bree* składa się z samych kłamców.

Ale taka refleksja była marnowaniem czasu. Miał przed sobą pracę. Ściąganie płyt z metalowego potwora było mniej zabawne niż instruktaż, jak wykonywać eksperymenty - ale należało zrealizować swoją połowę umowy. Zaczął wchodzić na kopiec, wzywając do siebie wachtę.

Barlennan szedł dalej ku *Bree*. Statek był już przygotowany do podróży, na pokładzie znajdowało się

dwóch marynarzy, a palenisko było gorące. Ogromna powierzchnia migotającego, prawie przezroczystego materiału bawiła go. Podobnie jak mat myślał o Raajeeranie, o reakcji lingwisty, gdyby zobaczył w jaki sposób wykorzystano jego materiał. Faktycznie, nie można ufać szwom! Ludzie Barlennana znali kilka sposobów, nawet bez pomocy przyjaznych Lataczy. Połatał żagle tym materiałem zanim znaleźli się dziesięć tysięcy mil od wyspy, gdzie go kupili - i szwy trzymały nawet w dolinie wiatrów.

Wsunął się przez otwór w relingu, upewnił, że zamknął się za nim i zerknął na palenisko wyłożone metalową folią z kondensatora, którą Latacze im podarowali. Całe olinowanie wyglądało bezpiecznie i było naprężone. Kiwnął głową do załogi. Jeden marynarz ułożył kolejne kilka patyków na ogniu żarzącym się bez płomieni w specjalnym wgłębieniu, drugi puścił cumy.

Kiedy czterdziestopową kulę materiału wypełniło gorące powietrze, nowy *Bree* delikatnie unióś się z płaskowyżu i poleciał na lekkiej bryzie w kierunku rzeki.

KONIEC

POSŁOWIE

Pomysł tej powieści zrodził się przed laty, K.A. Strand opublikował wyniki pewnej niewiarygodnie - o ile nie jest się astronomem - żmudnej pracy; obserwacji orbity podwójnej gwiazdy 61 Łabędzia, skądinąd dość sławnej, bo pierwszej gwiazdy, której zmierzono wartość paralaksy, a zatem odległość od Ziemi.

Jeśli gwiazdy krążą wokół siebie, obserwacje zaś pokrywają dostatecznie duży wycinek orbity, możliwe jest obliczenie względnej orbity układu. Dr Strand dokonywał swoich pomiarów na fotografiach - eliminowało to niektóre niedogodności, na jakie natrafia się zwykle przy obserwacjach wizualnych, ale nastroczało innych. Osiągnięto stopień dokładności, który pozwolił nie tylko opublikować pełniejszy zestaw elementów orbity, ale i wykazać nieregularności.

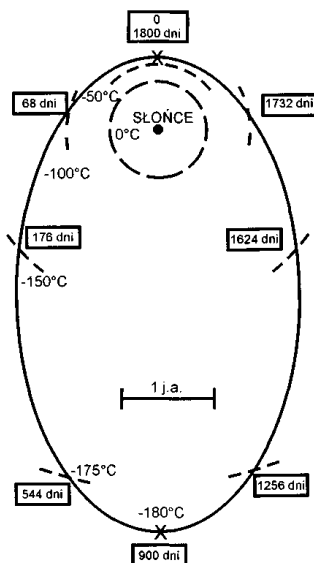
Słabsza gwiazda nie poruszała się wokół jaśniejszej po regularnej elipsie keplerowskiej. Poruszała się wokół jakiegoś niewidocznego punktu, który z kolei wędrował, w typowy już sposób, wokół drugiego ze słońc.

Nie było w tym odkryciu niczego zaskakującego. Jedna z dwóch gwiazd miała niewidocznego towarzysza, wspomniany zaś punkt był środkiem masy układu gwiazda-niewidoczny towarzysz. Takie przypadki nie są bynajmniej czymś niezwykłym w kosmosie.

Aby stwierdzić, które ze słońc ma ciemnego towarzysza, musimy dysponować obserwacjami układu, prowadzonymi w odniesieniu do jednej lub kilku gwiazd nie należących do układu. Postanowiłem przyjąć, że ów obiekt krąży wokół jaśniejszej gwiazdy. Ryzykowałem utratę punktu, kiedy fakty wyjdą na jaw, ale nie przejmowałem się tym.

Pozostało pytanie, czym był ów projekt. Kiedy jakiś niewidoczny obiekt zdradza swą obecność oddziaływaniem własnej masy albo powoduje zaćmienia, jak w układzie Algola, nie mamy trudności z wykazaniem, że towarzysz jest gwiazdą, mniej lub bardziej normalną - w przypadku Algola na przykład, „ciemne” ciało powodujące zaćmienia jest słońcem większym i jaśniejszym od naszego; możemy określić jego wielkość, masę, jasność i temperaturę ze znaczną dokładnością.

W przypadku 61 Łabędzia użyto zwykłych metod i natychmiast natrafiono na kłopotliwy fakt. Okres obiegu i rozmiary orbity, w połączeniu z dobrze znaną masą gwiazd widzialnych, wskazywały, że masa niewidocznego ciała wynosi zaledwie szesnastotysięczną masy Słońca - wielokrotnie mniej niż masa jakiegokolwiek znanej gwiazdy. Była jednak szesnaście razy większa niż masa Jowisza, największej znanej planety. Co to było - gwiazda czy planeta? Przed sklasyfikowaniem obiektu tak bliskiego granicy, musimy ustalić, gdzie leży granica.



Stare szkolne rozróżnienie jest wciąż przydatne do celów ogólnych. Gwiazda świeci własnym światłem, planeta natomiast nie jest na to zbyt gorąca i może być widoczna jedynie wtedy, gdy odbija światło pochodzące z innego źródła. Jeśli uzgodnimy, że „światło” oznacza promieniowanie widzialne, nie ma się już o co spierać, przynajmniej co do definicji. (Wywlekanie nietypowych gwiazd klasy W2 Cefeusza albo Epsilonu Woźnicy sprawi mi przykrość). Pozostaje trudność z ustaleniem, czy obiekt w Łabędziu świeci światłem własnym czy odbitym, bo jego światła nie widzimy w ogóle. Rozpatrzmy to.

Istnieje potwierdzona doświadczalnie zależność między masą gwiazdy i jej rzeczywistą jasnością. Czy mamy prawo rozciągać tę zależność na obiekt w rodzaju 61 Łabędzia - czyli trzecie najjaśniejsze ciało tego układu - jest co najmniej wątpliwe, ale też dające do myślenia. Jeśli to zrobimy, przekonamy się, że powinna to być gwiazda dwudziestej wielkości, albo nieco jaśniejsza. Taką można by zaobserwować używając nowoczesnego sprzętu, pod warunkiem, że nie przesłania jej blask innej, jaśniejszej gwiazdy i pod warunkiem, że da się ona sfotografować przy odpowiednio długim naświetleniu. Niestety, 61 C nie będzie nigdy oddalona bardziej niż o półtorej sekundy łuku od swej gwiazdy głównej, a naświetlanie na tyle długie, by pokazać gwiazdę dwudziestej wielkości, wypali na płycie obraz 61 A oraz 61 B, znacznie przekraczający rozmiarami owe półtorej sekundy łuku. Mogłoby pomóc tu jakieś urządzenie, odcinające światło jaśniejszej gwiazdy, trzeba

jednak niezmiernej zręczności. Jeśli ktoś pokusił się o to, wyniki nie zostały opublikowane.

Jeżeli założymy, że to planeta, przekonamy się, że tarcza o tej samej zdolności odbicia co Jowisz i trzykrotnie większej średnicy, miałaby dwudziestą piątą lub dwudziestą szóstą jasność gwiazdową w położeniu 61 C i poszukiwanie jej przy użyciu współczesnych instrumentów nie miałoby sensu. Wygląda na to, że nie ma sposobu, by się upewnić, czy to gwiazda czy też planeta, mogę więc nazwać ją jak mi się podoba.

Przyjmuję, że to planeta, nie tylko dla potrzeb opowieści, ale ponieważ mocno wątpię, by tak mały obiekt mógł utrzymać w jądrze temperaturę i ciśnienie niezbędne dla podtrzymania reakcji termojądrowych, bez nich zaś nie pomyślenia jest emisja promieniowania, trwająca dłużej niż parę milionów lat. Nasz obiekt nawet jako planeta charakteryzuje się cechami, które budzą zastanowienie.

Chociaż ma masę szesnastokrotnie większą niż Jowisz, jej objętość nie jest szesnaście razy większa. Wiemy wystarczająco wiele o budowie materii, by mieć pewność, że Jowisz osiągnął już prawie największe rozmiary, jakie może osiągnąć „chłodne” ciało. Kiedy masa przekracza ów punkt, ciśnienie wewnętrzne staje się wystarczająco duże, by wprowadzić materię w stan maksymalnej gęstości, w którym atomy nie są już w stanie utrzymać powłok z elektronów, a ich jądra zbliżają się do siebie bardziej, niż jest możliwe w zwykłych - dla nas - warunkach. Od Jowisza więc zaczynając; gdy masa rośnie, promień maleje, a gęstość niepomniernie wzrasta. Bez tego - gdyby 61 C zachowała gęstość Jowisza i własną masę - miałaby prawie 350 tysięcy kilometrów średnicy, a ciężenie na jej powierzchni byłoby 7 razy większe od ziemskiego. W rzeczywistości sprawy zdają się wyglądać tak, że jej średnica równa jest średnicy Urana lub Neptuna, a ciężenie

na powierzchni jest 300 razy większe od tego, do jakiego przywykliśmy.

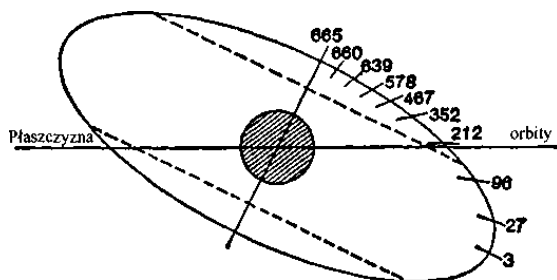
Każdy autor science fiction da sobie z tym radę. Wynajdzie po prostu ekran grawitacyjny. Drobiazgi w rodzaju pogwałcenia prawa zachowania energii, albo to, że różnica potencjałów po obu stronach ekranu uniemożliwi wymianę czegoś bardziej materialnego niż sygnały optyczne, takie drobiazgi nie robią na nikim wrażenia. Ja sam mógłbym, dla dobra sprawy użyć ekranu grawitacyjnego, gdybym nie miał innego wyjścia, ale w tym przypadku istnieją sposoby na zmniejszenie ciężenia, przynajmniej na części planety. Siła odśrodkowa skierowana jest - kiedy planeta obraca się, na zewnątrz, w płaszczyźnie równika. Mogę więc przyjąć, że moja planeta obraca się dostatecznie szybko, by bohaterowie czuli się tak lekko, jak im się podoba, przynajmniej na równiku.

Jeśli to zrobię, mój wspaniały nowy świat będzie spłaszczony, że niech się Saturn schowa! Istnieje zależność między masą, szybkością obrotu i spłaszczeniem biegunowym. Astronomowie dopilnują już, bym go nie spłaszczył za bardzo lub za mało.

Prawdę mówiąc, zajmowałem się czym innym, nie tą sprawą. Podrzuciłem ją przyjacielowi, którego matematyka wytrzymała próbę lat. Odpowiedź została znaleziona w pracy pewnego studenta pierwszego roku astronomii. Przypomniano mi, że muszę brać pod uwagę to, czy masa planety jest równomiernie rozłożona, czy skupia się w jądrze. Wybrałem drugą możliwość, w której „gęsta” materia skupia się w jądrze planety, a warstwy zewnętrzne, gdzie ciśnienie jest mniejsze, składają się ze zwykłej materii.

Postanowiłem pozostawić na równiku ciężenie trzykrotnie większe od ziemskiego. Znałem masę i rozmiary planety. To wystarczyło, by uzyskać zestaw

danych, które dostarczyły materiału dla powieści. Nie powinienem zachować ich dla siebie, daję więc oficjalne pozwolenie każdemu, kto zechce umieścić tam akcję swojej powieści.



Przekrój Mesklina

Sam świat Mesklina jest pod kilkoma względami zadziwiający. Jego średnica równikowa wynosi 78 tysięcy kilometrów. Od bieguna do bieguna, wzdłuż osi obrotu - ponad 32 tysiące. Obraca się nieco prędzej niż 20 stopni na minutę, doba trwa więc niecałe 18 minut. Na równiku ważyłbym około 200 kilogramów, na biegunie około 60 ton. Mówiąc całkiem szczerze, nie wiem, jakie jest ciśnienie na biegunie. Planeta jest tak spłaszczona, że reguła, która w przypadku kul pozwala dla obliczenia ciśnienia na powierzchni przyjmować, iż masa skupia się w środku kuli, nie dawałaby należytych przybliżeń - gdyby ten świat miał jednorodną gęstość. To, że masa jest skoncentrowana, ułatwia sprawę, myślę że przyjęte z grubsza biorąc ciśnienie 700 razy większe od ziemskiego, to aż za wiele. Niektórzy uważają, że dwukrotnie je zawyżyłem. W każdym razie, ważyć 30 ton i tak powłóczyłbym nogami.

Oprócz wymiarów istnieje mnóstwo cech, które należy

ustalić, zanim napisze się powieść. Ponieważ zależy mi na miejscowych formach życia, muszę wymyślić warunki, które takie formy zdołałyby znieść. Niektóre z tych warunków, jak temperatura i ciężenie, zostały mi narzucone, może będę mógł tak poustawiać inne, by mi odpowiadały. Spróbujmy.

Przypuszczalnie każda, choć trochę do nas podobna forma życia, musiałaby składać się w większości z jakiegoś związku, który pozostawałby w stanie płynnym, w przedziale temperatur jego jej ojczystej planety. Poszukiwany związek byłby zapewne dość powszechny na planecie, występując tam w stanie płynnym. Jaki związek odpowiada waszym wymaganiom?

Spędziłem miły wieczór z Isaakiem Asimovem, próbując znaleźć coś odpowiedniego. Chodziło nam nie tylko o związek płynny w danym przedziale temperatur, ale i o dobry rozpuszczalnik, zdolny powodować dysocjację jonów rozpuszczonych w nim cząsteczek. Woda odpada, byłaby bowiem na Mesklinie ciałem stałym. Amoniak jest niewiele lepszy, bo topi się tylko w najgorętsze dni. Poratował nas w końcu pewien bardzo prosty związek.

Jego punkt wrzenia jest co prawda niewygodnie niski, nawet przy niezwykle wysokim ciśnieniu atmosferycznym. Nie należy się spodziewać, by był bogaty w jony, choć jako węglowodór rozpuszcza zapewne wiele substancji organicznych. Ma jednak wielką zaletę, z mego punktu widzenia: prawie na pewno występuje na planecie w wielkich ilościach. To metan.

Mesklin, podobnie jak Jowisz, musiał uformować się z „kosmicznej” mieszaniny, z wielką przewagą wodoru. Tlen wiązał się z nim, tworząc wodę, azot-amoniak, węgiel-metan i, być może, inne węglowodory. Wodoru starczało na wszystko i mnóstwo go jeszcze zostało - nawet wodór, choć lekki, miał trudności z oderwaniem się od ciała

o masie 5000 razy większej od Ziemi, kiedy już się ono ochłodziło. Mam powody spodziewać się istnienia na planecie oceanów metanu, a w takich oceanach można oczekiwać pojawienia się i rozwoju form życia, wykorzystujących do budowy swych tkanek tę ciecz.

Metan wrze przy temperaturze niższej, niżbym sobie tego na Mesklinie życzył. Czy mogę temperaturę podwyższyć wystarczająco, zwiększając ciśnienie atmosferyczne. Zobaczmy. Punkt krytyczny metanu wynosi około 82 stopni Celsjusza. Powyżej tej temperatury, niezależnie od ciśnienia, zamienia się on w gaz. Aby doprowadzić punkt wrzenia do powyższej wartości, potrzeba ciśnienia 46 razy większego niż ziemskie. Cóż, rozporządzamy wielką planetą, która powinna zachowywać prawie całą swą pierwotną atmosferę i ciśnienie może wynosić setki, a nawet tysiące atmosfer - ale zapomnieliśmy o czymś ważnym.

Na równiku ciążenie - po odliczeniu siły odśrodkowej - jest trzykrotnie większe ziemskiego. Przy określonej temperaturze i składzie atmosfery pozwala to obliczyć, jak gęstość atmosfery obniża się w miarę wzrostu wysokości. Okazuje się, że przy trzech grawitacjach i temperaturze minus 145 stopni Celsjusza, atmosfera sięga do wysokości 600 mil ponad równikiem planety. Siła odśrodkowa równoważy siłę przyciągania! Jeżeli na tej wysokości znajdowałyby się jakaś znaczniejsza ilość gazów, dawno uleciałyby w przestrzeń. Najwyraźniej, ciśnienie mówi, że 8 atmosfer to górna granica - przyjąłem temperaturę lata, a nie średnią roczną. Przy takim ciśnieniu metan wrze przy minus 143 stopniach Celsjusza i przez jakieś 300 ziemskich dni, jedną szóstą swego roku, Mesklin znajdować się będzie w położeniu, w którym jego słońce mogłoby doprowadzić do wrzenia oceanu. Co robić?

Średnia temperatura Ziemi przekracza punkt topnienia

lodu, ale znaczne obszary planety są wiecznie zamrożone. Nie ma powodu, żeby nie skorzystać z tego efektu na 61C Oś obrotu Meskлина może być tak nakierowana, żeby płaszczyzna równikowa nie pokrywała się z płaszczyzną orbity. Wybrałem kąt 28 stopni i kierunek, przy którym środek lata na półkuli północnej przypada na okres, kiedy planeta jest najbliżej słońca. To oznacza, że duża część półkuli północnej nie będzie oświetlona przez trzy czwarte roku i powinna wytworzyć się tam pokaźna czapa zamrożonego metanu - kosztem oceanów drugiej półkuli. Gdy Mesklin zbliża się do Słońca, znośna do życia półkula południowa, jest chroniona przed zabójczym żarem - ogromem samej planety, energia gwiazdy doprowadza do wrzenia „lód” polarny na północy. Straszliwe sztormy szaleją na równiku niosąc pary metanu, zaś obszary południowe są nadal zimne; stworzenia, w których żyłach płynie metan mają znośne warunki życia.

Precesja powinna być dość szybka, ponieważ wybrzuszenie równikowe pozwala słońcu chwycić planetę w potężny uścisk, mimo tego że większość masy kryje się w jądrze. Nie pokusiłem się o wyliczenia, ale możecie przyjąć, że co kilka tysięcy lat nadające się do zamieszkania półkule zamieniają się miejscami, co przeszkadza tubylcom zbudować cywilizację. Nie będę się o to sprzeczał.

Warunki panujące na Mesklinie zostały całkiem nieźle określone. Pozostało wiele szczegółowej pracy. Muszę zaprojektować formę życia zdolną wytrzymać te warunki - a nawet uważać je za idealne - co nie jest zbyt trudne, jako że nie muszę dokładnie opisywać procesów życiowych. Rośliny wykorzystujące energię słoneczną dla wzrostu, węglowodory, życie zwierzęce czerpiące energię z roślin i węglowodorów - wszystko to wydaje się logiczne. W tym opowiadaniu wskazuję pośrednio istnienie enzymów ułatwiających przemianę materii.

Pozostały jeszcze ostatnie posunięcia w tej grze - znalezienie tego, co oczywiste w naszym świecie, jest nie oczywiste w tamtym. Takie rzeczy to niemożność rzucania przedmiotów na odległość, skakania, latania, przynajmniej na wyższych szerokościach geograficznych. Nagły spadek gęstości powietrza w wyżej położonych rejonach stwarza złudzenie, że horyzont wydaje się leżeć powyżej obserwatora. Straszliwa siła Coriolisa rozczepia każdy rodzący się sztorm na mniejsze burze - względnie łagodne. Fakt, że para metanu ma większą gęstość niż wodór, usuwa podstawową przyczynę tworzenia się ziemskich burz i huraganów. Ciśnienie wzrasta pod powierzchnią oceanów, dla nawigatora oznacza to, że góry lodowe nie mogą nim pływać, a dno oceanu pokryte jest zamrożonym metanem. Metan ma skłonności do rozpuszczania materii organicznej, np. tłuszczów. Co to oznacza dla składu oceanów? Może góry lodowe mogą mimo wszystko po nich pływać?

Kłopot z tym, że nie mogę myśleć o takich rzeczach na zapas, tak więc całe partie opowieści muszą być przerobione, bo zdaję sobie sprawę, że to czy tamto nie mogło się wydarzyć w opisany sposób. Muszę pominąć pewne szczegóły; tak się wygrywa. Miałem pewną przewagę nad wami - te miesiące, przez które, w wolnym czasie, moja wyobraźnia przemierzała rozległe przestrzenie planety Mesklin w poszukiwaniu rozwiązań. Teraz służy to wam; nie mogę już czynić dalszych ruchów w tej grze, wy zaś macie czas, by wyszukiwać potknięcia mojej wyobraźni.

Hal Clement

Tłum. Marek Michowski